

Andrzej Radzikowski
Związek zawodowy
na XXI wiek

Jarosław Makowski
Celibat i dwuwładza
w Watykanie

F-35 – pożeracz
budżetu MON

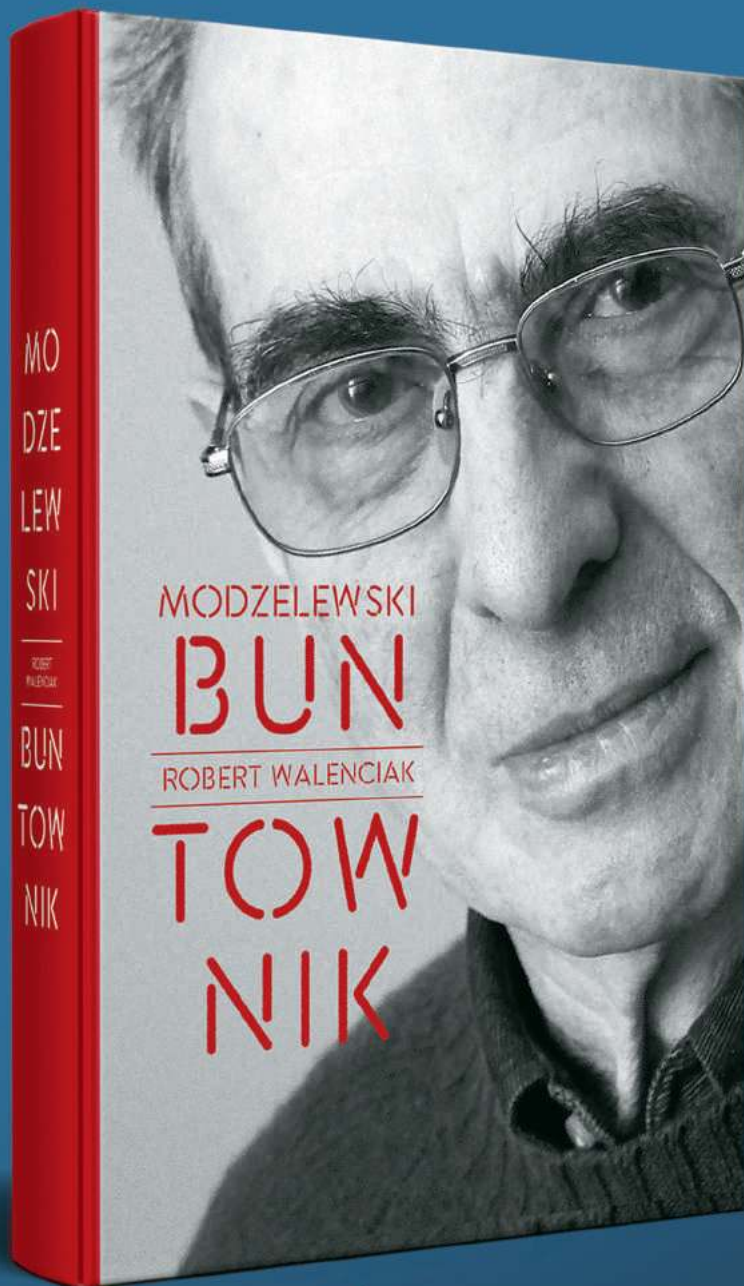
Duda wstrzymuje
nominacje profesorskie



Jak zrujnowano wizerunek Polski

Karol Modzelewski był dla mnie kimś na kształt mentora.
To, co mówił, było ważne, było drogowskazem, busolą w postępowaniu.

Robert Walenciak poleca



65 zł



E-BOOK TYLKO 19,90 zł

Książka **PRZEGLĄDU!**

Wpłat 65 zł prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3, lok. 7. Książkę można też zamówić na www.sklep.tygodnikprzeglad.pl. W jej cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Poczta Polska. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +5,00 zł, paczka w RUCH-u +6,99 zł lub dostawy kurierem InPost +14,90 zł.

CYTATY

JÓZEF HEN,

pisarz

*Powodów do
śmiechu i spokoju
nie warto tracić.*

„Uroda Życia”

LUDWIK DORN,

były marszałek Sejmu

PiS próbuje

*wprowadzić do
systemu wymiaru
sprawiedliwości
swoich pacholków.*

„Polska The Times”

AGNIESZKA GRAFF,

wykładowczyni
na UW

Ujawnianie

*prywatności to
serce współczesnej
kultury.*

„Wysokie Obcasy”

SYLVAIN TESSON,

pisarz francuski

*Francja to raj pełen
ludzi przekonanych,
że żyją w piekle.*

„Forum”

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański



Zadanie od prezesa

Andrzej Duda dostał od swojego szefa kolejne zadanie do wykonania. Prezes Kaczyński oczekuje od niego wygranej w pierwszej turze wyborów prezydenckich. Ale choć Duda jest wśród tych najbardziej bojących się prezesa, to nawet ze strachu nie jest w stanie tego zrobić. Będzie się cieszył, jak wejdzie do finału. Bo kampania dopiero wystartowała – i Duda zostanie rozebrany przez konkurentów do rosolu. Dokładnie takimi samymi metodami, jakie najemnicy Kurskiego stosują w mediach rządowych wobec opozycji. Przed 10 maja zobaczymy więc takiego prezydenta Dudę, pięcioletniego reprezentanta interesów PiS, jaki faktycznie jest. Bez propagandowych ustawek, wyreżyserowanych spotkań i tłumu klakierów. Prezydenta państwa, który nawet przez moment nie myślał o Polakach jako o wspólnocie. A jego słowa o prezydenturze ponad podziałami i jednoczeniu Polaków wokół najważniejszych celów okazały się mistyfikacją.

Moc sprawcza Dudy w tej kadencji sprowadzała się do decyzji, w którym z licznych ekskluzywnych ośrodków będących do jego wyłącznej dyspozycji spędzi wolne dni. I jakie ulubione potrawy mu tam zaszerwują.

Koszt utrzymywania tego polityka wagi papierowej nijak się ma do korzyści, jakie przynosi on swojemu państwu. Prezydentura w Polsce ma sens, ale tylko jako element *check and balance*. Przy tej polaryzacji, do której doprowadziły rządy PiS, drogą do odbudowy równowagi zabezpieczającej najbardziej elementarne zasady ustrojowe państwa i interesy jego obywateli może być tylko powrót instytucji niezależnych od władzy. Tylko poprzez kompromisy i ucieranie się poglądów różnych grup społecznych, a więc i różnych interesów, można osiągać planowane, strategiczne cele. To oczywiście dużo trudniejsza metoda od tej, którą ćwiczy rządząca prawica. Jej wystarczą decyzja prezesa i nocne głosowania. Ich Sejm, ich Senat i ich prezydent. Pomijając już liczne przykłady łamania konstytucji, ten model rządzenia jest po prostu nieskuteczny. Nie tylko nie rozwiązuje żadnego problemu, ale jeszcze tworzy tyle nowych, że jest gorzej, niż było. Jaskrawym przykładem rozjeżdżania się zapowiedzi i efektów jest sądownictwo. Wymagało reform, ale nie grupy prymitywów niedouków z pałkami w ręku.

Można parę tomów napisać o powodach, dla których Duda powinien sobie znaleźć jakieś uczciwe zajęcie. Ale wystarczy to, co w ramach prerogatyw prezydenckich zrobił z sądownictwem. Oceniając jego rywali w wyborach, mogą powiedzieć, że czworo z nich przerasta go pod każdym względem. I zamiast narzekać na kandydatów opozycji, popracujmy nad zamknięciem tego ponurego etapu, jakim jest prezydentura Dudy.

BAKOWSKI



**Zamów pocztową
prenumeratę PRZEGLĄDU**

Oszczędność czasu i pieniędzy!

Zamówienia można składać do 25 lutego 2020 r.

Realizacja od kwietnia 2020 r.

po dokonaniu przedpłaty:

74 zł – II kwartał 222 zł – II, III, IV kwartał

- we wszystkich placówkach pocztowych na terenie kraju lub u listonoszy;
- drogą elektroniczną pod adresem: prenumerata.poczta-polska.pl.



Od stycznia 2020 r. nie kontynuujemy prenumeraty redakcyjnej. Prosimy o niedokonywanie wpłat na konto Fundacji Oratio Recta.

W NUMERZE

PUBLICYSTYKA

- 8 Złe nas widzą, źle nas piszą
Popsuty wizerunek Polski
- 12 Niepokorni dostaną nauczkę
Sprawiedliwość tylko dla władzy

KRAJ

- 14 Związek na XXI wiek
– rozmowa z Andrzejem Radzikowskim
- 18 Zacięte pióro prezydenta
Czym podpadli Żelazny i Bilewicz
- 20 F-35 – „niewidzialny” samolot
i widzialne problemy
Pożeracz budżetu MON
- 40 Ona oddała mi serce, ja dla niej nerkę
Brak chętnych na przeszczepy krzyżowe
- 57 Woda i ości
Byłe jakie przetwory rybne

KOŚCIÓŁ

- 24 Celibat – nowy rozdział
wojny z Franciszkiem
Dwuwładza w Watykanie

HISTORIA

- 27 Prawda i fałsz o deportacjach
Spór o liczbę wywiezionych

ZAGRANICA

- 30 Szkockie apetyty na Unię Europejską
Nacjonalści a brexit
- 32 Wielki chaos u demokratów
Prawybyory w USA
- 35 Porzucone dzieci ONZ
Ofiary żołnierzy misji pokojowych
- 36 Szwajcarki odliczają
50 lat praw wyborczych kobiet
- 38 Naukowa bezbronność
Eksperti przegrywają z populistami

KULTURA

- 44 Spodobała mu się rola Pigmaliona
Andrzej Żuławski i kobiety
- 48 Culturalia
- 66 Sebastian Moń

OBSERWACJE

- 50 Wojenna turystyka
na Zachodnim Brzegu
Nowe pole rywalizacji

SYLWETKI

- 54 Zrób to sam
Genialny Stefan Kudelski

ZDROWIE

- 58 Kręgosłup z tabletek
Światowa epidemia bólu pleców

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański
Zadanie od prezesa
- 23 Roman Kurkiewicz
Śmiertelny wirus, nasz, polski
- 43 Tomasz Jastrun
Kurz populizmu
- 47 Agnieszka Wolny-Hamkało
Śniadanie z mediatorem
- 53 Wojciech Kuczok
Męskość w technikolorze

24 KOŚCIÓŁ



**CELIBAT – NOWY ROZDZIAŁ
WOJNY Z FRANCISZKIEM**
Dwuwładza w Watykanie



38 ZAGRANICA

NAUKOWA BEZBRONNOŚĆ
Eksperti przegrywają z populistami



54 SYLWETKI

ZRÓB TO SAM
Genialny Stefan Kudelski

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. ADOBE STOCK, KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI (2)



Jakub Żulczyk

Kościół stał się partią polityczną

Dr Paweł Sękowski (Kuźnica)

W latach 1945-1946
nic nie było przesądzone

Anna Krawczak

Domy dziecka muszą zniknąć

✉ Ocalenie Jasnej Góry

Do artykułu Eugeniusza Guza „Ocalenie Jasnej Góry” (PRZEGŁĄD nr 5) należy się pewne uzupełnienie. Około roku 1967 (?) zgłosił się do „Tygodnika Powszechnego” Borys Polewoj i opowiadał o tym, jak Niemcy, wycofując się, zaminowali bombami lotniczymi Jasną Górę.



Polewoj miał dowodzić jednostką saperską, która owe bomby unieszkodliwiła. Mnisi z wdzięczności podarowali mu miniaturę obrazu Matki Bożej Częstochowskiej i kawałek zabezpieczającego go welonu. Przedmioty te pokazał w redakcji. Jerzy Turowicz przeprowadził wówczas z Polewojem obszerny wywiad, który jednak został zdjęty na skutek protestu kard. Wyszyńskiego, argumentującego, że „nie będą Polacy zawdzięczać świętości Armii Czerwonej”. Jako ślad tych wydarzeń pozostał, o ile pamiętam, list mojego ojca do redakcji i bardzo mętna odpowiedź ojców paulinów. Rzecz wywołała nawet krótkotrwałe ochłodzenie stosunków między redakcją „TP”, niebacznie napomykającą o „prawdzie historycznej”, a księdzem prymasem.

Ludwik Stomma



SPOTKANIE PO LATACH

70-lecie powstania „Sztandaru Młodych”

Nie ma już tej gazety, ale związani z nią dziennikarze nadal opisują i kształtują polską rzeczywistość – we wszystkich jej odcieniach.

1 maja tego roku minie 70 lat od wydania pierwszego numeru gazety.

Z tej okazji społeczny komitet organizacyjny planuje spotkanie osób, które w „Sztandarze Młodych” i „Sztandarze” spędziły kawałek życia.

Spotykamy się 18 kwietnia w Warszawie.

Planujemy część oficjalno-wspomnieniową i czysto towarzyską. Reszta zależy od wspólnej inwencji uczestników jubileuszu.

Szczegółowy program i konkretne miejsce zależą będzie od liczby zgłoszeń i pomysłów. Czekamy na potwierdzenia obecności. Chcemy dotrzeć do wszystkich zainteresowanych. Bardzo liczymy na Waszą pomysłowość.

Na zgłoszenia czeka Komitet Organizacyjny (stałe otwarty dla wszystkich gotowych do pomocy):

Jerzy Domański – j.domanski@tygodnikprzeglad.pl

Zbyszek Gajewski – zbisgajewski@gmail.com

Danuta Zdanowicz – danutazett@interia.pl

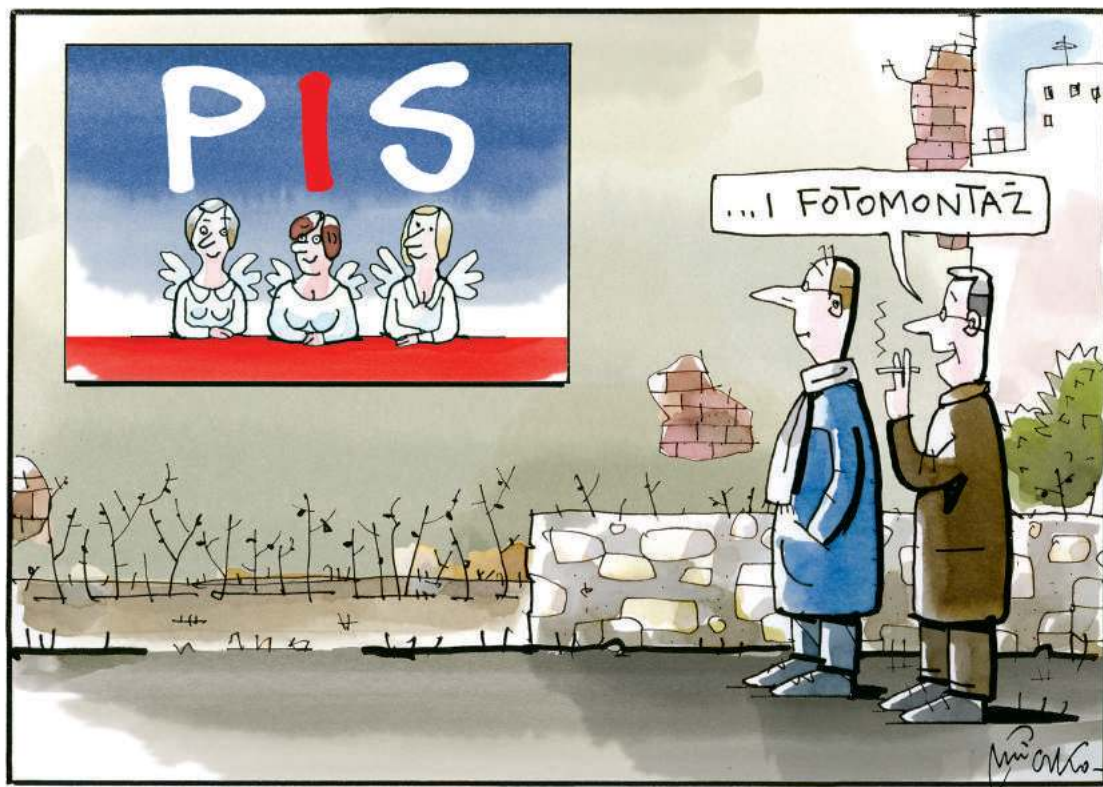
Zbyszek Pawłowski – zpawlowski@grupapzpr.pl

Ewa Raca – ewaraca@op.pl

ZDJĘCIE TYGODNIA

Elżbieta II ogląda najnowszy sprzęt w centrum szkoleniowym RAF. Królowa mogła także obserwować pionowe lądowanie wielozadaniowego myśliwca F-35.





www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Czy kary za nieodwołanie wizyty u lekarza to dobry pomysł?

KAJA FILACZYŃSKA,
lekarka, Lewica Razem

To bardzo zły pomysł, ponieważ system ochrony zdrowia jest niedofinansowany i nieprzyjazny pacjentom. Jeśli na wizytę u lekarza specjalisty czeka się dwa lata, to każdy, a zwłaszcza starszy człowiek, ma prawo o niej zapomnieć. Co więcej, odwołanie wizyty jest bardzo trudne, do poradni nierzadko godzinami nie można się dozwonić. Dlatego pierwszym krokiem, jaki powinny wykonać rząd i publiczna ochrona zdrowia, jest zapewnienie pacjentom różnorodnych możliwości przypominania im o wizytach oraz ich łatwego odwołania. Uważam, że dziś, kiedy publiczna ochrona zdrowia jest w zapaści, kary za przegapione wizyty to skandaliczna próba przerzucenia odpowiedzialności za ten stan rzeczy na pacjentów.

MONIKA HELAK,
socjolożka, Polityka Insight

Kraje europejskie, które wprowadziły taką opłatę, mają z reguły znacznie mniejsze problemy z dostępnością lekarzy, jakością diagnoz, profilaktyką i świadomością zdrowotną obywateli. W obecnej sytuacji, kiedy opieka lekarska jest *de facto* trudno dostępna, stosowanie wobec pacjentów

metody kija – bo tym jest kara finansowa – nie będzie dobrym rozwiązaniem. Stan zdrowia Polaków jest zły, a jednocześnie mają oni systemową trudność w jego poprawianiu – nieprzychodzenie na wizyty nie jest przecież złośliwością czy lekceważeniem z ich strony. W pierwszym rzędzie należałoby zatem podnieść jakość służby zdrowia i widocznie zwiększyć jej dostępność (w tym dostępność wizyt bez konieczności wcześniejszego umawiania się), a następnie zachęcać pacjentów do przychodzenia w umówionych terminach (np. przez SMS-y czy telefony z przypomnieniami). Te dwa kroki mają dużą szansę zmniejszyć skalę niezrealizowanych wizyt. Dopiero gdy okazałyby się nieskuteczne, rozważyłabym wprowadzenie opłat za niestawianie się u lekarza.

DR HAB. DOROTA KARKOWSKA,
prawniczka, Fundacja Ius Medicinæ

W pewnych sytuacjach tego rodzaju opłaty dyscyplinujące mogą być uzasadnione, ponieważ w miejsce osoby, która nie pojawiła się w gabinecie, mógłby zostać przyjęty ktoś inny. Jednak zanim zaczniemy myśleć o karach, należałoby wprowadzić system pozwalający weryfikować, czy pacjent jest zapisany tylko

w jednej kolejce, a także rozwiązania przypominające o wizytach. Kiedy to już nastąpi, można rozważyć przyjęcie zasady, że osoba, która została pouczona o istnieniu takiej opłaty oraz otrzymała przypomnienie o wizycie, a mimo to się na niej nie pojawiła, ponosi jakieś konsekwencje finansowe. Kwestiami do dyskusji nadal pozostawałyby warunki, pod jakimi można by odstąpić od wymierzenia kary, jej wysokość oraz ewentualne zróżnicowanie, np. w zależności od dochodów.

Czytelnicy PRZEGŁĄDU
KAMIL PIOTROWSKI

Bardzo dobry pomysł. Do tego wizyta u lekarza pierwszego kontaktu płatna 5 zł i kolejki się zmniejszą. Mnóstwo ludzi idzie do lekarza z byle głupstwem. Poza tym zapisują się do pięciu specjalistów naraz, blokując miejsca i wydłużając czas oczekiwania.

PRZEMYSŁAW RZECZKOWSKI

W każdym cywilizowanym kraju tak jest. W Szwajcarii w większości dużych klinik za opuszczenie wizyty lub brak informacji o nieobecności 48 godzin przed umówioną wizytą jest kara 50 franków, czyli jakieś 200 zł.

Not. Michał Sobczyk

Jakub Dymek

Źle nas widzą, źle nas piszą

Setki milionów złotych nie pomogły globalnemu wizerunkowi Polski – jest gorszy, niż kiedy PiS zaczęło go „naprawiać”

Jaki jest wizerunek Polski za granicą? Żeby to sprawdzić, wystarczy kliknąć. Z pierwszego podpowiadającego przez wyszukiwarki internetowe artykułu w amerykańskim dzienniku „Washington Post” na temat Mateusza Morawieckiego możemy się dowiedzieć, że polski premier zaprzecza zarzutom o przeinaczanie historii Zagłady i odrzuca łatkę „rewizjonisty Holocaustu”. W kolejnym materiale czytamy, że polskie prawo będzie karać ocalałych z hitlerowskiej maszyny śmierci i ich potomków za mówienie o złu, którego doświadczyli z rąk współobywateli. Cóż, trudno uznać za sukces fakt, że z tym właśnie kojarzy się czytelnikom z oceanem nazwisko polskiego premiera.

Zresztą gdziekolwiek spojrzeć, jest podobnie. Brytyjski „Guardian” i izraelski „Ha-Arec” oskarżają Polskę o populistyczne przepisywanie historii. W „New York Timesie” najnowsze wieści z Polski również dotyczą historii – w dużym tekście o wyzwoleniu obozu zagłady Auschwitz dziennik pisze, że Polska promuje dziś historyczne wypaczenia motywowane „nacionalizmem krzywdy”. „NYT” dodaje, że lata budowania dobrych relacji z Izraelem oraz przychylność ame-

Kaczyńskiego kojarzona jest za granicą bardziej – nie mniej – z antysemityzmem. Powszechnie uważa się, że nie pomnożono wizerunkowego kapitału Polski, lecz go roztrwoniono. Wyrzucając przy tym w błoto górę publicznych pieniędzy.

Wstać z kolan, upaść na głowę

A miało być zupełnie inaczej. Mieliśmy przecież „wstać z kolan”! To, że w końcu Amerykanie, Żydzi, Niemcy i Rosjanie przestaną mówić o „polskich obozach śmierci” i polskim antysemityzmie, a zagraniczni dyplomaci, naukowcy i zwykli obywatele poznają polską martyrologię i tradycje oraz niuansy biografii rotmistrza Piłckiego, było tak jasne jak to, że nowy rząd da 500+ czy obniży

Na jej okazały budżet zrzucają się spółki skarbu państwa, a więc ostatecznie wszyscy podatnicy. Stworzono zajmujący się martyrologią i badaniem totalitaryzmów Instytut Solidarności i Męstwa im. Witolda Piłckiego – przez niektórych nazywany polskim Yad Vashem. Zmieniono dyrektora Muzeum II Wojny Światowej i dyrekcję wielu zagranicznych placówek Instytutu Adama Mickiewicza, powołanych do promocji polskiej kultury w ważnych stolicach. Hojnie popłynęły środki do organizacji pozarządowych – często zupełnie nieprzygotowanych i niemających najmniejszych zadań – o ile tylko obiecywały one promować Polskę w świecie, „walczyć z kłamstwami historycznymi” czy przypominać o cierpieniu i martyrologii narodu polskiego.

Ministerstwo Kultury odgrażało się, że powstanie wielki filmowy hit – nakręcony z hollywoodzkim rozmachem! – o polskiej historii. Prezes TVP Jacek Kurski mówił nawet o planach powołania anglojęzycznej telewizji informacyjnej na wzór BBC, Al-Dżaziry czy Russia Today. Nikt nie jest w stanie zliczyć całości środków, które pochłonęły wszystkie te pomysły. Bezpiecznie można jednak powiedzieć, że żadna poprzednia władza nie inwestowała ich tyle – i tak rozrzutnie. Roczny budżet samej Polskiej Fundacji Narodowej przekroczył w ostatnim roku 100 mln zł – a przy jej powoływaniu zakładano, że na promocję Polski wyda w ciągu kadencji pół miliarda.

Tymczasem działalność PFN stała się całkiem niedawno przyczyną wielkiej kompromitacji w dziedzinie wizerunkowych działań rządu. Dziennikarskie śledztwo Andrzeja Stankiewicza, którego efekty jesienią 2019 r. opublikował Onet, ujawniło skalę marnotrawstwa i nieskuteczności Polskiej

Na odcinek narodowej dumy rzucono bezprecedensowe środki: powołano Polską Fundację Narodową, na której 100-milionowy budżet zrzucają się spółki skarbu państwa, a więc my wszyscy.

rykańskich kongresmenów zostały w jednej chwili pogrzebane przez niesławną próbę nowelizacji ustawy o Instytucie Pamięci Narodowej z 2018 r. – nazwanej przez anglojęzyczne media ustawą holokaustową. Ta zresztą z perspektywy międzynarodowych mediów była chyba najważniejszym – poza Nagrodą Nobla dla Olgi Tokarczuk – wydarzeniem w naszym kraju w ostatnich latach.

I choć nie wszystkie teksty w międzynarodowej prasie poświęcone Polsce są aż tak krytyczne, a części artykułów można zarzucić stosowanie tendencyjnych chwytów, to z reputacją Rzeczypospolitej nie jest dobrze. Zagraniczni korespondenci mają o PiS jak najgorsze zdanie. Polska po latach władzy partii Jarosława

wiek emerytalny. „Koniec z pedagogiką wstydu!”, słyszeliśmy. Dyplomacja kulturalna i polityka informacyjna miały się stać programowymi filarami działalności rządu – traktowanymi z podobną powagą co wojskowość czy inwestycje. Słuchając polityków PiS i działaczy prawicy, można było odnieść wrażenie, że choć dbałość o wizerunek jest tylko częścią polityki zagranicznej państwa, za ich rządów stanie się jej trzonem albo nawet całkowicie ją zdominuje. Ba, cała dyplomacja miała wręcz służyć budowaniu dobrego wizerunku.

Na odcinek narodowej dumy rzucono więc bezprecedensowo duże środki – powołano Polską Fundację Narodową, która miała być okrętem flagowym walki o wizerunek Polski.

Fundacji Narodowej. W ciągu kilku-nastu miesięcy polski podatnik zapłacił jednej tylko amerykańskiej agencji 20 mln zł za działania w rodzaju wysłania kilku mejli, prowadzenia *de facto* martwych stron internetowych i zorganizowania konferencji z udziałem senatora PiS Anny Marii Anders oraz Antoniego Macierewicza. PFN płaciła za loty do USA i hotele dwudziestokilkuletniego asystenta ministra obrony narodowej, Edmunda Jannigera, a pracownicy amerykańskich agencji opłacani przez fundację wystawiali faktury za pozorowaną aktywność, w koszty „promocji Polski” wliczając swoje obiady.

Ze sprawozdania, które fundacja opublikowała w ostatnim możliwym terminie, w sylwestra 2019 r., wynika,

tem żartów. Byłyby to jednak bardzo smutne żarty.

Smutne – i bardzo odległe od krajowej propagandy – są też obrazy z Polski przekazywane światu przez agencje informacyjne. Proces demonstrowania polskiego systemu sądownictwa wciąż przyciąga uwagę zagranicznych korespondentów – choć rząd liczy, że ostatecznie zainteresowanie losami sądów wygaśnie nawet w kraju. Niedawno „New York Times” poświęcił obszerny reportaż sędziemu Igorowi Tuley – setki tysięcy prenumeratorów najpoważniejszej amerykańskiej gazety mogły przeczytać o „upartym obrońcy sędziowskiej niezależności”. Dla wszystkich, którzy wiedzą, jakim szacunkiem darzony jest w USA Sąd Najwyższy, nie powinno być

profesorskiej dla dr. hab. Michała Bilewicz, uznanego badacza uprzedzeń, ksenofobii i antysemityzmu. Nie trzeba zgadywać, jak postrzegane są takie „smaczki”. Wszystkie dokładają się do już i tak pokiereszowanego wizerunku Polski za granicą.

Polska pogorszyła swoją pozycję „we wszystkich najbardziej szanowanych rankingach na świecie – mówił niedawno „Gazecie Wyborczej” prof. Radosław Markowski. – Niezależnie od różnych metodologii, odmiennych źródeł, różnego zasięgu tych przedsięwzięć wszystkie one oceniają stan polskiej demokracji w 2018 i 2019 r. znacząco gorzej niż przed dojściem PiS do władzy”. Według indeksu wolności słowa przygotowanego przez organizację Reporterzy bez Granic Polska znajduje się na 59. pozycji na świecie (spadek o 40 miejsc w ciągu pięciu lat) – a jako jeden z powodów obserwatorzy wymieniają medialną nagonkę poprzedzającą zabójstwo Pawła Adamowicza.

Polska w roku 2020 ma wizerunek kraju bardziej awanturczego, zakłamanego i niedemokratycznego niż w roku 2015, gdy PiS obejmowało władzę.

W oślej ławce populistów

Żeby w pełni zobrazować problem, trzeba cofnąć się o kilka lat. Jak zauważa chociażby Anne Applebaum, publicystka bardzo licząca się w anglojęzycznej debacie, partia Jarosława Kaczyńskiego doszła do władzy na „populistycznej fali” po 2015 r. Jako część tego samego nurtu co Trump i brexit jest postrzegana w kategoriach globalnego i cywilizacyjnego wręcz zagrożenia. Jak na ironię polska prawica cieszy się z rzekomo świetnych relacji z prezydentem USA, nieświadoma, że ma to swoją cenę – bezwarunkowe poparcie i wasalne gesty wobec Trumpa rzutują na wizerunek Polski. Gdy największy przywódca mają do Trumpa ograniczone zaufanie i dystansują się od niego – rząd w Warszawie, nie bacząc na inne sojusze i zobowiązania, stawia wszystko na tę kartę.

Większość problemów rządzący ściągnęli sobie na głowę sami. Już doniesienia o tym, że Polska próbuje polepszyć swój wizerunek, przyczyniały się do jego pogorszenia. I nie tylko dlatego, że – logicznie



Zarząd Fundacji



Marcin Zarzecki

Prezes Zarządu Polskiej Fundacji Narodowej



Michał Góras

Członek Zarządu Polskiej Fundacji Narodowej



Cezary Andrzej Jurkiewicz

Członek Zarządu Polskiej Fundacji Narodowej

że instytucja powołana do poprawy wizerunku Polski za granicą wydaje pieniądze na dodatki do tygodnika „Niedziela”, broszurki o „dekomunizacji ulic”, które warszawiacy dostawali do skrynek pocztowych dwa lata temu, a także rejs dookoła świata jachtem, który kolejny sezon stoi w porcie i do dziś nie ruszył. Stale zaś rosną wynagrodzenia – honoraria członków sześciuosobowego zarządu pochłonięty w 2018 r. ponad 600 tys. zł. Chaotyczność i nieprzejrzystość działań PFN sama w sobie dostarcza materiału na osobny obszerny artykuł.

Wiatr w oczy z Zachodu

„Czy Polska odwraca się od demokracji?”, pyta „New Yorker”. „Polska odwraca się od Zachodu”, odpowiada „New York Times”. Opinie tak zbieżne, że mogłyby być przedmio-

zaskoczeniem, że sympatie prasy i elity za oceanem są raczej po stronie sędziów. Marsz Tysiąca Tóg relacjonowały media od „Guardiana” po Al-Dżazirę, a w wielu tytułach podkreślano międzynarodowy charakter wydarzenia, to, że sędziowie z innych państw maszerowali ulicami Warszawy w geście solidarności z koleżankami i kolegami z Polski.

Nawet zdarzenia z pozoru mało spektakularne bądź lokalne potrafią się przebić za granicę, jeśli dotyczą np. kwestii tak delikatnych jak relacje polsko-żydowskie – światowe media informowały o (trwającym do dziś) sporze rządu z Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN i wstrzymywaniu przez ministra Piotra Glińskiego nominacji na kolejną kadencję prof. Dariusza Stoli. Izraelskie tytuły informowały również o wstrzymywaniu przez prezydenta Andrzeja Dudę nominacji

► rzecz ujmując – jeśli ktoś publicznie ogłasza, że będzie polepszał i naprawiał swój wizerunek, to znaczy, że dobry on nie jest. W marcu 2016 r. – w pierwszych miesiącach władzy PiS – „Financial Times” doniósł, że Polska szuka zagranicznej agencji wizerunkowej, która pomoże, jak pisał autor materiału Henry Foy, „uratować reputację rządu oskarżanego o łamanie konstytucji, podważanie demokracji i zniechęcanie zagranicznych inwestorów”.

Dodatkowy pech PiS na początku kadencji polegał również na tym, że grupy zawodowe, które władza postanowiła pognać – dziennikarze, historycy czy prawnicy – znają języki obce i mają międzynarodowe kontakty. Listy protestacyjne, apele, stanowiska opozycji prędko trafiały do globalnych mediów, a PiS było w stanie odpowiedzieć na to listem otwartym trzeciego garnituru profesorów lub prawników opublikowanym na przychylnym portalu internetowym. Podobnie było w przypadku odwołania dyrektora Pawła Machcewicza z Muzeum II Wojny Światowej i rozwiązania rady muzeum – historyków o światowej rozpoznawalności, takich jak Timothy Snyder czy Norman Davies, zastąpiono m.in. Sławomirem Cenckiewiczem, Markiem Chodakiewiczem, publicystą Piotrem Semką czy ks. Jarosławem Wąsowiczem – duszpasterzem kibiców. Wśród osób powołanych do Rady Muzeum II Wojny Światowej nie brakuje takich, które naukowo wojną się nie zajmują. Nie tak znowu szerokie grono badaczy



Kupiony za 900 tys. euro jacht „I love Poland” miał być wielką promocją Polski. Stał się wielką kompromitacją Polskiej Fundacji Narodowej.

podobno w celu załagodzenia relacji z Europą. Ta sytuacja pokazała najbardziej, że w relacjach z Zachodem ani Polska Fundacja Narodowa, ani wybitna hollywoodzka produkcja nie będą w stanie uratować rządu Zjednoczonej Prawicy przed nim samym.

Zaproponowane zimą 2018 r. poprawki do ustawy o IPN – wprowadzające odpowiedzialność karną za przypisywanie Polakom współodpowiedzialności za Holocaust – były tak mętne, że nie dało się ich sensu zrozumieć tu, w Polsce. Nic dziwnego, że jeszcze bardziej pogubieni, zaszokowani i oburzeni byli zagraniczni obserwatorzy. Przebił się do świadomości zwłaszcza pomysł kary więzienia czy ograniczenia wolności – w kolejnych depeszach i newsach powielano informację, że w Polsce rząd będzie wsadzał do więzienia za „nieprawomyślnie” poglądy i badania

Rachel Donadio z magazynu „Atlantic” – stwierdzały, że słuszne oburzenie, jakie budzi termin „polskie obozy śmierci”, nie uzasadnia kolejnych prób manipulowania historią.

Pojawiały się w tej dyskusji opinie przesadzone, np. słowa Jana T. Grossa, że dziś w Polsce można skazać każdego Żyda, który przeżył Holocaust. Ale – jak tłumaczył mi jeden z zagranicznych korespondentów w Warszawie – skrajną nieodpowiedzialnością i ignorancją było w ogóle zgłoszenie takiej poprawki do ustawy o IPN i oczekiwanie, że Amerykanie i Żydzi nam przyklasną. A takie – twierdzą niektórzy – było przekonanie w PiS. Trzeba kompletnie nie wiedzieć, jak postrzega się ograniczanie wolności słowa w USA, jak odbierane są próby zawłaszczania czy przejmowania pamięci Zagłady w Izraelu i jak dalece ważniejszym niż Polska sojusznikiem USA jest państwo żydowskie, żeby w ogóle formułować takie oczekiwania.

Nie znając międzynarodowego kontekstu, forsowano więc dla bieżących, partykularnych, krajowych celów pomysł, który wpłynął na naszą reputację w świecie. A brak wcześniejszych dyplomatycznych konsultacji tej inicjatywy i akcji wizerunkowej był błędem niegodnym nawet amatora. Co ciekawe – o czym pisał we wspomnianym już tekście o interesach Polskiej Fundacji Narodowej Andrzej Stankiewicz z Onetu – właśnie wtedy, gdy był tak potrzebny, aparat propagandowy PFN okazał się zupełnie nieprzygotowany. Gdy racje rządu w Warszawie desperacko wręcz wymagały przekładu na język światowej dyplomacji i nowoczesnego PR,

W indeksie wolności słowa Reporterów bez Granic Polska w ciągu pięciu lat spadła o 40 miejsc i jest na 59. pozycji na świecie.

obecnych w międzynarodowym obiegu i zdolnych popularyzować wiedzę o Polsce postanowiono zrazić, pozyskując w zamian osoby w świecie anonimowe lub kojarzone wyłącznie z PiS. Konflikt wokół muzeum był relacjonowany w najważniejszych światowych tytułach prasowych

Seria prosto w kolano

Początkowe porażki błędną jednak przy skandalu związanym z nowelizacją ustawy o IPN, który wybuchł wkrótce po tym, jak premierem został Mateusz Morawiecki, powołany

naukowe. Słowa więzienie i ograniczenie wolności natychmiast obudziły u amerykańskich, brytyjskich czy izraelskich dziennikarzy najgorsze skojarzenia.

Projekt został oprotestowany przez Instytut Yad Vashem, na łamach „Guardiana” pojawił się list naukowców i postaci życia publicznego protestujących przeciwko pomysłowi, całość zaś szybko została nazwana ustawą holokaustową – *the Holocaust law* – co i bez kontekstu brzmi wystarczająco makabrycznie. Nawet dziennikarki, które chciały przedstawić racje rządu w Warszawie – choćby

agencje wizerunkowe, za które płaci polski podatnik, i wynajęci specjaliści nic z siebie nie wykrzesali. Gdy przeszukuję internetowe archiwa, by znaleźć jakiś korzystny dla rządu PiS artykuł z tamtych dni, znajduję esej w magazynie „Foreign Policy”, pod którym podpisał się... premier Mateusz Morawiecki.

Ustawa o IPN i związany z nią kryzys tylko podkreśliły wizerunek Polski jako kraju, który maniakalnie wypiera zarzuty o antysemityzm, samemu popadając w antysemityzm i historyczne kłamstwo. A przecież z tą oceną PiS miało – w naszym imieniu i za nasze pieniądze – walczyć. To kryzys wokół ustawy o IPN przyczynił się do osłabienia prestiżu ubiegłorocznych obchodów wybuchu II wojny światowej i niedawnej rocznicy wyzwolenia obozu Auschwitz-Birkenau. Nie pomógł – ujmując to łagodnie – fakt, że trzy tygodnie po uchwaleniu przez Sejm nowelizacji ustawy o IPN premier Morawiecki oddawał honory Brygadzie Świętokrzyskiej, składając kwiaty na grobowcu jej żołnierzy nieopodal Monachium. A skoro jesteśmy przy Brygadzie Świętokrzyskiej, trzeba dodać, że obchody 75. rocznicy jej utworzenia, pod patronatem prezydenta Andrzeja Dudy, zostały odnotowane przez agencję Associated Press i w świat poszła depesza o tytule „Polska uhonorowała wojenną partyzantkę kolaborującą z nazistami”.

To nie miało prawa się udać

Dlaczego zatem walka o lepszy wizerunek Polski i propaganda historyczna przynoszą skutek odwrotny do zamierzonego? Każdą politykę trzeba oceniać w przynajmniej dwóch wymiarach: motywacji, jaka jej przyświeca, i celu, jaki realizuje. Z budowaniem przez PiS wizerunku Polski za granicą jest o tyle łatwiej, że i motywacje, i cel tej polityki wychodzą od jednego hasła – „pedagogiki wstydu”. Zaczęło się ono pojawiać w publicystyce na początku drugiej dekady XXI w. – do słownika prawniczego dziennikarstwa weszło mocniej po 2012 r., przy okazji premiery filmu „Pokłosie” Władysława Pasikowskiego z Maciejem Stuhrem. Wtedy do zerwania z „pedagogiką wstydu” zaczęły wzywać środowiska stosunkowo jeszcze marginalne, a w 2015 r. było to już hasło przy-

denta Andrzeja Dudy i wygrywającego wybory Jarosława Kaczyńskiego. „Pedagogika wstydu” oznaczała w największym skrócie taką edukację historyczną, taką kulturę masową i debatę publiczną, które – zdaniem jej krytyków – skłaniały Polaków do wstydu się własnej historii, a wskutek tego do pokory i bezradności w relacjach międzynarodowych, szczególnie wobec państw UE, zwłaszcza Niemiec, i Rosji.

W tym hasle zawierały się i motywacja, i cel: należy zacząć wyrażać dumę i przestać się wstydić, a międzynarodowa pozycja Polski i szacunek dla niej wzrosną. Nie trzeba wielkiej analizy, by zobaczyć, że to w istocie nie program polityczny, ale zakłęcie, które nie miało prawa zadziałać.

Polska w roku 2020 ma wizerunek kraju awanturniczego, zakłamanego i niedemokratycznego.

A jednak PiS w jego moc uwierzyło i postanowiło wprowadzić je w życie. Wstyd, a właściwie postulat braku wstydu i czerpania z tego dumy – jak zauważał na łamach „Tekstów Drugich” prof. Przemysław Czapliński – znalazł się w centrum kulturowego projektu Jarosława Kaczyńskiego. Jednak i założenia, i logika, i wszelkie faktyczne przejawy „pedagogiki wstydu” były fałszywe – nie sposób zweryfikować, czy sprawdzają się gdziekolwiek poza prawicową wyobraźnią.

Co więcej, rządząca prawica – zgodnie z maksymą wyrażoną także przez ministra Glińskiego – uznała, że kluczowy okres historyczny, który stanie się podstawą pozytywnej narracji o Polsce, to II wojna światowa. Był to zupełnie chybiony strzał, i to z trzech powodów. Po pierwsze, o pamięć i heroiczny mit o II wojnie światowej konkurują właściwie wszyscy liczący się gracze: USA, Rosja, Izrael, Wielka Brytania, Francja, nawet w pewnych wymiarach Niemcy. Po drugie, lata wojny i powojnia pełne są historii o przemocy, okrucieństwie i podłości – co w czasach koniunktury na historię antykolonialną, feministyczną i pacyfistyczną wymaga zupełnie innego podejścia, obcego usposobionej militarystycznie i narodowo polskiej prawicy. Po trzecie, Polska już miała (i to nie jeden, lecz dwa!) historyczne mity o niebagatelnym znaczeniu – Solidarność i pokojową zmianę systemu w 1989 r., z III RP, dołączeniem do

struktur NATO i UE oraz polskim kapitalizmem. To, że w Polsce zdarzenia te i procesy będą przedmiotem sporów i wcale nie muszą być źródłem dumy, jest bez znaczenia. Świat widział je w kategoriach jednoznacznych sukcesów i wielkich symboli o ponadnarodowym znaczeniu. Polski rząd – gdyby chciał – mógłby do woli zamęczać zagraniczną publiczność historiami o sukcesie ostatnich 30 lat i przedstawiać Polskę jako przykład udanej pokojowej transformacji. Dowodem niech będzie choćby przemówienie Baracka Obamy na pl. Zamkowym w 2014 r. Taka polityka była jednak nie do pogodzenia z opowieścią o „Polsce w ruinie” i nawet gdyby ktoś dzisiaj rozważał wskrzeszenie tego mitu, miałby problem z wiarygodnością.

To zaś łączy się z jeszcze jedną rzeczą, o której usłyszałem od pracujących w Polsce korespondentów anglojęzycznych mediów. PiS nie lubi tych żyjących Polaków i Polek, którzy odnieśli międzynarodowy sukces i cieszą się rozpoznawalnością. Przykłady? Olga Tokarczuk, Lech Wałęsa, Agnieszka Holland, Krzysztof Warlikowski, Dorota Masłowska czy Wilhelm Sasnal. A to przede wszystkim o kulturze, „Wiedźminie”, grach komputerowych, literaturze, serialach czy naszym malarstwie, architekturze i dizajnie chcieliby dziś słuchać zainteresowani naszą częścią Europy młodzi obywatele świata. Nie – choćbyśmy bardzo sobie tego życzyli – o agresji hitlerowskich Niemiec na Polskę i nie o „żołnierzach wyklętych”.

Jakub Dymek



Andrzej Dryszel

Niepokorni dostaną nauczkę

Sąd sądem, a sprawiedliwość musi być
po stronie władzy

A więc wojna! Bezterminowe zawieszenie Pawła Juszczyszyna, bo-
daj najbardziej dziś znanego sędziego
w Polsce, oraz podpisanie przez
prezydenta Andrzeja Dudę ustawy
rozszerzającej odpowiedzialność
dyscyplinarną sędziów otwierają zu-
pełnie nowy etap antysędziowskiej
ofensywy prowadzonej przez Prawo
i Sprawiedliwość.

To już nie tylko wojna na gesty
i na słowa, lecz także zapowiedź star-
cia w wymiarze bardziej konkretnym.

Teoretycznie przecież można so-
bie wyobrazić, jak sędziego Juszc-
zyszyna, pragnącego zapoznać się
w sądzie z aktami sprawy, w której
chciałby orzekać mimo zawiesze-
nia, powstrzymuje policja sądowa
(podlegająca komendzie woje-
wódzkiej, a pośrednio ministrowi
spraw wewnętrznych, członkowi
obecnej ekipy).

Jak wiemy, do tego nie doszło,
nikt jednak nie wie, co spotka
każdego innego sędziego, który
pójdzie śladem olsztyńskiego ko-
legi i tak jak on zechce sprawdzić
niezależność i niezawisłość człon-
ków jakiegoś składu orzekającego.

**Podobne zastrzeżenia co sędzia Juszczyszyn zgłaszają
pełnomocnicy stron w wielu innych sprawach.**

A to może oznaczać łatwe podważenie wyroków.

Bo oczywiście nie chodzi tu o po-
jedynczego sędziego Juszczyszyna
– choć on już na zawsze będzie tym
pierwszym, który został zawieszony
przez Izbę Dyscyplinarną Sądu Naj-
wyższego.

To jest konflikt znacznie po-
ważniejszy. Chodzi o niezależność
i niezawisłość całego wymiaru spra-
wiedliwości w Polsce – i o granice
wpływu pisowskich działaczy partyj-
no-rządowych na sądownictwo.

Wyroki łatwe do podważenia

Przypomnijmy: sędzia Paweł Juszc-
zyszyn w listopadzie zeszłego roku
rozpatrywał w sądzie okręgowym
apelację w sprawie cywilnej o zapła-
tę. Uznał, że nie jest przekonany, czy
sędzia, który orzekał w pierwszej in-
stancji, jest rzeczywiście obiektywny
i niezawisły. Jego wątpliwości wzię-

ły się stąd, że była to osoba, której
kandydatura na stanowisko sędziego
została przedstawiona prezydentowi
przez nową Krajową Radę Sądowni-
ctwa. Nową – czyli zdominowaną
przez kandydatów PiS.

Spośród 25 członków KRS 16 jest
reprezentantami obecnej ekipy (było-
by 18, gdyby nie to, że Senat został
odbity w wyborach z rąk PiS i wybrał
do KRS jednego senatora niezaleź-
nego, a drugiego z Koalicji Obywa-
telskiej). Taki skład w oczywisty spo-
sób odbiera nowej Krajowej Radzie
Sądownictwa walor niezależności od
oboju rządzącego.

Zauważyła to Komisja Wenec-
ka, uznając, że ów sposób wybo-
ru KRS jest jednym z czynników
umożliwiających władzy ustawo-
dawczej i wykonawczej ingerencję

w wykonywanie władzy sądowni-
czej, co prowadzi do poważnego
zagrożenia niezawisłości sędziow-
skiej. W innej opinii komisja wska-
zała, że ustawa rozszerzająca odpo-
wiedzialność dyscyplinarną sędziów
(tzw. kagańcowa) ogranicza swobo-
dę ich wypowiedzi i grozi im karami
za decyzje wydawane na podstawie
prawa Unii Europejskiej.

Zależność Krajowej Rady Są-
downictwa od oboju rządzące-
go okazałaby się jeszcze większa,
gdyby wyszło na jaw, że sędziowie
wybrani przez Sejm do KRS wcale
nie uzyskali wyraźnego popar-
cia innych sędziów (które powinni
mieć, aby do KRS startować), lecz
są politycznymi nominatami, wy-
typowanymi przez władzę dlate-
go, że rozumieją jej oczekiwania –
i w związku z tym będą zgłaszać na
stanowiska sędziowskie podobnych

sobie kandydatów, mogących orze-
kać wedle życzeń tej władzy.

Zachodzi prawdopodobieństwo,
że tak właśnie jest i wybór sędziów
do KRS odbył się w nieprawidłowy
sposób – a więc nieprawidłowe są
także ich rekomendacje na stano-
wiska sędziowskie. Pisowska ekipa
nie chce bowiem ujawnić list po-
parcia dla sędziów wybranych do
KRS, mimo prawomocnych wyro-
ków, które to nakazują. Zbigniew
Ziobro oświadczył zaś publicznie,
że zgłoszono sędziów, którzy by-
li gotowi współdziałać w reformie
sądownictwa (rozumianej przez
władzę jako szeroka wymiana kadr
sędziowskich).

Sędzia Juszczyszyn postanowił
się przekonać, czy sędziowie za-
siadający w KRS rzeczywiście są
wybrani właściwie i czy w związku
z tym sędzia, o którego mu chodziło,
również został zgłoszony w sposób
prawidłowy, redukujący wątpliwości
co do jego obiektywizmu i niezawi-
słości oraz pozwalający mu orzekać.
Wydał więc postanowienie nakazu-
jące ujawnienie list poparcia dla sę-
dziów wybranych do nowej Krajowej
Rady Sądownictwa. Konsekwencją
stała się cała lawina wydarzeń.

Jak widać, wszystko to jest bar-
dzo zawile, a koncept, że o prawidło-
wości działania składu orzekającego
w sprawie o zapłatę ma decydować
kształt list poparcia dla członków
KRS, wydaje się karkołomny.

Uprośćmy więc: chodzi o to, że
jeśli nieprawidłowa była lista popar-
cia dla sędziego kandydującego do
nowej KRS, to i jego wybór do KRS
jest nieprawidłowy. W rezultacie
formalnie nieprawidłowe jest też
zgłoszenie przez taką KRS kandyda-
ta na sędziego oraz jego późniejsze
mianowanie przez prezydenta. Sę-
dzia wybrany nieprawidłowo nie po-
winien zaś orzekać (co jednak, zgod-
nie z uchwałą Sądu Najwyższego, nie



Sędzia Paweł Juszczyński już na zawsze będzie tym pierwszym, który został zawieszony przez Izbę Dyscyplinarną Sądu Najwyższego.

oznacza, że jeśli już orzeka, to każdy wydany przez niego wyrok jest z założenia nieprawidłowy).

Nie zmienia to faktu, że sędzia Juszczyński nie miał merytorycznego powodu, by domagać się ujawnienia list poparcia do KRS (aczkolwiek nie powinien być za to ścigany przez Izbę Dyscyplinarną SN, gdyż jak uznał Sąd Najwyższy, skład tej izby jest obsadzony sprzecznie z prawem). Nie ma to przecież żadnego znaczenia dla jego własnego rozstrzygnięcia w tej sprawie.

Jarosław Kaczyński i jego podwładni postanowili pokazać, że nie cofną się ani o krok w pacyfikowaniu oporu sędziów.

Rzecz jednak w tym, że podobne zastrzeżenia co sędzia Juszczyński zgłaszają pełnomocnicy stron uczestniczących w wielu innych sprawach. Podnoszą oni, że w składzie orzekającym zasiada sędzia rekomendowany przez nową KRS – a to może oznaczać, że wydany przez niego wyrok będzie łatwy do podważenia.

Sądy coraz częściej zawieszają zaś takie postępowania, bo uznają, że trzeba zbadać, czy ów sędzia został powołany we właściwy sposób,

czy też należy go wyłączyć. Wszystko to oczywiście przeciąga postępowania, które i tak pod rządami ministra Zbigniewa Ziobry trwają coraz dłużej.

Gra o wyższą stawkę

Naturalnie w wypadku sędziego Juszczyńskiego nikt nie udaje, że chodzi o tę jedną konkretną sprawę o zapłatę. Wiadomo przecież, że stawką jest możliwe ujawnienie całego systemu wywierania wpływu na sędziów. Dlatego właśnie obecna ekipa broni utrzymania w tajemnicy list poparcia dla członków KRS jak własnej władzy. I ma rację, bo gdyby się okazało, że te listy nie zostały rzetelnie sporządzone, jej władza zawisłaby na włosku. Uruchomiono zatem wszelkie mechanizmy mające uniemożliwić ujawnienie list.

Sędzia Juszczyński został natychmiast cofnięty z sądu okręgowego do rejonowego, a prezes tego sądu Maciej Nawacki (członek nowej Krajowej Rady Sądownictwa) zawiesił go w orzekaniu na miesiąc (na dłużej nie miał prawa). Tę decyzję uchyliła Izba Dyscyplinarna Sądu Najwyższego, która uznała, że nie ma konieczności zawieszenia.

Niepokorny Juszczyński nie zrozumiał jednak gestu dobrej woli. Gdy wrócił do pracy, postanowił zapoznać się z listami poparcia – co wymagało podróży z Olsztyna do Kancelarii Sejmu. Delegację na wyjazd do stolicy cofnął mu wszakże prezes Nawacki. Tyle że gdy wysłał pismo w tej sprawie, był na urlopie. Jego zastępca, wiceprezes Krzysztof Krygielski (widocznie słabiej

pismem, poinformował, że przerywa urlop. Z formalnego punktu widzenia, cofając zgodę na delegację dla Juszczyńskiego, prezes Nawacki wciąż był zatem na urlopie.

Takimi drobiazgami jednak nikt już się nie przejmował. Gdy więc sędzia Juszczyński dojechał do Kancelarii Sejmu, jej szefowa Agnieszka Kaczmarek położyła się Rejtanem, byle tylko nie pokazać Juszczyńskowi list poparcia. I nie pokazała.

Potem poszło już ostrzej. Zebrała się Izba Dyscyplinarna Sądu Najwyższego i orzekła – choć po uchwale Sądu Najwyższego z 23 stycznia br. orzekać nie mogła – że Juszczyński zostaje zawieszony. Broń Boże nie jest to jednak kara, bo o jej ewentualnym wymierzeniu zadecyduje dopiero sąd dyscyplinarny po przeprowadzeniu wnikliwego postępowania. Chodzi po prostu o to, by na czas postępowania pomóc sędziemu Juszczyńskowi w powstrzymaniu się od orzekania. Skoro zaś postępowanie ma być wnikliwe, trudno, aby trwało krótko. Zawieszenie sędziego Juszczyńskiego może być nawet kilkuletnie (maksymalnie osiem lat). W tym czasie jego zarobki będą obcięte o 40%, bo przecież nie orzeka. Zgodnie z prawem w trakcie zawieszenia sędziego można mu zmniejszyć wynagrodzenie o 25-50%. Izba Dyscyplinarna wybrała obcięcie bliższe górnej granicy. Chodzi bowiem o profilaktykę, tak przecież ważną w pracy sędziów. Muszą oni zrozumieć i zapamiętać, że za działania niezgodne z oczekiwaniami władz dostaną tak mocno po kieszeni, że im się odechce.

Wspólnymi siłami

Była to swoista demonstracja siły. Jarosław Kaczyński i jego najważniejsi podwładni postanowili pokazać, że nie cofną się ani o krok w działaniach mających spacyfikować opór sędziów, którzy poważnie traktują niezależność wymiaru sprawiedliwości. Zapewne dlatego zawieszenie Juszczyńskiego i podpisanie ustawy kagańcowej przez prezydenta nastąpiło w tym samym dniu, w którym w Polsce przebywał prezydent Francji, „wyrażający zaniepokojenie” zmianami w wymiarze sprawiedliwości i pragnący „wzmocnienia dialogu” naszego kraju z Komii ▶

► są Europejską. No to zobaczył, jak wygląda ten dialog.

Sędzia Juszczyszyn ponownie nie chciał zrozumieć – i postanowił przystąpić do pracy, chociaż został zawieszony. Widocznie uznał, że już nie ma nic do stracenia. Przedstawiciele Izby Dyscyplinarnej uświadomili mu jednak, że jak najbardziej ma. Jeśli bowiem podejmie próbę orzekania, na pewno narazi się na kolejny zarzut dyscyplinarny.

Natomiast prezes Maciej Nawacki postanowił, że sprawy, w których miał on orzekać, zostaną rozlosowane pomiędzy innych sędziów sądu rejonowego. Juszczyszyn nie ma już dostępu do żadnych akt, jego kartę zdezaktywowano, został odcięty od zasobów informatycznych sądu. Może przebywać w sądzie jak każdy obywatel – ale tylko w swoim pokoju oraz w bibliotece sądowej.

Nieco trudniej poszło z olsztyńskim sądem okręgowym, w którym Juszczyszyn pracował jako sędzia delegowany. Zgodnie z przepisami w sprawach przed sądami okręgowymi z zasady nie zmienia się składu, więc Juszczyszyn chciał orzekać. Z pomocą przyszła choroba sędziego będącego w tym samym składzie orzekającym. Trzeba trafiać, zapadł on na zdrowiu akurat wtedy, gdy Juszczyszyn zapragnął wrócić do pracy. Sprawa, która miała być rozstrzygana, została zdjęta z wokandy.

W tej sytuacji Juszczyszyn się poddał i oświadczył, że nie ma faktycznej możliwości wykonywania zawodu.

Przy okazji warto zwrócić uwagę, jak duża rzesza ludzi działała wspólnie i z poświęceniem po to, by uniemożliwić pracę tylko jednemu sędziemu. To piękny przykład niezwykłego talentu destrukcyjnego, w którego rozwijaniu specjalizuje się ekipa rządząca.

Jeśli zaś Tobie, Czytelniku, zdarzy się mieć sprawę w sądzie, która zostanie odroczone, bo trzeba zbadać prawidłowość obsady składu orzekającego z udziałem sędziego rekomendowanego przez nową KRS – pamiętaj, że to właśnie efekt „reformy” sądownictwa wprowadzanej przez obecną władzę. A takich spraw będzie coraz więcej.

Andrzej Dryszel

Związek na XXI wiek

Wszystkie badania pokazują, że jeśli w zakładzie działa związek zawodowy, od razu polepszają się warunki pracy

Rozmawiają Jerzy Domański
i Robert Walenciak

Panie przewodniczący, gratulujemy wyboru na funkcję szefa OPZZ. Jan Guz zmarł nagle, związkowcy na jego miejsce wybrali pana.

– Śmierć Jana wszystkich nas zaskoczyła i przygnębiła. Ale musieliśmy się jakoś pozbierać. Miałem okazję i przyjemność 12 lat współpracować z Janem, więc byłem wprowadzony i w jego metody działania, i we wspólnie wyznaczane cele. I tak jak w dniu wyborów na przewodniczącego powiedziałem – będę się starał, żeby mój czas był twórczą kontynuacją. To, co wypracowaliśmy wcześniej, było wartościowe. OPZZ wybiło się na centralę, która ma duże uznanie zarówno w europejskim ruchu związkowym, jak i wśród partnerów społecznych, a nawet uznanie rządu.

RDS: gdzie jest dialog?

W Polsce konflikt goni konflikt: polityczny, ideowy, światopoglądowy... A związki powinny działać na bazie dialogu społecznego. Jak ocenia pan Radę Dialogu Społecznego i to, co w niej się dzieje?

– Niestety, dość krytycznie. Oczywiście RDS to znakomite narzędzie do negocjacji i wypracowywania wspólnych stanowisk. Tylko trzeba tego narzędzia używać! Tymczasem rząd wykorzystuje RDS nie do negocjacji, ale jako forum, na którym informuje nas o swoich pomysłach i przedsięwzięciach. A czasami nawet tego nie robi, bo wiele ważnych ustaw najpierw trafia do parlamentu, a dopiero później do partnerów społecznych.

Rząd wykorzystuje chytrą ścieżkę, że projekt nie jest rządowy, tylko poselski.

– A przecież nie po to powołano Radę Dialogu Społecznego, żeby

się okładać kruczkami prawnymi, tylko po to, żeby się i rozmawiać o najważniejszych problemach. My już w styczniu 2019 r. wnioskowaliśmy, by rozmawiać w RDS o sytuacji w oświacie, bo widzieliśmy, że są napięcia, które grożą wybuchem, a rząd to bagatelizował. Dopiero gdy rozpoczął się strajk, zaczęły się rozmowy. A to znaczy, że Rada Dialogu Społecznego poniosła porażkę. Bo jej celem jest zapobieganie konfliktom!

W jakiej sprawie RDS się sprawdziła?

– W ostatnich dwóch-trzech latach mamy więcej wspólnych stanowisk z pracodawcami niż z rządem. Jako związkowcy mamy świadomość, że jeśli nie będzie zakładów pracy, to nie będzie miejsc pracy. Dlatego musimy ich bronić. W ten sposób mamy wspólne interesy z pracodawcami.

W jakich branżach relacje pracodawcy-związkowcy są lepsze, a w jakich jest pod górę?

– Pod górę mamy zawsze ze wspólnym stanowiskiem dotyczącym tempa wzrostu wynagrodzeń. A to dla nas jedna z kluczowych spraw. Natomiast mamy dobre przykłady w wypracowywaniu zmiany ustawy o zamówieniach publicznych, tak aby nie sprzyjała generowaniu umów śmieciowych. Mamy z pracodawcami dobre porozumienie dotyczące Funduszu Pracy, który dzisiaj jest wykorzystywany wręcz niezgodnie z ustawą. Mamy wspólny projekt ustawy o Funduszu Podnoszenia Kompetencji, który w zakładach pracy mógłby pomóc lepiej przygotować pracowników. W kilku sprawach naprawdę się porozumieliśmy.

Związki: przyjaciel czy wróg?

A jak pracodawcy traktują związki zawodowe w zakładach pracy? Nie jest tak, że wolą, żeby były słabe, nieliczne, a najlepiej, żeby w ogóle ich nie było?



**ANDRZEJ
RADZIKOWSKI**
– przewodniczący OPZZ

– Ta tendencja się utrzymuje, choć w dużych firmach jest lepiej. W niektórych koncernach międzynarodowych, zwłaszcza takich, które mają siedzibę w Skandynawii, wręcz wspiera się związki zawodowe. Utrzymuje się z nimi stały kontakt, jest zasada, że raz w tygodniu przedstawiciele zarządu spotykają się z szefami związków zawodowych, by omówić nastroje i sytuację w zakładzie.

Dlaczego taka prosta myśl, że jeśli w zakładzie są związki, to są buforem i można dzięki nim uniknąć różnych wpadek, nie dociera do polskich menedżerów i pracodawców?

– Trudno mi powiedzieć... Być może trochę wiąże się to z tym, i potwierdzają to kontrole Państwowej Inspekcji Pracy, że w małych i średnich przedsiębiorstwach częściej jest łamane prawo pracy. Ci właściciele boją się, że jak będzie związek, wszystko to wyłapie.

Wspomniał pan o Państwowej Inspekcji Pracy. Dość powszechne jest przekonanie, że tutaj piłka jest po stronie rządu, który nie dba o właściwe dofinansowanie PIP. Poza tym, żeby realnie działać, inspektorzy muszą dysponować odpowiednimi sankcjami.

– Zdecydowanie! Jako OPZZ uważamy, że PIP należy wzmocnić i kadrowo, i finansowo, żeby wyższe były tam wynagrodzenia. In-

spekcja powinna też dostać więcej narzędzi. Jeżeli dziś kara grzywny za niewłaściwe warunki pracy jest symboliczna, to opłaca się złamać prawo i zapłacić, bo zyski są większe niż kara. Dlatego wysokość kar powinna wzrosnąć. A przedsiębiorcy nam mówią, że są temu przeciwni. Zapytałem ich więc, czy reprezentują

Mamy coraz większe wątpliwości co do drogi, którą ten rząd idzie, w jaki sposób chce poprawić sytuację materialną Polaków.

przedsiębiorców uczciwych, czy nieuczciwych. „No, uczciwych”, odpowiedzieli. „To czego się boicie?”.

Budżetówka: tam zagląda bieda

Alarmująca jest sytuacja w budżetówce. Oferowane tam zarobki w znacznym stopniu ograniczają dopływ ludzi z większymi kwalifikacjami.

– Zapaść płacowa w budżetówce narasta od kilku lat. Dzisiaj wynagrodzenia często są tam takie, że nie chronią już przed biedą. A jeżeli mamy niskie wynagrodzenia, to trzeba dużych transferów socjalnych. W ubiegłym roku trzeba było na nie przeznaczyć ok. 90 mld zł. Ale żeby je sfinansować – trzeba było skądś wziąć pieniądze. Dlatego mamy w Polsce gigantyczne obciążenie wynagrodzeń pracowniczych i coraz większe podatki. Z każdego 1000 zł,

które przeznaczają się na wynagrodzenia, do budżetu państwa wraca 550 zł. Pracownik więcej daje państwu, niż zostawia dla siebie. To nie jest normalna sytuacja – bo niskie dochody powodują, że ma niską siłę nabywczą, jest biedny. A jak jest biedny, to trzeba mu zapewnić transfer socjalny.

I koło się zamyka.

– A rząd opodatkowuje, co się da. Jego najnowsze pomysły to dodatkowe podatki na niektóre napoje, bo zawierają cukier, na suplementy diety i na alkohol w małych butelkach, tak jakby picie z dużych butelek było zdrowsze.

Budżetówka ze swoimi niskimi płacami jest więc okazją do rozwoju związków zawodowych.

– W sprawie płac w budżetówce osiągnęliśmy wspólne stanowisko wszystkich trzech central związkowych i oczekujemy w tym roku co najmniej 15-procentowej podwyżki. Rząd przyjął, że wyniesie ona 6,3%. Nas to nie satysfakcjonuje. Co więcej, w tych zabiegach mamy wsparcie pracodawców, którzy zaczynają patrzeć na problem ze swojej strony. I mówią: „Słabo opłacani pracownicy budżetówki to coraz gorzej pracujące urzędy i coraz trudniej

załatwia się tam sprawy”. Okazuje się, że mamy wspólny interes, żeby budżetówka była lepiej opłacana i funkcjonowała sprawniej.

Dwie niedziele dla każdego

OPZZ miało sensowną, kompromisową koncepcję rozwiązania sprawy niedziel handlowych. Żeby dać zarobić tym, którzy chcą, emerytom, studentom itd. I żeby kupujący nie stali w sobotę po dwie-trzy godziny w kolejkach w centrach handlowych, jak to się dzieje obecnie.

– Na problem niedziel handlowych patrzemy szerzej. Owszem, uznajemy, że trzeba walczyć o lepsze warunki do godzenia życia prywatnego i zawodowego. Ale nie tylko dla tych 100 tys. osób, które pracują w handlu, ale dla wszystkich 16 mln pracujących. Dlatego nasza propozycja brzmi tak: po pierwsze, co najmniej

► dwie niedziele wolne kodeksowo dla każdego pracownika. Po drugie, jeżeli ma być praca w niedzielę, niech będzie dobrowolna. A po trzecie – niech będzie lepiej opłacana. Żeby pracownikowi łączyła się i żeby pracodawca się zastanowił, czy warto. **Rządowi chodzi nie o to, żeby pracownikowi dać wolne, tylko żeby sklep był zamknięty w niedzielę.** Poza tym jest bardzo silny nacisk Solidarności pracowników handlu.

– Ale w niedzielę pracuje cała masa innych grup. Otwarte są restauracje, stacje benzynowe, kina, pracuje

pogotowie... Chyba nie powinno być tak nierównego traktowania pracowników w zależności od tego, gdzie pracują? Dodam więcej: na dwie wolne niedziele w miesiącu, zapisane w Kodeksie pracy, zgodzili się nawet pracodawcy. To było nasze wspólne stanowisko w rozmowach z rządem.

Ale rząd się nie zgodził.

– Rząd, wprowadzając zakaz handlu w niedzielę, argumentował, że jest on ochroną rodzimego handlu. To się nie sprawdziło. Z raportów widać, że zamyka się więcej małych

sklepów niż w latach poprzednich. My przed tym ostrzegaliśmy!

Po pierwsze, negocjacje

Z pańskich słów wynika, że zmienił się charakter działania związków zawodowych. Już nie tylko strajk, spór z pracodawcą, ale przede wszystkim negocjacje. Zmienia się więc i obraz związkowca, mającego teraz inne zadania.

– Próbuje my z związkowcom w tym pomóc. Od kilku lat realizujemy szkolenia pogłębiające wiedzę z zakresu prawa pracy, prawa związkowego, mediacji, negocjacji, budowania i przekazu informacji. Jeżeli dziś główną formą osiągania celów są negocjacje, to mamy świadomość, że po stronie zarządu siadają ludzie właśnie tym się zajmujący, dobrze wykształceni specjaliści, i trudno, żeby oderwany od maszyny pracownik bez naszego wsparcia i przygotowania im dorównał.

A kiedy dochodzi do sytuacji strajkowych?

– Jest to zawsze poprzedzone – i musi być poprzedzone – po pierwsze, negocjacjami, ale też wnikliwymi analizami prawnymi, żeby nie zrobić nikomu krzywdy.

Co to znaczy krzywdy?

– Za ogłoszenie i przeprowadzenie strajku odpowiada zawsze organizator, czyli kierownictwo zakładowej organizacji związkowej. A niestety coraz częściej mamy próby podważania przez pracodawców legalności strajku. Konsekwencje strajku nielegalnego mogą być dla organizatorów bardzo poważne – od zwolnienia z pracy po odszkodowania. Musimy więc pilnować, żeby wszystkie procedury były zgodne z prawem.

I pilnujecie tego?

– Pilnujemy. Chociaż czasami nasi związkowcy ulegają jakimś podszeptom z boku i powstają problemy.

Zmieniły się też działania na szczeblu krajowym.

– Zawsze mówię, że nie sztuka mieć rację, sztuką jest umieć do tej racji przekonać większość. My dzisiaj przywiązujemy większą wagę do przekazywania naszych pomysłów nie tylko politykom i pracodawcom, ale również całemu społeczeństwu. Tłumaczymy, wyjaśniamy... Takie są też nasze doświadczenia – że politycy dość uważnie obserwują rynek spo-

teczny i jeżeli są oczekiwania społeczne, które mogą im przysporzyć chwały, to na nie odpowiadają. Oczywiście nie przyznają się, że to jest pomysł tego czy innego związku, ale z naszego punktu widzenia bardziej się liczy, żeby dobry pomysł wszedł w życie.

To związki rozpoczęły dyskusję o podwyższeniu płacy minimalnej.

– To była dyskusja o potrzebie podwyższenia płacy minimalnej, a wcześniej – o wprowadzeniu minimalnej stawki godzinowej w umowach cywilnoprawnych.

W górnictwie praktycznie 100% załogi należy do związków. I to buduje ich skuteczność.

Te idee najpierw dwa-trzy lata krążyły w przestrzeni publicznej, zanim politycy stwierdzili: „O, to jest ważne, bo za to nas ludzie pochwalą”.

Łatwiej wam teraz. Jest pogoda dla rozwiązań lewicowych, w przeciwieństwie do czasów liberałów.

– W niektórych kwestiach jest nam łatwiej, w innych trudniej. Owszem, obserwujemy trochę działań pracowniczych tego rządu. Ale widzimy także potrzebę polityki prospołecznej, widzimy biedę polskiego społeczeństwa. I mamy coraz większe wątpliwości co do drogi, którą ten rząd idzie, w jaki sposób chce poprawić sytuację materialną Polaków. My uważamy, że powinno się ją poprawiać poprzez podnoszenie wynagrodzeń, bo one, a nie zasiłki, powinny być podstawowym źródłem utrzymania rodziny. Poza tym zasiłki zawsze są wypłacane kosztem wynagrodzeń pracowników.

I są w jakimś stopniu efektem kaprysu prezesa. Ma ochotę, więc da trzynastkę.

– Transfery i świadczenia socjalne zawsze będą zależały od woli rządzących. Natomiast jak już pewien poziom wynagrodzeń zostanie wdrożony, będzie w kraju obowiązywał.

W tych branżach może być gorąco

W Polsce pracuje 2 mln cudzoziemców. Przy OPZZ jest afiliowany związek pracowników ukraińskich. Polacy natomiast pracują za granicą. I tu rodzi się kolejny problem – czy Polak pracujący za granicą ma zarabiać tak jak miejscowi, czy tak jak w Polsce?

– Uważamy, że powinna być równa płaca za tę samą pracę w tym samym miejscu. I mamy w tej sprawie z rządem spór. Dwa lata temu, podczas prac nad ustawą o pracownikach delegowanych, mówiliśmy, że jak już polska firma wysyła pracownika za granicę, to powinien zarabiać tyle, ile pracownik w danym państwie na tym samym stanowisku. Rząd miał odmienne zdanie, zresztą pracodawcy też, oni uważali, że powinien pracować według polskiej stawki.

A w sprawie cudzoziemców pracujących w Polsce?

– Chcemy pomagać pracownikom ukraińskim. Mówimy też rządowi, by uprościć procedury legalnego zatrudnienia Ukraińców, Białorusinów i innych obcokrajowców, przynajmniej w tych zawodach, które wspólnie uznaliśmy za deficytowe. Bo dzisiaj, a ja te procedury znam, żaden pracownik z zagranicy nie jest w stanie samodzielnie przez nie przejść. W związku z tym albo pracuje nielegalnie, albo idzie do nielegalnych pomocników. A przecież jeżeli pracuje legalnie – jego praca jest pod kontrolą, pod nadzorem, można sprawdzić, czy nie jest dyskryminowany. Dlatego związkom zależy, i państwu

Wciąż jest niezadowolone w oświacie. Ale teraz przejawia się sporym odpływem nauczycieli z zawodu.

polskiemu również powinno zależeć, by pracownicy pracowali legalnie.

Rok temu OPZZ przestrzegało, że w oświacie są złe nastroje i może to grozić wybuchem. I do wybuchu doszło. Jakie branże są dziś w podobnej sytuacji?

– Część zawodów medycznych: psycholodzy, laboranci, fizjoterapeuci... Bo tam słabo płacą. Związek zawodowy fizjoterapeutów jest w sporze z rządem, prowadzi rozmowy, zapowiada protesty. Wciąż jest niezadowolone w oświacie. Ale teraz przejawia się ono tym, że notujemy spory odpływ nauczycieli z zawodu. **Głosują nogami.**

– Szczególnie w dużych miastach. I jest kłopot z obsadzeniem etatów.

Zwłaszcza etatów nauczycieli zawodu. Tu jest makabra. Żaden inżynier z doświadczeniem nie pójdzie na płacę 2,6 tys. zł. To jest minimalna płaca stażysty bez kwalifikacji, bo jak przyjdzie inżynier z przemysłu, to nie ma kwalifikacji pedagogicznych, więc może być jedynie na najniższej krajowej. Dlatego nikt nie przychodzi. Na początku tego roku szkolnego rozmawiałem z wieloma dyrektorami szkół zawodowych – we wrześniu wszyscy mieli wolne etaty dla nauczycieli zawodu.

A górnictwo? Tam też zaczyna być nerwowo. Tym bardziej że górników się oszukuje. Premier na Śląsku mówi, że kopalnie będą 200 lat, a w Brukseli zapewnia, że weźmiemy pieniądze z Unii i je pozamykamy. Że będziemy górnictwo wygaszać.

– Bezwzględnie górnictwo i energetyka – bo są powiązane – stoją przed dużymi wyzwaniami. Dyskutowaliśmy na posiedzeniu Europejskiej Konfederacji Związków Zawodowych o projekcie Zielony Ład. I chyba jest on nieunikniony. Dlatego mnie niepokoi, że rząd koncentruje się na potępianiu społeczeństw Unii, które chcą Zielonego Ładu, a w Polsce robi niewiele, żeby go wdrażać. Od czterech lat w Bełchatowie obiecuje się, że otwarta zostanie eksploatacja nowego złoża, nowa kopalnia. Już cztery lata mami się ludzi, że będzie. I nie ma. Ile tak można kręcić?

Najwięcej związków zawodowych jest w górnictwie.

– I są najskuteczniejsze! W górnictwie praktycznie 100% załogi należy do związków. I to buduje ich skuteczność. Często pracownicy z innych branż tej skuteczności im zazdroszą. Wtedy zawsze odpowiadam: „Ty nie zazdrość, tylko naśladowaj. Gdyby w twoim zakładzie 90% pracowników należało do związków zawodowych, na pewno wasza skuteczność byłaby dużo większa”. Zresztą wszystkie badania pokazują, że jeśli w zakładzie działa związek zawodowy, od razu polepszają się warunki pracy.

*Jerzy Domański
i Robert Walenciak*

Zacięte pióro prezydenta

Czym podpadli Walter Żelazny i Michał Bilewicz, że nie mogą się doczekać podpisu Andrzeja Dudy pod nominacjami profesorskimi?

Beata Igielska

Polska nauka spadła w międzynarodowych rankingach. Światowe środowiska naukowe coraz częściej zaś pytają, czy na pewno jest ona wolna, obserwując historię nominacji profesorskich dr. hab. Waltera Żelaznego z Uniwersytetu w Białymstoku oraz dr. hab. Michała Bilewicza z Uniwersytetu Warszawskiego. W pierwszym przypadku prezydent Andrzej Duda nie podpisuje dokumentów już ponad dwa lata, w drugim – ponad rok. Dlaczego? Bo ma takie prawo. Obydwaj kandydaci na profesorów otrzymali pozytywne recenzje Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułów Naukowych (CK), mogą też się pochwalić bogatym dorobkiem międzynarodowym.

Żelazny: Chyba czekają na moją śmierć

Walter Żelazny, były emigrant polityczny i działacz opozycji w PRL, pracuje na Wydziale Historyczno-Socjologicznym Uniwersytetu w Białymstoku od 10 lat. Jest antropologiem kultury, zajmuje się stosunkami etnicznymi. Rada wydziału zgodziła się w 64. roku jego życia sfinansować procedurę profesorską. Wyłożyła 30 tys. zł, bo tyle mniej więcej kosztują recenzje potrzebne do zdobycia tytułu.

Obecnie Żelazny to schorowany 70-latek, po walce z rakiem i długotrwałej depresji. Do tego stanu w niemałym stopniu doprowadziły go perturbacje wokół profesury belwederskiej. Zamieszanie trwa już sześć lat. Najprawdopodobniej to najbardziej przewlekła sprawa o nadanie profesury w Polsce. Żelazny obliczył, że oprócz zdrowia kosztuje go ona z grubsza 100 tys. zł. Jako profesor belwederski miałby wyższą emeryturę, stracił też na honorariach. – W Kanadzie, żeby wygłosić niektóre wykłady, trzeba być profesorem tytu-

larnym. Rezygnowałem z wyjazdów. Nie napisałem książki, ponieważ żyłem w ciągłym stresie. Nie zostałem członkiem PAN, nie brałem udziału w konkursach, do których potrzebna jest profesura belwederska – wymienia Żelazny.

Gorzko stwierdza, że prezydent Duda czeka chyba na jego śmierć. Znużony stanem bezruchu w Kancelarii Prezydenta oddał sprawę w ręce prawniczki. Od lipca 2019 r. pełnomocniczką prawną Waltera Żelaznego jest Małgorzata Necel-Gizowska. We wrześniu w sekretariacie sądu



Walter Żelazny, były emigrant polityczny i działacz opozycji w PRL, dziś schorowany 70-latek, już sześć lat czeka na belwederską profesurę.

wojewódzkiego w Warszawie złożono skargę na Kancelarię Prezydenta RP, która przecież nie bada nominacji i prezydent nie może odmówić ich podpisania. Jego rola jest wyłącznie formalna. Wyjątkiem jest naruszenie praw autorskich przez kandydata do tytułu profesora. Jeśli prezydent ma taką wiedzę, może zwrócić się do Centralnej Komisji z prośbą o skierowanie sprawy do Komisji ds. Etyki w Nauce działającej przy Polskiej Akademii Nauk. Jeśli plagiat zostanie

potwierdzony, procedura wraca do początku, więc nawet gdyby prezydent uważał, że tytuł danej osobie się nie należy, ma obowiązek wydać postanowienie.

Żeby zgromadzić dokumenty procesowe, Żelazny z prawniczką przeszli drogę przez mękę. Do Kancelarii Prezydenta trudno się dopukać. W teczce brakuje choćby tzw. donosu na Żelaznego, który podobno w 2017 r. wpłynął do CK. Tyle że dotychczas nikt tego donosu na oczy nie widział.

Profesorska książka Żelaznego dotyczy twórcy esperanto Ludwika Zamenhafa. Centralna Komisja przetrzymywała dokumenty cztery lata, w tym dwa lata czekały na jedną spóźnioną recenzję.

Interesująca jest recenzja prof. dr hab. Bożenney Chylińskiej z Instytutu Anglistyki UW. 15 marca 2015 r. pani profesor stwierdziła: „Biorąc pod uwagę wszystkie osiągnięcia dr. hab. Waltera Żelaznego od ostatniego awansu, uważam, że spełnia on warunki stawiane kandydatom do tytułu profesora”. Pod tym dokumentem widnieje odręczny dopisek z 7 lutego 2017 r.: „Niniejszym zmieniam konkluzję swojej recenzji z pozytywnej na negatywną”. I podpis.

Po wielu perturbacjach 10 kwietnia 2018 r. prezydent Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułów Naukowych ostatecznie jednogłośnie przyjęło wnioszek o przyznanie tytułu profesora Walterowi Żelaznemu. Został przesłany do Kancelarii Prezydenta. Rok później Żelazny pisze pismo do ministra Andrzeja Dery, na jakiej podstawie prawnej jego nominacja profesorska jest wstrzymywana. Pismo pozostaje bez odpowiedzi.

– Sąd pewnie nakaże prezydentowi złożyć podpis, ale on i tak tego nie zrobi – konkluduje gorzko Żelazny.

Ostatnio zadzwonił do niego pracownik Biura Rzecznika Praw Obywatelskich. Stwierdził, że rzecznik zna dwa przypadki wstrzymywania nominacji profesorskich przez prezydenta:

Żelaznego i Bilewicza. Biuro chciało by przyrzeć się sprawie.

Walter Żelazny w styczniu 2016 r. na marszu KOD wygłosił przemówienie, za które złożono na niego doniesienie do prokuratury. Mówił o rządach PiS: „Boję się, że rządzą nami nawiedzeni wariaci, którym się wydaje, że są w stanie zmienić losy świata i sprawić, żeby wrak samolotu zaczął latać (...). Tej hydrze da się łeb ukreć i zachęcam gorąco, by rozpoczynając ćwiczenia w tym kierunku”. Za słowa o ukrećciu łba hydrze został oskarżony o... nawoływanie do ludobójstwa.

– Dwukrotnie byłem w prokuraturze, powtórzyłem, że nie zmieniam poglądów. Łeb ukrećcić hydrze można w sposób demokratyczny, sprawę umorzono – mówi Żelazny.

Wywleczono jednak przy okazji sprawę sprzed ponad 40 lat: Walter Żelazny znalazł się na liście zastrzeżonej współpracowników SB, gdzie został wpisany jako „Janusz”. Akta pod numerem IPN Rz 00377/364 w dokumentacji dotyczącej Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Rzeszowie [1944] 1983-1990.

– Wpadłem, kolportując paryską „Kulturę”. Zapłaciłem za jej egzemplarze ok. 4,6 tys. zł. Kupiłem je od syna jednego z najwyższych dygnitarzy PRL. SB mi je zabrało, więc zażądałem zwrotu pieniędzy. SB dało mi coś do podpisania i zwróciło mi pieniądze. To wszystko – wyjaśnia Żelazny.

Warto przypomnieć, że wielu naukowców w PRL było zarejestrowanych, bo tylko to umożliwiało pracę naukową lub naukę za granicą. Ludzie, którzy znali Żelaznego w młodości, byli oburzeni. „Nigdy w to nie uwierzę, nigdy nie akceptowałem życia w komunie. Był mądrym, przyjaznym, serdecznym młodym człowiekiem. Uważam, że ten artykuł to pisarowa nagonka”, komentuje jedna z internautek pod artykułem o SB i sprawie „Janusza”.

Bilewicz: Ofiara własnego zaangażowania

Profesor UW, dr hab. Michał Bilewicz, kierownik Centrum Badań nad Uprzedzeniami, jest uznanym przez środowisko międzynarodowe psychologiem społecznym. Specjalizuje się w problematyce dyskryminacji

i uprzedzeń, analizuje antysemityzm, rasizm i mowę nienawiści. Jest do bólu sumienny, badania naukowe przeprowadza etycznie i uczciwie prezentuje ich wyniki. Jest twórczy i kompetentny. Prawicowe media nazywają go pieszczotliwie „lewakiem” lub „grantożercą”. Bilewicz często przypomina, że stereotypy spiskowe, w tym antysemickie, są w społeczeństwie polskim trwałe i szeroko rozpowszechnione. I zdaje się, że padł ofiarą swojego publicznego zaangażowania. Bo trudno doszukać się powodów merytorycznych rocznego oczekiwania na profesurę belwiderską.



Trudno doszukać się powodów merytorycznych rocznego oczekiwania na profesurę belwiderską dr. hab. Michała Bilewicza z UW.

Mimo młodego wieku (39 lat) jego naukowe CV jest imponujące. Mnóstwo publikacji w prestiżowych piśmiach, udział w międzynarodowych konferencjach. Dlatego wstyd z powodu braku prezydenckiego podpisu pod jego profesurą idzie w świat. O sprawie Bilewicza pisały „Die Zeit”, „Le Monde” czy internetowy „Jerusalem Post”. Ponadto 1000 naukowców ze świata podpisało się pod petycją w jego sprawie, a Europejskie Towarzystwo Psychologiczne, zrzeszające towarzystwa krajów członkowskich, wysłało do prezydenta Dudy list. Długo nie było reakcji. Nie tak dawno naukowcy doczekali się odpowiedzi na swoją petycję. Otóż Kancelaria Prezydenta zwróciła się kolejny raz do CK, ponieważ podejrzewała konflikt interesów. Miał on polegać na tym, że

trzech z pięciu recenzentów dorobku Bilewicza to pracownicy Uniwersytetu SWPS. Tylko co Bilewicz ma z tą uczelnią wspólnego? Nikt nie zadał sobie trudu, żeby sprawdzić, że młody naukowiec tam nie pracuje.

– Ponieważ nie rozumiem, z jakiego powodu prezydent wstrzymuje moją nominację, napisałem pismo do jego kancelarii. Odpowiedź przyszła w twardych, pięknych oprawkach, już spodziewałem się happy endu, otwieram, a tam na kartce, że prezydenta nie obowiązują żadne terminy – opowiada Bilewicz. – Mam więc prawo przypuszczać, że istnieją jakieś polityczne powody tej kuriozalnej

sytuacji. Kancelaria Prezydenta pisała do CK w mojej sprawie trzykrotnie. Poproszono nawet o recenzję, co jest dziwne, bo wszystkie dokumenty są jawne, są zamieszczone na stronie CK. Wygląda to na granie na zwłokę. Prezydent i jego otoczenie obawiają się chyba, że podpisując niewygodną nominację profesorską, mogą stracić ileś głosów zwolenników skrajnej prawicy. Szczególnie że już grożą oni na Twitterze, że w razie

mojej nominacji reelekcja prezydenta Dudy jest niepewna.

Kancelaria Prezydenta na pytanie, dlaczego wstrzymywane są te dwie nominacje, odpowiedziała: „Wnioski o nadanie tytułów profesorskich Panu dr. hab. Walterowi Żelaznemu oraz Panu dr. hab. Michałowi Bilewiczowi są w toku procedury realizowanej w Kancelarii Prezydenta RP. Postępowanie w sprawach wymienionych wniosków toczy się na podstawie przepisów Ustawy z dnia 14 marca 2003 r. o stopniach naukowych i tytułach naukowych oraz o stopniach i tytułach w zakresie sztuki (Dz. U. z 2017 r. poz. 1789 z późn. zm.), które nie określają terminu, w jakim postanowienie w sprawie nadania tytułu naukowego profesora miało być wydane przez Prezydenta RP”.

Czyli gra na zwłokę trwa w najlepsze. W świetle prawa. Wbrew zdrowemu rozsądkowi i obyczajom.

PS Na początku lutego z pytaniem w sprawie profesury Michała Bilewicza rzecznik praw obywatelskich zwrócił się do Kancelarii Prezydenta. ■

F-35 – „niewidzialny” samolot i widzialne problemy

Zakup F-35 to zły wybór. Ta decyzja zaciąży na naszych możliwościach obronnych na lata

Marcin Ogdowski

Za cztery lata pierwsi polscy piloci będą latać samolotami F-35 z biało-czerwonymi szachownicami. Kilka lat później pierwsze maszyny wylądują w Polsce (egzemplarze przekazane nam w 2024 r. pozostaną w USA, gdyż tylko tam możliwe będzie przeprowadzenie niezbędnych szkoleń dla pierwszych instruktorów). Za kilkanaście lat – z pewnością już w kolejnej dekadzie – obie zakupione eskadry osiągną gotowość operacyjną.

Długo, bardzo długo, choć nie ma co się zżymać na pisowskich architektów umowy z Amerykanami. Wdrażanie nowoczesnych maszyn bojowych nie następuje z roku na rok. Mniej zaawansowane F-16, których 48 sztuk kupiliśmy w 2003 r., wprowadzaliśmy ponad 10 lat. Warto jednak o tym wspomnieć, by zderzyć się z zapewnieniami, że oto 31 stycznia 2020 r. sytuacja militarna Polski znacznie się poprawiła. Nie poprawiła, tak jak nie zmieniła się po zakupie systemu antyrakietowego Patriot czy baterii rakietowych HIMARS (zdolnych do rażenia celów na odległość do 300 km). Stanie się tak dopiero wtedy, gdy cały ten sprzęt trafi nad Wisłę i zostanie z powodzeniem zintegrowany z pozostałymi elementami rodzimej obronności.

Ideologizacja tematu

Nie zmienia to faktu, że umowa na zakup 32 samolotów F-35 to początek nowej drogi w historii polskiej armii. Tylko czy drogi w dobrą stronę?

Zakup amerykańskich maszyn – jak niemal wszystkie istotne kwestie – stał się elementem politycznej wojny między PiS i anty-PiS. Dlatego trudno dziś wypowiadać jakąkolwiek

opinię na temat zasadności podjętej przez rząd decyzji bez ryzyka posądzenia o brak obiektywizmu. Ponieważ większość specjalistów zajmujących się kwestiami militarnymi już dawno została zakwalifikowana do grona krytyków władzy, taki stan rzeczy *de facto* sprzyja PiS. Daje bowiem pretekst do stwierdzenia, że „cokolwiek byśmy zrobili, i tak będą mówić, że to źle”, i nie sprzyja refleksji, że może z naszą polityką obronną rzeczywiście coś jest nie tak. Mimo to spróbuję przekonać Czytelników, że zakup F-35 to zły wybór. Że to decyzja, która zaciąży na naszych możliwościach obronnych na lata i z czasem odbije nam się czkawką.

Ma rację Andrzej Duda, mówiąc, że F-35 to najlepszy i najnowocześniejszy samolot na świecie. Rosyjskie próby doścignięcia Amerykanów na tym polu na razie nie przyniosły zadowalających efektów.

Czy naprawdę chcemy się mierzyć z najlepszą na świecie rosyjską obroną przeciwlotniczą i atakować cele głęboko za liniami wroga?

Dość powiedzieć, że po 20 latach prac Rosjanie nadal mają kłopot z silnikami, który pozwalałby ich maszynie zachować cechy „niewidzialności”. O jego wydajności energetycznej nie wspomnę. Być może za jakiś czas Amerykanie będą musieli się mierzyć z chińskimi odpowiednikami myśliwca piątej generacji, lecz na razie mamy tam do czynienia z konstrukcjami w fazie prototypowej. Zaawansowanej, ale wciąż relatywnie dalekiej od wdrożenia do linii.

Co zamiast F-35

Istotnie zatem, użytkując F-35, wejdziemy do pierwszej ligi. Tylko po co? Czy naprawdę chcemy się mierzyć z najlepszą na świecie rosyjską obroną przeciwlotniczą i atakować

cele znajdujące się głęboko za liniami wroga? Wówczas „niewidzialność” tego myśliwca mogłaby być poważnym atutem. A może jednak nasza doktryna ma charakter obronny i zadaniem polskiego lotnictwa byłoby wsparcie oddziałów na lądzie i niezbędne do tego wywalczenie przewagi w powietrzu, bezpośrednio nad teatrem działań wojennych? Pytanie ma charakter retoryczny i jasne jest, że mamy się bronić, a nie atakować. Do tego samolot piątej generacji nam niepotrzebny, chyba że byłby to inny amerykański cud techniki – F-22 Raptor. Stworzony do „wymiatania nieba” z wrogich maszyn, absolutnie bezkonkurencyjny w swojej kategorii. Rzecz jednak w tym, że Stany Zjednoczone nigdy i nikomu go nie sprzedały, a gigantyczne koszty utrzymania F-22 sprawiły, że po wdrożeniu 180 maszyn zawieszono jego produkcję.

Jeśli nie raptory, to co? Biorąc pod uwagę charakter wyzwań – konieczność zestrzelenia jak największej liczby rosyjskich maszyn czwartej generacji – na polskim niebie sprawdziłby się F-15. Jak nazwał go jeden z lotniczych specjalistów, swoista „ciężarówka na rakiety”. Niezbudowany w technologii *stealth*, wywodzący się jeszcze z czasów głębokiej zimnej wojny, ale wielokrotnie modernizowany. Co więcej, używany już w konfrontacjach z maszynami proweniencji radzieckiej, w trakcie których niemal zawsze dowodził swojej wyższości.

Niestety, jest drogi. I zupełnie inny niż użytkowany u nas z powodzeniem F-16. A musimy pamiętać, że samolot to skomplikowana maszyna, wymagająca nie mniej skom-



Umowę na zakup 32 myśliwców F-35 podpisano 31 stycznia br. w 4. Skrzydle Lotnictwa Szkolnego w Dęblinie.

plikowanego technologicznie zaplecza. Tak – już bez niepotrzebnych rozważań na temat innych typów myśliwców – dochodzimy do opcji najsensowniejszej z polskiej perspektywy. Mówiąc wprost, lepiej byłoby kupić znacznie więcej (co najmniej 50 sztuk) najnowszych wersji F-16, a pozostałe w służbie jastrzębie zmodyfikować do ich poziomu. Z uwagi na nasze doświadczenie w eksploatacji proces wdrażania kolejnych maszyn byłby szybszy, doraźny efekt odstraszania bardziej realny i zgodny z potrzebami sił zbrojnych. Przede wszystkim zaś – byłoby taniej.

Pożeracz budżetu MON

Bo koszty to kolejna istotna kwestia. Kupno F-35 i odpowiedniego pakietu (szkolenia, dodatkowe wyposażenie, amunicja) wiąże się z koniecznością wydania 18 mld zł. Dużo, a będzie jeszcze więcej. Rocznie na utrzymanie naszych F-16 wydajemy ok. 1 mld zł – F-35 będą kilka razy

droższe. Niewykluczone, że 32 maszyny będą zjadać jedną dziesiątą budżetu Ministerstwa Obrony Narodowej. Problem w tym, że wojsko potrzebuje inwestycji właściwie we wszystkich obszarach, gdzie więc zabraknie. Obecny rząd chwali się co prawda, że w ciągu najbliższych 15 lat wydamy na modernizację ponad 500 mld zł, tyle że to kwota

Na polskim niebie sprawdziłby się F-15.

niewiele niższa od zsumowanej wartości całych budżetów MON w tym czasie. A co z wydatkami osobowymi, które stanowią niemal połowę kwot przeznaczanych na obronność? Co z pieniędzmi na szkolenia, na zakup paliw, amunicji itd.?

Na nic nam F-35, jeśli nie zbudujemy parasola ochronnego – skutecznego systemu obrony przeciwraкетowej i przeciwlotniczej. Minister Mariusz Błaszczak mówi: „kupiłem patrioty”. Zgoda, tyle że zeszłorocz-

na transakcja dotyczyła zaledwie dwóch baterii, a potrzebujemy ich co najmniej osiem. Przypomnę: te dwie baterie kosztowały nas... 16 mld zł. A patrioty to nie wszystko – nieba broni się na kilku poziomach, amerykańskie antyrakiety zapewniają ochronę tylko na jednym, tym najwyższym.

Co z Marynarką Wojenną, która rdzewieje i tonie? Wprowadzenie do służby upośledzonej korwety czy małego niszczyciela min podniosło jej wartość bojową w niewielkim stopniu. Co z lotnictwem wojsk lądowych? W tej chwili niemal trzy czwarte śmigłowców nie nadaje się do lotu, przede wszystkim z powodów technicznych. Utracony przez Antoniego Macierewicza kontrakt na caracale miał być zastąpiony zakupami amerykańskich maszyn, składanych w polskiej fabryce. Dotąd kupiono... cztery helikoptery, które dopiero za kilkanaście miesięcy zostaną skonfigurowane pod potrzeby wojsk specjalnych. Zamówiono też, za granicą, śmigłowce dla marynarki – kolejne cztery sztuki – których odbiór nastąpi za trzy lata. Warto przypomnieć – caracali miało być 50, dziś służbę pełniłoby już ponad 30 sztuk.

Niewykorzystane możliwości

Mimo bombastycznych zapowiedzi ślimaczy się modernizacja czołgów Leopard, do natychmiastowej wymiany nadaje się połowa parku czołgowego Wojska Polskiego (maszyny typu T-72 i PT-91 Twardy). Wszystkie transportery gąsienicowe BWP znajdujące się na stanie wojska mają po ok. 40 lat. Wprowadzane do wyposażenia samobieżne haubice

Krab to istotny skok jakościowy. Jednak nasza artyleria nadal pozostaje daleko w tyle za wiodącymi

państwami NATO oraz potencjalnym przeciwnikiem – Rosją. Kupiony w zeszłym roku dywizjon HIMARS zabezpiecza zaledwie jedną czwartą potrzeb. Za kolejne trzy dywizjony – jeśli je kupimy – zapłacić trzeba będzie znacznie ponad 1 mld zł.

A mowa tylko o najpoważniejszych elementach programu modernizacji armii. No i nie wspomniałem dotąd o czymś, co w wojsku określane jest mianem środowiska sieciocentrycznego. Wyjątkowość ►

platformy, jaką jest F-35, sprowadza się nie do jego uzbrojenia, awioniki czy wspomnianej „niewidoczności” (czy raczej niskiej widoczności). F-35 to bank informacji zdolny współpracować z każdym elementem sił zbrojnych – także tym najniższego szczebla. Zebrane przez niego informacje mogą posłużyć lepszemu wykorzystaniu zarówno batalionu czołgów, jak i pojedynczego wozu. Mogą wesprzeć działania brygady piechoty albo kilkusobowej sekcji. Stanie się tak, jeśli w sieciocentryczny system wpięte będą nie tylko dowództwa wysokiego i średniego szczebla, ale również załogi pojedynczych wozów. I tak dochodzimy do sedna. Co robi z otrzymanym z F-35 pakietem danych dowódca 50-letniego wówczas czołgu T-72? Albo niewiele młodszego BWP? Pierwszy pojazd ma wystuzoną i kiepską armatę, drugi nieprzydatne dziś działko i system rakietowy z lat 60. XX w. Bez zapewnienia właściwego środowiska będziemy więc w stanie wykorzystać zaledwie kilkanaście procent potencjału F-35. Kupując je, stwarzamy poważne zagrożenie, że na zmianę tego środowiska nie będzie już nas stać. Błędne koło.

Patologiczny wzrost interesów

Po co zatem kupujemy te samoloty? Zasadne są opinie, że czas

najwyższy pozbyć się z arsenału poradzieckich maszyn MiG-29 i Su-22. Mamy ich ok. 40, co stanowi niemal połowę siły uderzeniowej lotnictwa. Tyle że to siła iluzoryczna. Są to samoloty przestarzałe, w coraz gorszym stanie. Najlepszym tego dowodem były wypadki MiG-29 z ostatnich lat. Potrzeba zastąpienia

Niemal trzy czwarte śmigłowców dla wojsk lądowych nie nadaje się do lotu.

tych maszyn jest więc paląca, nie tylko by odbudować potencjał, ale też by zapewnić ciągłość procesu szkolenia (i wymiany kadr). Ma to zresztą także szerszy kontekst. Lotnictwo nie funkcjonuje dla siebie, jest częścią całej armii, której potrzeba musi zaspokoić. Trudno sobie wyobrazić sensowne ćwiczenia innych rodzajów wojska bez udziału samolotów. Tymczasem F-16 wszystkich nie obsłużą. Kilkumiesięczny zakaz lotów dla migów po tragicznej śmierci kpt. Krzysztofa Sobańskiego pokazał, że to najlepsza droga do przedwczesnego zajechnia F-16. A przecież mamy jeszcze zobowiązania sojusznicze, choćby misje Air Policing nad krajami nadbałtyckimi.

Brakujących maszyn nie zastąpią szkolno-treningowe bieliki, które od

biedy można przystosować do zadań szturmowych. Polska potrzebuje porządných myśliwców, przy czym jedna eskadra (16 sztuk) to minimalny wymóg „na wczoraj”. W MON mają tego świadomość, jednak przegrywa ona z oficjalną narracją dotyczącą pisowskiej polityki obronnej. Zgodnie z nią zakupy patriotów, HIMARS, powiększenie zapasu pocisków samosterujących JASSM (zdolnych razić cele na odległość do 900 km) wraz z przyjęciem do służby F-35 złożą się na trzon polskiego potencjału odstraszania. Stąd takie, a nie inne priorytety. I brzmiałoby to nawet sensownie, gdyby nie ograniczony charakter zakupów oraz wyniesienie poza horyzont czasowy bieżącej kadencji ewentualnych kolejnych transakcji.

Co robi z otrzymanym z F-35 pakietem danych dowódca 50-letniego czołgu T-72?

Ale tym najpewniej będą się martwić „następnici”. A może wydarzy się cud gospodarczy, który przyniesie nam nadmiar gotówki? Albo Amerykanie dadzą coś za darmo lub choćby za pół ceny? Tak czy inaczej kupony od politycznych zysków można odcinać już teraz. Szef MON od początku urzędowania uprawia bezwstydną propagandę, utrzymując wyborców w przekonaniu, że kupił to czy tamto (co znamienne, zawsze przy tym używa pierwszej osoby liczby pojedynczej), poprawiając potencjał militarny Polski. Uroczyste podpisanie umowy na zakup F-35 nie przypadkiem odbyło się przed wyborami prezydenckimi. Duda, formalny zwierzchnik sił zbrojnych, nieraz zapewne przywołał te myśliwce jako dowód troski – jego i zaplecza politycznego – o bezpieczeństwo Polaków.

Tak F-35 urasta do rangi symbolu. I jak każdy symbol nabiera różnych znaczeń. Bo choć dla jednych jest ucieleśnieniem polskiej drogi do potęgi, drudzy widzą w nim przykład naszego chęciństwa, jakoś obłądztwu i patologicznego wzrostu interesu państwowego z partyjnym.

Marcin Ogdowski jest wydawcą portalu Interia.pl, pisarzem, specjalistą ds. wojskowych. Przez kilkanaście lat pracował jako korespondent wojenny





Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Śmiertelny wirus, nasz, polski

Dla wielu osób lektura reportażu Janusza Schwertnera „Miłość w czasach zarazy”, opublikowanego przez Onet.pl, była, jest i będzie wstrząsem. Samobójcza śmierć niepełna 15-letniego Wiktora, chłopca w ciele dziewczynki, pokazuje bezmiar przemocy instytucjonalnej dorosłych wobec powierzonych im dzieci. Głównymi oskarżonymi są szkoła i służba zdrowia, *de facto* nieistniejąca opieka psychiatryczna dla dzieci.

Z jednej strony, codzienna przemoc rówieśników i nauczycieli (*sic!*), z drugiej – niemożność uzyskania fachowej pomocy służby zdrowia. Z trzeciej – kiedy już dzieciak trafia do placówki szpitalnej, to przebywa w warunkach, które trudno sobie wyobrazić, a co dopiero przyjąć, że to Polska, Europa pod koniec drugiej dekady XXI w. Mówimy tu i o warunkach bytowych – na jedno łóżko przypada dwoje, troje pacjentów, więc śpią na materacach na podłodze, w brudzie – i o podejściu personelu.

Schwertner pisze: „Pościel dobrze pamięta pobyt poprzedniego pacjenta. Jest mocno przepecona, wyraźnie brudna, ale najgorsze wrażenie robią zaschnięte plamy krwi, które nie pozwalają nawet na moment zapomnieć o miejscu, w którym się jest. W tak przygotowanym posłaniu trzeba się położyć, zasnąć w nim i się w nim obudzić, w jakiś sposób powstrzymując obrzydzenie. Światło dzienne, tuż po przebudzeniu, pozwala przyjrzeć się ścianom pokoju. Są pomazane najróżniejszymi flamastrami. Widać napisy: »Jutro się zabiję«, »fuck life«, ale też rysunki, najczęściej penisy i szubienice. I wszędzie ślady krwi: stare, rozmazane, sięgające sufitu. Z kilku łóżek wystają pręty, którymi bez trudu można się okaleczać. Brudne, pełne zarazków. Wielu pacjentów z nich korzysta, by rozrywać sobie skórę, na rękach, nogach, tydkach. Stąd później ubrudzone krwią pościel i ściany”.

Jeszcze bardziej odstręczający jest brak zrozumienia, empatii i fachowości ze strony lekarzy i pielęgniarek – fakt, przeciążonych ponad miarę. Lekceważenie symptomów zagrożenia, złe, niepogłębione albo chybione diagnozy, a na dodatek uprzedzenia i klisze ideologiczne. Tak jakby właśnie lekarz, zamiast pomóc, wcielał strefę wolną od LGBTQ u siebie na oddziale. W praktyce, nie tylko w deklaracji samorządowych fanatyków, którzy postanowili uwiecznić w uchwałach swoje uprzedzenia, ignorancję i w konsekwencji nienawiść, która zabija (obrazuje to ogólnopolski projekt „Atlas

Polskie państwo jest już obojętne na przemoc, którą samo wytwarza.

nienawiści”). Oburzają się jednak, kiedy ktoś taki jak aktywista równościowy Bart Staszewski wiesza pod tablicami z nazwami miejscowości planszę imitującą znak drogowy z treścią: „Strefa wolna od LGBT”. I z tego powodu, a nie w sprawie swojej ostentacyjnej polityki wykluczenia, gotowi są iść do sądu. Do sądu (innego oczywiście), który już po samobójczej śmierci wysłał do matki Wiktora list. „Pod koniec miesiąca Justyna wyjmuję ze skrzynki list. Nadawca: Sąd Rejonowy – pisze Schwertner. – Otwiera i nie wierzy własnym oczom: to decyzja, by w związku z próbą samobójczą Wiktora w trybie natychmiastowym ustanowić nad nią kuratora. Kurator będzie przychodził do jej domu i sprawdzał, czy właściwie opiekuje się synem. Justyna czyta ten list i płacze. Przez kilka miesięcy walczyła, by ktokolwiek przejął się losem jej dziecka. A gdy je straciła, to tu nagle taki list”.

Jeśli historia Wiktora nie jest skrajnym obrazem zapaści (jeśli nie nieistnienia) systemu edukacyjnego, opieki zdrowotnej, wymiaru sprawiedliwości – to nie wiem już, jaki musielibyśmy zobaczyć

obraz. Kiedy piszę te słowa, w mediach czytam, że ujawniona została największa tajemnica skrywana przez polskie państwo (akurat w wydaniu pisowskim) – listy poparcia dla kandydatur na członków tzw. neo-KRS. Myślę jednak, że największa tajemnica, o której zresztą wiemy, czytamy, słyszymy, to fakt, że polskie państwo nie działa w swoich najważniejszych funkcjach i wymiarach. Jest już obojętne na przemoc, którą samo wytwarza. Nie widzi, jak traktuje najsłabszych obywateli swojej pseudowspólnoty. I jak wyrzuca w błoto miliardy złotych, nie bacząc na konieczność podjęcia realnych działań, żeby żaden kolejny Wiktor, czy Wiktoria, z powodu traktowania przez przedstawicieli państwa nie odebrał sobie życia.

I tu jest gigantyczna praca do wykonania, której nie wykonają ani IPN, ani zakupione myśliwce F-35. I to jest walka o życie i życia, a nie wojenno-hurra-patriotyczny fantazmat.

Do odpowiedzialności za śmierć Wiktora nie poczuwa się oczywiście żaden przedstawiciel władzy. Sam z siebie tego nie robi, a czwarta władza zajęta jest największymi tajemnicami. I na tej glebie rośnie zabójcza nienawiść – realny wirus śmierci z nienawiści.

Polska nie istnieje realnie.

Jarosław Makowski

Celibat – nowy rozdział wojny z Franciszkiem

Mamy w Watykanie dwuwładzę.
A więc i dwa nauczania

Jest okazja, trzeba zaatakować. Tak działają watykańscy konserwatyści, którzy nie przepuszczą żadnej okazji, by uderzyć we Franciszka. Do ostatniego ataku wykorzystali też papieża seniora Benedykta XVI, który wmontowany w intrygę przerywa milczenie i – chyba wbrew sobie – wbija nóż w plecy argentyńskiemu papieżowi. A polem tego watykańskiego „House of Cards” jest spór o celibat.

Pamiętam, jak żartował ks. Józef Tischner. Zawsze gdy jechał do Wiednia studiować Platona czy św. Augustyna w Instytucie Nauk o Człowieku, miał zwyczaj ucinąć sobie po obiedzie krótką drzemkę. Mówił wtedy współpracownikom, by pod żadnym pozorem mu nie przeszkadzać. „Chyba że – dodawał – papież zniesie celibat. Wtedy budzić natychmiast”. Dziś papież Franciszek nie chce znieść celibatu, zamierza zaledwie uchylić drzwi, by święcenia kapłańskie mogli przyjmować tzw. *virī probati* – doświadczeni życiowo, wypróbowani w wierze, żonaci mężczyzn. Jednak perspektywa poluzowania dyscypliny kościelnej będąca przepustką do święceń dla żonatych mężczyzn wprowadziła w dygot konserwatywne skrzydło w Watykanie. Ludzi, którzy nie tylko nie widzą możliwości zmiany w tym zakresie, ale jeszcze uznali, że to dobre pole do przeprowadzenia kolejnego ataku na Franciszka.

Przebiegłość kardynała

Kwestia celibatu w Kościele rzymskokatolickim jest przedmiotem dyskusji w zasadzie od Soboru Watykańskiego II, ale dopiero dziś staje na ostrzu noża z jednego, bardzo prostego powodu – braku księży. Z tym wyzwaniem zmierzył się w październiku zeszłego roku watykański synod poświęcony Amazonii. Biskup brazylijskiej Amazonii Erwin Kräutler, jeden z organizatorów synodu, ostrzegał, że w niektórych regionach jego kraju dwie trzecie katolików może przyjmować komunię najwyżej trzy razy w roku. To jeden z powodów, dla których musi istnieć możliwość wyświęcania na księży także żonatych mężczyzn. Problem jest nie tylko organizacyjny.

Kryje się za nim kluczowa kwestia teologiczna. Kościół stoi przed pytaniem, co dla niego ważniejsze: wymóg celibatu, a więc kościelna dyscyplina, czy dostęp wiernych do eucharystii, która jest centrum życia chrześcijańskiego.

Synod amazoński potwierdził gotowość do pójścia nowymi drogami. Zmiany, wzbudzając spore poruszenie, domaga się też przewodnicząca Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej (CDU) Annegret Kramp-Karrenbauer, która jest katoliczką i członkinią Centralnego Komitetu Katolików Świeckich w Niemczech, organizacji, z którą muszą się liczyć niemieccy biskupi. Przekonuje ona, że czas znieść celibat księży, gdyż „konieczność podjęcia decyzji o życiu bez rodziny jest dla

Kwestia celibatu staje na ostrzu noża z prostego powodu – braku księży.

wielu zbyt dużą przeszkodą”. Ale, co kluczowe w całej sprawie, argumenty uczestników synodu są bliskie papieżowi Franciszkowi, który – choć sam ceni celibat jako formę życia – widzi zarazem, że czas podjąć eksperymenty duszpasterskie, pozwalające ludziom na pełne życie chrześcijańskie.

I właśnie to przekonanie obecnego papieża sprawiło, że opcja antyfranciszkowa ruszyła do ataku. Na jej czele stoi kard. Robert Sarah, prefekt Kongregacji ds. Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów. Atak był przemyślany, planowany długo i skrupulatnie. Wiedząc, że synod dla Amazonii przychylił się do pomysłu poluzowania dyscypliny związanej z celibatem, już kilka miesięcy wcześniej Sarah zaczął przygotowywać publikację książkową, w której broni celibatu w obecnej formie. Przebiegłość kardynała polega na tym, że do tej publikacji namówił również papieża seniora, Benedykta XVI.

Na początku stycznia obaj hierarchowie wydali książkę „Z głębokości

naszych serc. Kapłaństwo, celibat i kryzys Kościoła katolickiego”. O ile refleksja Benedykta XVI ma charakter medytacji, o tyle kard. Sarah przypuszcza bezpardonowy atak. Twierdzi, że „istnieje związek ontologiczno-sakramentalny między kapłaństwem a celibatem. Każde osłabienie tego związku podważyłoby Magisterium Soboru [Watykańskiego II] i papież Pawła VI, Jana Pawła II i Benedykta XVI”. Apeluje także do obecnego papieża: „Błagam papieża Franciszka, aby definitywnie uchronił nas przed taką możliwością, wetując wszelkie osłabienie prawa celibatu kapłańskiego, nawet jeśli jest ono ograniczone do innego regionu”.

Uderzenie wyprzedzające

Dlaczego kardynał i emerytowany papież napisali tę książkę, postrzeganą powszechnie jako wymierzoną we Franciszka? Najpierw trochę oficjalnej kościelnej nowomowy. Ci dwaj „boży mężowie” deklarują, że napisali ją, by wyrazić „zaniepokojenie”: „Robimy to w duchu miłości i jedności Kościoła”. A co na te rewelacje Franciszek? Służby prasowe Watykanu zareagowały szybko, podkreślając, że „stanowisko Ojca Świętego w sprawie celibatu jest znane”. Przypomniano też słowa Franciszka: „Osobiście uważam, że celibat jest darem dla Kościoła. Nie zgadzam się na to, by pozwolić na celibat opcjonalny, nie. Pozostałaby jedynie możliwość w najbardziej oddalonych wspólnotach, myślę o wyspach na Pacyfiku, gdy jest potrzeba duszpasterska; duszpasterz musi myśleć o wiernych”. Trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że to oficjalna reakcja, pokazująca, że obecny papież nie spodziewał się takiego ciosu ze strony Benedykta XVI. Dlatego tak ważne i ciekawe są kulisy, o których wiemy już całkiem dużo. A pokazują one, że zwalczające się w Watykanie oboje nie biorą jeńców.



Na czele opcji antyfranciszkowej stoi kard. Robert Sarah, prefekt Kongregacji ds. Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów (nz. z prawej).

Po pierwsze, rzekomo wspólna książka (dlaczego rzekomo wspólna, o tym dalej) papieża emeryta i kardynała jest ciosem wyprzedzającym. W najbliższych tygodniach ma się ukazać adhortacja posynodalna na temat Amazonii Franciszka, w której papież zawarł możliwość wyświęcenia żonatych mężczyzn, tzw. *viri probati*, w tych częściach naszego globu, gdzie księży brakuje. Książka ma więc zatrzymać tę nadciągającą zmianę.

Po drugie, celibat to kwestia dyscypliny, a nie dogmat. Dlatego od dłuższego czasu mówi się o nowych podejściach do niego – szczególnie w tych regionach świata, gdzie brakuje księży. Mało tego, sam papież Benedykt XVI czynnie korzystał z tej reguły, zezwalając (jego konstytucja apostolska *Anglicanorum coetibus*), by „niektórzy żonaci kapłani anglikańscy” mogli kontynuować posługę w Kościele rzymskim. Również w Kościołach wschodnich podległych Rzymowi celibat nie jest warunkiem, by mężczyzna otrzymał święcenia kapłańskie. Dyscyplina kościelna ma to do siebie, że można ją różnie regulować. I Kościół to robił. A dokładniej – także papież Ratzinger.

Gdzie dwóch papieży...

Po trzecie, gdy duża część komentatorów pisała o tym, że papież emeryt łamie swoją obietnicę pozostania

„zamkniętym dla świata” i milczenia, gdy pojawiły się głosy, że tą publikacją stawia obecnego papieża w niezręcznej sytuacji, dowiedzieliśmy się, że papież senior mógł zostać wykorzystany przez antyfranciszkową frakcję w Watykanie. Dziś wiemy, że tak się stało. Francuskiego wydawcę poproszono już o usunięcie z okładki nazwiska i zdjęcia Benedykta XVI, a sam był papież zdystansował się od autorstwa. Kard. Sarah nadużył zaufania papieża seniora w swojej

Benedykt XVI został wykorzystany. Francuskiego wydawcę już poproszono o usunięcie jego nazwiska i zdjęcia z okładki książki.

antyfranciszkowej krucjacie. Nie jest tajemnicą, że należy on do grona tych watykańskich hierarchów, którzy przy każdej nadarzającej się okazji negują zmiany, jakie wprowadza Franciszek.

Po czwarte, nawet jeśli Benedykt XVI, jak teraz słyszymy, ma z publikacją niewiele wspólnego, i tak Franciszek został postawiony pod ścianą. Jeżeli bowiem w adhortacji o Amazonii nie pojawi się, co postulowali uczestnicy synodu z tego regionu, opcja święcenia *viri probati*, będzie to znaczyło, że ugiął się pod falą krytyki ze strony konserwatystów. Jeśli zaś taka możliwość się pojawi, konserwatywne skrzydło i tak będzie kwestionować nauczanie Franciszka, prze-

ciwstawiając mu nauczanie byłego papieża i kard. Saraha. Franciszek kolejny raz przekonuje się, że kościelni konserwatyści i tradycjoniści są gotowi posunąć się do każdego kłamstwa, a nawet do wykorzystania Benedykta XVI, jeżeli to może doprowadzić do powstrzymania zmian, które proponuje obecny biskup Rzymu.

Po piąte, dziś Benedykt XVI, który sam nie potrafił sprostać wyzwaniom, przed jakimi stanął Kościół – od skandali seksualnych po malwersacje finansowe – i dlatego abdykował, nie pomaga Franciszkowi wyprowadzić łodzi Piotrowej na bezpieczne wody. Nawet jeśli został instrumentalnie wykorzystany przez współpracowników, mleko się rozlało. Antyfranciszkowe lobby doprowadziło do tego, że mamy w Watykanie dwuwładzę. Mamy, zgodnie z tytułem głośnego filmu Fernanda Meirellesa, dwóch papieży. A więc i dwa nauczania. Brakuje tylko, by papież senior założył konto na Twitterze i na bieżąco komentował poczynania następcy. Ale nawet bez tego Kościół jest o krok od anarchii. Kościelni konserwatyści już zawsze będą się powoływać na tę książkę o celibacie, by kwestionować nauczanie Franciszka. To pokazuje, że Kościół musi jasno określić, jaką funkcję w Kościele ma pełnić papież emeryt. Tym bardziej że z takiego rozstrzygnięcia może skorzystać, o czym wspominał, także Franciszek, przechodząc na emeryturę. Że powinien

mieć zakaz publikowania, nauczania – jest już chyba oczywiste. Być może należałoby również zakazać noszenia zewnętrznych symboli, które w Kościele mają szczególne znaczenie, np. białej sutanny.

Za Amazonią pójść inni

Czy spór wokół celibatu to jakaś szczególna sytuacja, gdy konserwatyści podejmują próbę podważenia autorytetu papieża Franciszka? Nic z tych rzeczy. Podobne zabiegi obserwowaliśmy przy okazji synodu poświęconego rodzinie, który rozpoczął się w 2014 r. i trwał kilkanaście miesięcy. To wtedy zawiązała się opozycja konserwatywnych

► kardynałów, którzy niczym rasowi politycy uciekali się w czasie obrad do rozmaitych wrzutek medialnych, by dyskredytować poczynania Franciszka. Najpierw mieliśmy przeciek w postaci listu 13 kardynałów do papieża, w którym hierarchowie pisali, że synod podważa dotychczasowe nauczanie Kościoła na temat rodziny, a oni na to się nie godzą. Potem konserwatyści wrzucili informację, że Franciszek może mieć nowotwór mózgu, sugerując w ten sposób, że jego decyzje i słowa powinniśmy traktować z przymrużeniem oka.

Cała ta operacja została przeprowadzona, ponieważ papież przychylniej spojrział na ludzi żyjących w związkach niesakramentalnych. W adhortacji o rodzinie *Amoris laetitia* Franciszek odrzuca rygoryzm, jaki obowiązuje w Kościele wobec grzeszników – w tym ludzi rozwiedzionych, porzuconych, żyjących w nowych związkach. Przestrzega duszpasterzy, że nie można „zdoktrynizować” Ewangelii, zamieniając ją „w martwe kamienie, by rzucać nimi w innych” (nr 49). Ana-

logiczne słowa odnajdujemy w tym dokumencie, gdy mowa o osobach żyjących w związkach niesakramentalnych. „Duszpasterz nie może czuć się zadowolony, stosując prawa moralne wobec osób żyjących w sytuacjach nieregularnych, jakby te prawa były kamieniami, którymi rzuca się w życie ludzi”. Znowu papież uchyla drzwi, dając sygnał duszpasterzom, że komunika może się stać efektem rozeznania na gruncie rozmowy ze spowiednikiem. Komunii nie można więc rozpatrywać w logice nagrody i kary. Jezus wprost mówi: „Nie przyszedłem, aby powołać sprawiedliwych, ale grzeszników” (Mt 9,13). Dla konserwatywnego skrzydła takie postawienie sprawy oznacza zerwanie z nauczaniem Jana Pawła II.

Dziś mamy podobną sytuację, choć zmieniło się pole bitwy. Tym razem jest to koncepcja rozumienia nie rodziny, ale celibatu – powtórzmy, kwestii czysto organizacyjnej, nie doktrynalnej. Ale konserwatyści, i słusznie, boją się, że Franciszek, przygotowując dokument posyno-

dalny dla Amazonii, stworzy możliwość udzielania święceń żonatym mężczyznom i będzie to testowanie przez Rzym zmian, które za kilka lat mogą zostać wprowadzone gdzie indziej. Co więcej, Franciszek powtarza, że chce Kościoła zdecentralizowanego, bo problemy, z jakimi zmagają się lokalne Kościoły na świecie, są różne. W Amazonii takim wyzwaniem jest brak księży, w Polsce jeszcze nie, za to doskwiera nam sojusz tronu i ołtarza – niezdolność polityzacja katolicyzmu. Gdyby zaś papież przystał na pomysł, który forsuje Amazonia, to następny w kolejce jest Kościół niemiecki, który boryka się z brakiem księży i będzie o tym dyskutował na rozpoczętym właśnie krajowym synodzie. Niemcy już dawno mówią o potrzebie wyświęcenia żonatych mężczyzn. A gdyby tak się stało, wielu polskich kandydatów do kapłaństwa, którzy chcą być księżmi, ale mają opory, bo nie akceptują celibatu, mogłoby znaleźć angaż w Kościele za miedzą.

Jarosław Makowski

NOMINACJA DO OSCARA® 2020!

10 NAGRÓD NA FESTIWALU W GDYNI

NOMINACJA DO OSCARA® 2020!
10 NAGRÓD NA FESTIWALU W GDYNI

BOŻE CIAŁO

reżyseria JAN KOMASA

cast: Bartosz BIELEŃ, Aleksandra KONIECZNA, Eliza RYCEMBEL, Tomasz ZIĘTEK, Leszek LICHOTA, Łukasz SIMLAT

44. FESTIWAL FILMOWY GDYNIA 2019

NAJLEPSZA REŻYSERIA JAN KOMASA

NAGRODA PUBLICZNOŚCI

reżyseria JAN KOMASA

BOŻE CIAŁO

FILM TWÓRCY SALI SAMOBÓJCÓW I MIASTA 44

JUŻ NA DVD i Blu-ray Disc

tvn WP FILMWEB K MAG cojestgrane24 DEMOTYWATORY.PL P irreglad Multikino KINO empik



Bohdan Piętko

Jedną z najtragiczniejszych kart okupacji radzieckiej polskich Kresów Wschodnich w latach 1939-1941 były cztery deportacje ludności polskiej w głąb ZSRR. Pierwsza odbyła się 10 lutego 1940 r. Celem tych działań była depolonizacja Kresów Wschodnich poprzez „oczyszczenie ich z elementów niepewnych”. Decyzja o wywózkach zapadła 5 grudnia 1939 r. na połączonym posiedzeniu Biura Politycznego KC WKP(b) i Rady Komisarzy Ludowych ZSRR – podjęto wtedy uchwałę nr 1001-558 ss o wysiedleniu osadników i służby leśnej z zachodnich obwodów Białoruskiej i Ukraińskiej SRR. 29 grudnia 1939 r. Rada Komisarzy Ludowych zatwierdziła instrukcję NKWD o porządku przesiedlania polskich osadników z zachodnich obwodów BSRR i USRR wraz z regulaminem osad specjalnych i zasad zatrudniania wysiedlonych. Bezpośrednie kierownictwo operacji spoczęło w rękach Ławrientija Canawy (szefa NKWD Białoruskiej

SRR) i Iwana Sierowa (szefa NKWD Ukraińskiej SRR), późniejszego głównego doradcy NKWD przy Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego powojennej Polski, odpowiedzialnego m.in. za aresztowanie i wywiezienie do ZSRR 16 przywódców Polskiego Państwa Podziemnego. Zadaniem Canawy i Sierowa było m.in. przygotowanie spisów osób podlegających deportacji.

Pierwsza deportacja objęła przede wszystkim osadników wojskowych, średniego i niższego stopnia urzędni-

Prawda i fałsz o deportacjach

Mniejsza liczba obywateli II RP wywiezionych w głąb ZSRR nie zmienia oceny zbrodni stalinowskich

Najgorszy był los tych, którzy trafili do obozów pracy na północy ZSRR. Wyręb lasów przerywano dopiero przy minus 40 st. C.

ków II RP, funkcjonariuszy służby leśnej i pracowników PKP. Wywożono całe rodziny.

Podczas drugiej deportacji – 13-14 kwietnia 1940 r. – wysiedlono rodziny urzędników państwowych, wojskowych, policjantów, służby więziennej, nauczycieli, działaczy społecznych, kupców, przemysłowców i bankierów oraz rodziny osób aresztowanych dotychczas przez NKWD i zatrzymanych przy nielegalnej próbie przekroczenia granicy niemiecko-radzieckiej.

Trzecia deportacja – trwająca od 28-29 maja do lipca 1940 r. i określana jako deportacja z czerwca 1940 r. – objęła głównie uchodźców z centralnej i zachodniej Polski, przybyłych podczas działań wojennych w 1939 r. na tereny, które znalazły się później pod okupacją radziecką. Ponad 80% deportowanych wówczas stanowili Żydzi.

Czwarta deportacja – maj i czerwiec 1941 r. – dotknęła głównie osoby ze środowisk inteligenckich, pozostawionych jeszcze uchodźców i rodziny kolejarzy, rodziny osób aresztowanych przez NKWD w drugim roku okupacji, wykwalifikowanych robotników oraz rzemieślników.

Kalendarium deportacji

10 lutego 1940 r. – osadnicy wojskowi, średni i niżsi urzędnicy II RP, funkcjonariusze służby leśnej i pracownicy PKP z rodzinami

13-14 kwietnia 1940 r. – rodziny urzędników państwowych, wojskowych, policjantów, służby więziennej, nauczycieli, działaczy społecznych, kupców, przemysłowców i bankierów oraz rodziny osób aresztowanych dotychczas przez NKWD

28-29 maja – lipiec 1940 r. – uchodźcy z centralnej i zachodniej Polski przybyli na tereny, które znalazły się później pod okupacją radziecką

Maj-czerwiec 1941 r. – osoby ze środowisk inteligenckich, pozostali uchodźcy, rodziny osób aresztowanych przez NKWD w drugim roku okupacji, robotnicy wykwalifikowani i rzemieślnicy

► Służby podległe NKWD przeprowadzały wywózki osób deportowanych z właściwą sobie brutalnością oraz w taki sposób, żeby maksymalnie wyeliminować możliwość ucieczki ofiar. Deportowani, wśród których ok. 65% stanowili Polacy, byli przewożeni w przeładowanych, brudnych i z reguły nieogrzewanych wagonach towarowych. Podróż trwała zwykle kilka tygodni. W wyniku nieludzkiego traktowania umierały głównie dzieci, osoby chore i starsze. Strażnicy z eskorty transportów niejednokrotnie strzelali do ludzi próbujących ofiarować deportowanym chleb lub wodę. Zwłoki zmarłych podczas transportu wyrzucano z wagonów, a eskorta nie pozwalała najbliższym ich pochować. Deportowani pracowali niewolniczo m.in. przy wyrębie lasów, wydobywaniu węgla i rudy żelaza. Najgorszy był los tych, którzy trafili do obozów pracy na północy ZSRR, gdzie panowały niezwykle trudne warunki klimatyczne, a pracę przy wyrębie lasów przerywano dopiero przy temperaturze minus 40 st. C.

Śmiertelne żniwo

Jeszcze 30 lat temu podawano w Polsce, że w latach 1940-1941 deportowano z Kresów Wschodnich

w głąb ZSRR od 1 do 1,7 mln Polaków, z których 900 tys. miało tam zginąć. Takie liczby przyjął polski rząd na emigracji, powielając je polska historiografia emigracyjna oraz publicystyka historyczna „drugiego obiegu” w PRL. Po przebadaniu archiwów radzieckich w latach 90. XX w. okazało się jednak, że cztery deportacje z Kresów Wschodnich w latach 1940-1941 objęły w sumie ok. 320 tys. obywateli II RP. W tej liczbie znajdowało się ok. 25 tys. Ukraińców, 20 tys. Białorusinów i 70 tys. Żydów, procentowo dotkniętych wywózkami w równym stopniu jak Polacy (pozostałe 200-210 tys.). Do czasu amnestii ogłoszonej przez ZSRR latem 1941 r. w następstwie układu Sikorski-Majski, śmiertelność wśród zesłańców wynosiła od 2,8% do 5,8% rocznie. Nie sposób określić, ile osób zmarło po tej dacie, z pewnością jednak przeżyło znacznie więcej osób, niż wyni-

a w maju i czerwcu 1941 r. 34-38 tys. osób (m.in. 20 tys. Polaków i 11 tys. Ukraińców).

Weryfikacja naukowa liczby deportowanych kilkadziesiąt lat po zakończeniu wojny, kiedy historycy mają dostęp do nieznanych wcześniej źródeł, jest rzeczą naturalną. Roman Sidorski, jeden z autorów portalu Ciekawostki Historyczne, zauważył, że szacunki podające od 1 do 1,7 mln deportowanych „obarczone były tym samym błędem. Powstawały na bazie częściowych danych, głównie relacji samych deportowanych, którzy nie mieli całościowego oglądu represji i wyolbrzymiali ich skalę (...). Protestujący przeciwko »nowym« (już przeszło 20-letnim) ustaleniom zdają się uważać, że redukcja liczby deportowanych pomniejsza i bagatelizuje ich tragedię. Takie myślenie trzeba stanowczo odrzucić. Licytacja na represjonowanych, zmarłych i zabitych do

Cztery deportacje ludności polskiej w głąb ZSRR w latach 1939-1941 są jedną z najtragiczniejszych kart okupacji radzieckiej Kresów Wschodnich.

kało to z wcześniejszych przypuszczeń. Według częściowych danych NKWD do połowy 1941 r. zmarło ok. 15 tys. osób deportowanych w lutym i czerwcu 1940 r. Takimi danymi nie dysponujemy natomiast w wypadku ofiar śmiertelnych pozostałych dwóch deportacji.

Liczbę 320 tys. deportowanych po latach zweryfikował w dół prof. Stanisław Jan Ciesielski (Uniwersytet Wrocławski), który w artykule „Deportacje obywateli polskich w głąb Związku Radzieckiego w latach 1940-1941” z 2017 r. podał, że deportacje te objęły od 307,8 do 313,8 tys. obywateli II RP, w tym najwyżej 184,7 tys. Polaków. W lutym 1940 r. deportowano do obwodu archangielskiego, Republiki Komi i na Syberię 137,8 tys. osób (114,2 tys. Polaków, 12,3 tys. Ukraińców, 11,3 tys. Białorusinów), w kwietniu 1940 r. deportowano do Kazachstanu ok. 60 tys. osób (42 tys. Polaków, 8 tys. Białorusinów, ponad 7 tys. Ukraińców, 2,4 tys. Żydów), w czerwcu 1940 r. deportowano do Komi i Kraju Altajskiego 76-78 tys. osób (63,8-65,5 tys. Żydów, 8,3-8,5 tys. Polaków, 3,8-3,9 tys. osób innych narodowości – głównie Białorusinów i Ukraińców),

niczego nie prowadzi, a wykreślenie z prac historycznych nieistniejących ofiar w żaden sposób nie wymazuje z naszej pamięci gehenny setek tysięcy zesłańców. Prawda zaś nie może być antypolska”.

Wydaje się to oczywiste, jednak część środowisk prawniczych do dzisiaj nie może się pogodzić z tym, co o liczbie deportowanych z Kresów Wschodnich w głąb ZSRR mówią źródła historyczne. Na stronie internetowej IPN możemy przeczytać, że „według szacunków władz RP na emigracji, w wyniku wywózek zorganizowanych w latach 1940-1941 do syberyjskich łagrów trafiło około miliona osób cywilnych, choć w dokumentach sowieckich mówi się o 320 tys. wywiezionych”. Jest to pokłosie stanowiska tragicznie zmarłego prezesa IPN Janusza Kurtyki, który stwierdził, że chociaż IPN-owski projekt „Indeks Represjonowanych” doprowadził do ustalenia liczby ok. 320 tys. obywateli II RP deportowanych z Kresów Wschodnich w latach 1940-1941, to „nadal liczba ta jest podważana przez część historyków, piszących o 700 tysiącach-milionie deportowanych”. Są to głównie historycy IPN, np. Piotr Szubarczyk –

1% podatku dla fundacji Glogerianum wspierającej uzdolnione dzieci z niezamożnych rodzin.

1%



KRS 0000239949
Łomża, al. Piłsudskiego 83
Alior Bank S.A. Oddział w Łomży
46 2490 0005 4500 7321 4083
www.glogerianum.pl

opp organizacja pozarządowa

autor książki „Czerwona apokalipsa. Agresja Związku Sowieckiego na Polskę i jej konsekwencje” (Kraków 2014) albo skrajni antykomuniści, jak Roger Moorhouse – autor książki „Pakt diabłów. Sojusz Hitlera i Stalina” (Kraków 2015). Moorhouse kwestionuje materiały archiwalne NKWD („bo przecież Sowieci nie mogli mówić prawdy”) i uważa, że na każdego „oficjalnie” deportowanego przypada trzech-czterech wywiezionych bez odnotowania tego w dokumentach. Dlatego jego zdaniem deportowano z Kresów 1,5 mln ludzi.

Wiedza z archiwów NKWD

Jednak w wydanej przez IPN w 2009 r. publikacji „Polska 1939-1945. Straty osobowe i ofiary represji pod dwiema okupacjami” pod redakcją profesorów Wojciecha Materskiego i Tomasza Szaroty stwierdzono, że liczba ofiar śmiertelnych pod okupacją radziecką w latach 1939-1941, a także w okresie 1944-1945, wyniosła ok. 150 tys. obywateli polskich (Polaków, Białorusinów, Ukraińców, Ormian, Żydów i in.). Liczba ta obejmuje ofiary zbrodni katyńskiej z 1940 r. (21 768 ofiar), masakr więziennych NKWD w 1941 r. (20-30 tys. ofiar), ofiary innych aktów terroru, więzień, obozów karnych i obozów pracy, a także zmarłych w wyniku deportacji do Kazachstanu i na Syberię. Z tego szacunku ofiar śmiertelnych okupacji radzieckiej wynika, że nie mogło zginąć 900 tys. spośród 1-1,7 mln obywateli II RP, którzy mieli być deportowani w głąb ZSRR.

Kwestionujący liczbę 320 tys. deportowanych z Kresów Wschodnich w latach 1940-1941 nie odpowiadają na podstawowe pytanie, jakie od razu się nasuwa: po co NKWD miało by fałszować własną dokumentację wewnętrzną? Ujawnienie dokumentów NKWD dotyczących liczby deportowanych w głąb ZSRR obywateli II RP doprowadziło najwyraźniej do konsternacji w niektórych środowiskach prawniczych.

Przykładem tego może być brytyjski historyk Halik Kochanski, który w wydanej w 2013 r. książce „Orzeł niezłomny. Polska i Polacy podczas II wojny światowej” pisze: „Najpowszechniej podawanymi liczbami było 220 tys. cywilów wywiezionych



Deportowani Polacy często w obozach dzielili los z obywatelami ZSRR.

w lutym 1940 r., 320 tys. w kwietniu 1940 r., 240 tys. w czerwcu 1940 r. i 200-300 tys. w czerwcu 1941 r. Łączna liczba około miliona wywiezionych była przyjmowana przez wiele lat. Jednak ostatnie badania oparte na danych z radzieckich archiwów pozwoliły zakwestionować tę liczbę. Opracowanie z 1997 r. oparte na dokumentach samego NKWD mówi o 140 tys. wywiezionych w lutym 1940 r., 60 tys. w kwietniu 1940 r., 80 tys. w czerwcu 1940 r. i 40 tys. w czerwcu 1941 r. Razem daje to 320 tys. wywiezionych – i tak ogromną liczbę. Podobne dane po-

30 lat temu podawano w Polsce, że w latach 1940-1941 deportowano z Kresów Wschodnich od 1 do 1,7 mln Polaków, z których 900 tys. miało tam zginąć.

dano w opracowaniu opublikowanym w roku 2000, którego autorzy określają liczbę wywiezionych na 309-327 tys.”.

Kochanski robi jednak następujące zastrzeżenie: „Naukowcy wciąż badają radzieckie archiwa i po dokładniejszych badaniach demograficznych oraz analizie danych dotyczących późniejszych deportacji liczba wywiezionych ponownie jest weryfikowana wwyż. Choć nie osiąga ona szacunku rządu polskiego na uchodźstwie, wydaje się prawdopodobne, że w latach 1940-1941 wywiezionych zostało przynajmniej 500 tys. obywateli polskich. W tej liczbie 52% stanowili Polacy, 30% Żydzi, a ok. 18% Ukraińcy i Białorusini”.

Po przeczytaniu jego wywodu nasuwa się pytanie: to co w końcu wynika z dokumentacji NKWD – że deportowano 320 czy 500 tys.? Poza tym, jeśli Polaków miało być 52% wśród zawyżonej przez autora w stosunku do źródeł liczby 500 tys. deportowanych obywateli II RP, to liczba wywiezionych Polaków wynosi 260 tys. Tak czy owak nie milion albo więcej.

Rozmiary zbrodni

Liczba 320 tys. obywateli II RP deportowanych z Kresów Wschodnich w głąb ZSRR od lutego 1940 do czerwca 1941 r. w żaden sposób nie neguje zbrodniczego charakteru polityki stalinowskiej wobec Polaków. Tak samo jak obniżenie liczby ofiar KL Auschwitz z 4 mln do 1,1 mln, liczby ofiar KL Lublin (Majdanek) z 360 tys. do 79 tys. czy liczby ofiar ośrodka zagłady w Chełmnie nad Nerem z 380 tys. do 180-200 tys. w niczym nie neguje ludobójczego charakteru polityki hitlerowskiej wobec Żydów, Polaków i innych narodowości. Naukowa weryfikacja pierwotnych danych – które były ustalane zaraz po wojnie, bez dostępu do źródeł, pod wpływem szoku spowodowanego przeżyciami wojennymi i z jedynie ogólną świadomością ogromu ofiar – jest rzeczą zupełnie normalną w naukach historycznych.

Jednak część polskiej prawicy w takiej weryfikacji od razu widzi polityczny spisek i wpływ rosyjskiej lub innej agentury. Źródłem, z którego te środowiska czerpią swoją wiedzę, niejednokrotnie są tylko przekazy medialne oraz publikacje w stylu „Czarnej księgi komunizmu”. Jednak ludzie traktujący historię poważnie – czyli w oderwaniu od polityki – muszą przyjmować to, co mówią źródła historyczne. A wynikające ze źródeł historycznych obniżenie liczby deportowanych z Kresów Wschodnich w niczym nie zmienia oceny zbrodni stalinowskich ani ogromu cierpienia ich ofiar, przed którym każdy musi chylić głowę.

Bohdan Piętko



Szkoccy zwolennicy Unii Europejskiej w dniu brexitu demonstrowali przed parlamentem w Edynburgu.

Szkocki apetyt na Unię Europejską

Jeśli brytyjska gospodarka dobrze zniesie brexit, nastroje niepodległościowe być może opadną. Jeżeli źle, będzie to wodą na młyn nacjonalistów

Tomasz Borejza

Brytyjskie urzędy i instytucje publiczne uświetniły dzień brexitu ściągnięciem flagi Unii Europejskiej z masztów. Jednak nie wszystkie. Szkocki parlament zdecydował, że flaga, która powiewa nad jego siedzibą w Edynburgu, nie zostanie zdjęta. Nie był to pusty gest, ale poważna deklaracja. Oznacza ona, że Szkocja podejmie kolejną próbę uzyskania niepodległości, w której ważną rolę odegrają zapowiedzi powrotu do Wspólnoty Europejskiej. Kolejną, bo referendum niepodległościowe odbyło się tam zaledwie sześć lat temu.

Pierwsze referendum

W 2014 r. zwolennicy pozostania w Zjednoczonym Królestwie wygrali, z wynikiem 55% do 45%. Mówiono

wtedy, że głosowanie jest okazją, która może się pojawić najwyżej raz na pokolenie. Dziś słowa te wyglądają na przesadny pesymizm. Najważniejsze stało się bowiem to, co sześć lat temu było główną motywacją głosujących Szkotów i co zdecydowało o tym, że postanowili utrzymać unię z Anglią. Kampania przeciwników niepodległości, którą prowadzili wówczas brytyjski rząd i ogólnokrajowe partie polityczne, skupiała się na tym, że oderwanie się od Londynu będzie oznaczać także rozwód z Brukselą. Przekonywano, że przyniesie to trudne do oszacowania negatywne skutki gospodarcze i zaszkodzi Szkocji. Nacjonalistów, którym hasło Europy regionów zawsze było bliskie, bo odbierało część władzy Anglikom, pokonało ich własną bronią.

Teraz jednak tamta kampania może się zemścić na Londynie. Na razie tak, że zapewnia Szkotom moż-

liwość ponownego upomnienia się o referendum niepodległościowe. Już w 2015 r. szkoccy nacjonaliści – przewidując możliwy rozwój wydarzeń – domagali się, by głosowanie w sprawie brexitu zawierało wymóg podwójnej większości, a więc nie tylko tego, by o jego wyniku decydowały zsumowane głosy z całej Wielkiej Brytanii, ale też, by wyjście z Unii musiało uzyskać poparcie w każdym z krajów Zjednoczonego Królestwa. Na to nie było szans, Londyn zatem się nie zgodził. W efekcie w Szkocji powstało wrażenie, że kraj opuszcza Unię Europejską wbrew woli swoich obywateli. Dokładnie tego potrzebowała Szkocka Partia Narodowa.

Plany szybkiego podniesienia sprawy niepodległości ogłoszono, zanim jeszcze Brytyjczycy poszli do urn decydować o wyjściu z Unii Europejskiej. W 2016 r. nacjonaliści pisali w manifestie: „Wierzymy, że parlament Szkocji powinien mieć prawo zarządzenia nowego referendum, jeżeli pojawi się jasny i trwały dowód na to, że niepodległość stała się dla większości Szkotów preferowaną opcją. Albo jeżeli nastąpi znacząca i rzeczowa zmiana okoliczności, które przeważały w 2014 r. Taka jak to, że Szkocja zostanie zabrana z Unii Europejskiej wbrew własnej woli”. To oznaczało, że jeżeli Brytyjczycy zagłosują za

brexitem, wróci kwestia przyznania niezależności Edynburgowi.

Na ropie do parlamentu

I wróciła. O ile Wielka Brytania traktowana jako całość zdecydowała się na brexit, o tyle w Szkocji za wyjściem z Unii Europejskiej głosowało zaledwie 38% tych, którzy odwiedzili lokale wyborcze (ok. 1 mln osób). Przeciwno było 62%, czyli 1,6 mln głosujących. Ważne jest to, że za pozostaniem w Unii opowiedziały się wszystkie okręgi wyborcze w kraju.

Stworzyło to okazję dla szkockich nacjonalistów i będących ich sojusznikami w walce o niepodległość Zielonych. Musieli jednak odczekać. Z jednej strony bowiem taka kampania wymaga przygotowania. Z drugiej nie chcieli, by oskarżano ich o wbijanie noża w plecy Wielkiej Brytanii. Dlatego poczekali do chwili, gdy brexit został sfinalizowany, i niemal od razu rozpoczęli działania w celu uzyskania niezależności od Londynu. Moment wybrali bardzo dobry, bo brexit zmienił opinię publiczną, a ruch jest silny.

Tutaj trzeba na chwilę się zatrzymać i opowiedzieć, czym jest Szkocka Partia Narodowa (Scottish National Party). A jest to polityczna potęga. Idee niepodległościowe są na północy Wysp żywe od średniowiecza

mandatów. A w ostatnich latach bywało i tak, że wygrywała w 56 z 59 okręgów. Jest to też jednocześnie trzecia największa partia polityczna Wielkiej Brytanii; ustępuje liczebnością jedynie torysom i laburzystom. Ponad 100 tys. członków w mającym 5,4 mln mieszkańców kraju to wielka siła. A brexit zapewnił jej sprzyjające okoliczności do tego, by powalczyć o swoje.

Drugie referendum

W ostatnich dniach bowiem nastroje wyraźnie się zmieniły i w kolejnych sondażach większość Szkotów opowiada się za niepodległością. Jest to co prawda większość minimalna (51% do 49% po odliczeniu niezdecydowanych, niemających zdania), ale się utrzymuje. Do tego dzieje się tak pierwszy raz od kilku lat, wcześniej wydawało się, że sprawa jest przesądzona na dwa, może trzy dziesięciolecia. Szkoccy politycy chcą to wykorzystać i już rozpoczęli kampanię niepodległościową. Parlament w Edynburgu zażądał rozpisania referendum. A Nicola Sturgeon, pierwsza minister lokalnego rządu, w czasie przemówienia wygłoszonego do członków partii tuż przed brexitem oświadczyła, że zwoła konwencję konstytucyjną, której zadaniem będzie praca nad prawnymi aspektami niepodległości i przygotowaniem

wyzwanie, które przed nimi stoi, nie ogranicza się do zdobycia poparcia społecznego.

Zdecydują polityka i prawnicy

Walka o szkocką niepodległość rozegra się nie tylko w dyskusjach na ulicach Glasgow i Edynburga. Ważniejsza i trudniejsza batalia czeka Szkotów w Londynie. Lokalny parlament nie ma bowiem obecnie uprawnień do rozpisania referendum, które wiązałoby brytyjski rząd. Może zarządzić jedynie głosowanie konsultacyjne, którego wynik da się bez trudu zignorować. By zorganizować głosowanie, które będzie prawnie wiążące, Szkoci muszą osiągnąć jeden z dwóch celów. Albo uzyskać na nie zgodę Borisa Johnsona, który już powiedział, że o tym nie ma mowy, bo jego rolą jest „chronienie tej wspaniałej unii”, albo wywalczyć zmiany w ustawach o Szkocji, które takie uprawnienia im przyznają.

Jedno i drugie jest bardzo trudne, a w obecnym układzie politycznym praktycznie niemożliwe. Nicola Sturgeon wystąpiła już zresztą do Johnsona o zgodę na takie referendum, ale ten zdecydowanie odmówił. Może jednak się okazać, i na to zdaje się liczyć liderka szkockich nacjonalistów, że jeśli kampania zostanie dobrze przygotowana, kłody rzucane pod nogi członkom SNP i Zielonym będą działać na ich korzyść. Trudno však wyobrazić sobie wygodniejszą dla polityka rolę niż domaganie się zapewnienia obywatelom prawa głosu. Tak samo trudno sobie wyobrazić rolę trudniejszą niż odmawianie im tego prawa. Szczególnie kiedy, tak jak Boris Johnson, stanowisko zawdzięcza się referendum. Brytyjski premier jest jednak wytrawnym politykiem, który nawet w takiej sytuacji może sobie poradzić. Może, ale nie musi, bo Szkoci wyciągnęli lekcję z porażki i są bardzo dobrze przygotowani do walki o wyczekiwaną niepodległość swojego kraju. Decydujące może się okazać to, jak brexit zniesie brytyjska gospodarka. Jeżeli dobrze – nastroje niepodległościowe pewnie opadną. Jeżeli źle, będzie to wodą na młyn szkockich nacjonalistów. Wszystko to oznacza, że szykuje się pasjonujące starcie zawodników wagi ciężkiej. A jego efektem może być przystąpienie Szkocji do Unii Europejskiej. ■

W Szkocji za wyjściem z Unii Europejskiej opowiedziało się zaledwie 38% głosujących, przeciwko było 62%.

i choć miały okresy raz lepsze, raz gorsze, nigdy nie zostały na dobre porzucane. Czekają na swój czas i z dużą siłą odżyły w XX w., kiedy w 1934 r. stworzono dla nich ramy polityczne. Zapewniła je właśnie Szkocka Partia Narodowa, której głównym celem jest niepodległość kraju, ale poza tym głosi ona hasła socjaldemokratyczne. Po raz pierwszy do parlamentu SNP weszła w 1974 r., wykorzystując rezydentury związane z odkryciem na brytyjskim obszarze Morza Północnego złóż ropy naftowej. „To jest szkocka ropa!”, głosiło hasło wyborcze, które zapewniło sukces.

Od tamtego czasu SNP zdobywa coraz większe poparcie i od kilku lat dominuje w wyborach. Na przykład w ostatnim głosowaniu do parlamentu krajowego zdobyła 47 z 59 szkockich

do niej kraju. Jednocześnie zadeklarowała, że zostaną sfinansowane badania związane z różnymi aspektami walki o uniezależnienie się od Londynu, w tym z możliwymi drogami opuszczenia Zjednoczonego Królestwa. Obiecała również, że budżet na niepodległościowy marketing zostanie podwojony.

Marketing i praca prawników są tutaj równie ważne. Sama Nicola Sturgeon mówiła, że ewentualne referendum „musi jasno zademonstrować, że jest większościowe poparcie dla niepodległości, i jego legalność musi być ponad wszelką wątpliwość. Inaczej wynik nie zostanie uznany przez inne kraje”. W ten sposób nie tylko odżegnywała się od przypadku Katalonii, ale też mądrze wskazywała licznym gorącym głowom w partii, że

Wielki chaos u demokratów

Prawybyory, których ostatecznym celem jest pokonanie Donalda Trumpa, zaczęły się od kłopotów z liczeniem głosów

Krzysztof Juruś

Iowa, stan na Środkowym Zachodzie, to miejsce niczym się niewyróżniające. Zajmuje powierzchnię nieco ponad dwa razy mniejszą niż Polska. Populacja – zaledwie 3 mln mieszkańców. W przeciwieństwie do kilku innych pobliskich stanów Iowa pozbawiona jest tętniących życiem metropolii, popularnych drużyn sportowych czy prestiżowych uczelni, ma jedynie ceniony w całym kraju kurs kreatywnego pisania. A jednak to tu co cztery lata formalnie rozpoczynają się prawybyory prezydenckie. Przez kilka tygodni zjeżdżają tam tysiące rozentuzjasmowanych wolontariuszy, doświadczonych partyjnych działaczy, speców od kampanii i dziennikarzy.

Kiedy w reakcji na gwałtowne protesty pod koniec lat 60. władze Partii Demokratycznej postanowiły włączyć szeregowych członków w proces nominowania kandydatów na prezydenta, Iowa zapewniła sobie pierwszeństwo swoją nietypową ordynacją. Tamtejsi demokraci jako jedyni organizują się najpierw na

W 1972 r., w trakcie pierwszych otwartych prawyborów, prasowa wzmianka o zaskakująco dobrym wyniku pomogła wypromować kandydata, któremu wcześniej nie dawano większych szans. Cztery lata później właśnie dzięki aktywności w Iowa rozpoznawalność zyskał nikomu nieznanym Jimmy Carter. W 1980 r. tę strategię postanowił powtórzyć kandydat republikański, George H.W. Bush. Choć ostatecznie przegrał walkę o nominację z Reaganem, popularność wyniesiona z Iowa popłaciła – został jego wiceprezydentem, a po dwóch kadencjach następcą. Dla wszystkich stało się jasne, że udana kampania w tym niewielkim stanie przyciąga uwagę mediów z całego kraju (a nawet świata) i ułatwia drogę do nominacji, a następnie prezydentury.

Niefortunna aplikacja

W tym roku w prawyborach na prawicy nie będzie niespodzianek – o drugą kadencję będzie się starał Donald Trump, a wysiłki dwóch republikańskich idealistów, którzy chcą stawić mu czoła, niczego w tej kwestii

powinny być już dawno ogłoszone, lokalni demokraci usprawiedliwiali się koniecznością przeprowadzenia „kontroli jakości”. Nie do końca wiadomo, co miałyby to znaczyć, ale nie zwiastowało to niczego dobrego. Wszystko z powodu niefortunnej aplikacji, która miała ułatwić liczenie głosów. Stało się odwrotnie – technologia, której najwyraźniej nie poddano odpowiednim testom, nie poradziła sobie z prawyborami. W razie problemów z aplikacją liczący głosy mieli kontaktować się ze stanową centralą telefonicznie, ale nikt nie przewidział takiego zamieszania. Ku rozbawieniu milionów widzów przedstawiciel jednego z obwodów nie mógł się dodzwonić przez kilka godzin, a głos po drugiej stronie słuchawki wreszcie się odezwał, akurat gdy udzielał wywiadu dziennikarzowi CNN. Zanim nieszczęśliwiek zdążył zareagować, jego niedoszły rozmówca rozłączył się.

Całego procesu nie ułatwia jeszcze jedna pozornie pozytywna zmiana – tegoroczny krok w stronę transparentności. Cztery lata temu w Iowa Hillary Clinton zdobyła zaledwie ćwierć punktu procentowego więcej niż Bernie Sanders. Ponieważ do wiadomości podano liczbę nie oddanych głosów, ale jedynie przydzielonych

Bernie Sanders obiecuje darmowe studia na publicznych uczelniach.

poziomie niewielkich obwodów, a nie hrabstw, gromadząc się najczęściej w szkolnych salach gimnastycznych. Poparcia udzielają, stając w przypisanych konkretnym kandydatom miejscach na sali. Obóz, który w pierwszej rundzie nie zebrał 15%, rozchodzi się, a jego członkowie przechodzą na stronę bardziej popularnych pretendentów. Tego typu lokalne zebranie członków partii w celu wyłonienia kandydata nazywa się *caucus* – słowo to pochodzi prawdopodobnie z języka rdzennych Amerykanów. W miarę możliwości proporcjonalnie do poparcia w obwodzie rozdziela się delegatów na zgromadzenia w hrabstwach. Komu przyznano ich najwięcej – ten wygrywa w Iowa.

nie zmieniają. Sytuacja znacznie komplikuje się po lewej stronie amerykańskiej sceny politycznej. Cztery lata temu w Iowa o nominację ubiegało się zaledwie troje demokratów, z których jeden wycofał się zaraz po ogłoszeniu wyników. W poniedziałek, 3 lutego 2020 r., kandydatów było aż 11, a na ostateczne wyniki trzeba było czekać ponad trzy dni – sytuacja do tej pory niespotykana.

Szefujący demokratom w Iowa Troy Price nie przypuszczał zapewne, że zamiast radością zwycięzców i smutkiem przegranych wieczór skończy się zniecierpliwieniem i rozdrażnieniem w każdym sztabie, a on sam stanie przed perspektywą dymisji. Późnym wieczorem, kiedy wyniki

kandydatom delegatów, pojawiły się teorie, że na Sandersa w całym stanie zagłosowało więcej osób, a minimalna przewaga Clinton mogła wynikać chociażby ze zwyczajowego rzutu monetą w obwodach, gdzie doszło do remisu. Spekulowano, że wiadomość o jego przewadze w Iowa pomogłaby mu w rozkręceniu skuteczniejszej kampanii. Żeby uniknąć tego typu niejasności, tym razem podaje się wyniki obydwu rund i liczbę delegatów. A więcej danych to oczywiście więcej pracy w komisjach wyborczych i jeszcze więcej komplikacji.

We wtorek po południu przewodniczący Price niepewnym krokiem wyszedł na trybunę w centrum Des Moines, stolicy stanu, przepraszył za



Pete Buttigieg zdobył w Iowa więcej delegatów niż Sanders, na którego głosowała większa liczba wyborców.

zamieszanie i ogłosił wyniki... z 62% obwodów. Ten gest miał zapewne uspokoić wyborców, ale wywołał tylko konsternację – bo jak z przekonaniem świętować sukces lub kontemplować porażkę, gdy tak naprawdę nie zna się wyników? W środę rano było to 71%, liczba cały czas niezadowolająca. A choć częściowe dane pochodziły ze wszystkich 99 hrabstw i w normalnych okolicznościach powinny odzwierciedlać całkowite poparcie dla kandydatów, wobec problemów z liczeniem głosów wciąż budziły u niektórych wątpliwości. Po pierwsze, wyraźnie odbiegały od ostatnich sondaży. Po drugie – lewicowi aktywiści alarmują, że w aplikację sporo zainwestowali prominentni działacze i kandydaci związani z prawym skrzydłem partii. A sami zainteresowani zdążyli już wyjechać do New Hampshire, by tam kontynuować kampanię. Zwolennicy republikanów, czekając na orędzie prezydenckie Trumpa, mogli do woli nabijać się z demokratów. Chcą rządzić państwem, a nie potrafią zorganizować własnych prawyborów – z tym zarzutem trudno dyskutować. W medialnych doniesieniach dominowało jedno słowo: chaos. Nie tak powinien zacząć się demokratyczny proces, którego najważniejszym celem jest pokonanie Donalda Trumpa.

Umiarkowanie kontra postęp

Prawybyry w Iowa poza słabością lokalnych struktur pokazały jeszcze jedno – choć o nominacji może

myśleć na poważnie pięcioro kandydatów, w tej piątce nic nie jest przesądzone. Zaufać częściowym wynikom najbardziej nie chciał zapewne Joe Biden, wiceprezydent z czasów Obamy, który uchodził za faworyta, odkąd tylko ogłosił chęć startu. Ostatnio w ogólnokrajowych sondażach zaczął go wyprzedzać Bernie Sanders, ale pierwszy etap musiał być dla „wujka Joe” ciosem. W Iowa wyprzedziło go troje kandydatów, a nie jeden – poza

Buttigieg byłby pierwszym otwarcie homoseksualnym prezydentem Stanów Zjednoczonych.

Sandersem są to Pete Buttigieg (czyt. Butidżydz, z akcentem na pierwszą sylabę) i Elizabeth Warren. Słaby wynik Bidena może dziwić, dlatego że jako senatorzy Warren i Sanders (a także piąta w Iowa Amy Klobuchar) ostatni tydzień przed głosowaniem spędzili w Waszyngtonie, próbując odwołać Donalda Trumpa. Były wiceprezydent miał stan niemal na wyłączność. Nie brakuje komentatorów, którzy w jego rozczarującym wyniku widzą początek końca kandydata sztucznie wykreowanego na faworyta. Natomiast optymiści przypominają, że jego siła tkwi w popularności wśród Afroamerykanów, których na Środkowym Zachodzie jest nieproporcjonalnie mało – prawybyry w Karolinie Południowej powinny na nowo rozkręcić jego kampanię.

Kampanię, która do tej pory nie szła najlepiej. Biden popełnia gafę za gafą, ale ma spore grono niezra-

nych wyznawców. Na razie były wiceprezydent nie zaproponował niczego poza powrotem do niezdefiniowanej świetności z czasów Obamy (najwidoczniej nie rozumie, że gdyby tamta prezydentura była idealna, nie nastąpiłby po niej gwałtowny zwrot ku coraz bardziej skrajnej prawicy). Z drugiej strony pozycja ustrojowa głowy państwa, zwłaszcza przy obecnych podziałach w Kongresie, nie gwarantuje realizacji ambitnych programów politycznych – być może najlepszym pomysłem na kampanię rzeczywiście jest swojskość, umiarkowanie i przypomnienie o znajomości z Obamą.

Po drugiej stronie demokratycznego spektrum stoi Bernie Sanders. Parę miesięcy temu przeszedł zawal, ale deklaruje, że czuje się lepiej niż kiedykolwiek i z coraz większą energią krytykuje amerykański kapitalizm. Choć jest najstarszy spośród kandydatów (i byłby najstarszym prezydentem w historii USA), największym poparciem cieszy się wśród najmłodszych wyborców. W końcu to on obiecuje darmowe studia na publicznych uczelniach, a jego najgłośniejsza sojuszniczka to ikona młodej amerykańskiej lewicy – Alexandria Ocasio-Cortez, autorka Zielonego Nowego Ładu. Krytycy Sandersa zarzucają mu

fiskalną nieodpowiedzialność, a Hillary Clinton twierdzi, że Berniego „nikt nie lubi”. Jego rosnąca popularność zdaje się przeczyć tej tezie.

Wunderkind z Indiany

Co prawda, w Iowa na Sandersa zagłosowała największa liczba wyborców, ale ze względu na zawiłość systemu nieco więcej delegatów zdobył Pete Buttigieg (26,2% do 26,1%). Podobnie jak Biden jest centrowym kandydatem, który wierzy, że oprócz demokratów zaufają mu niezdecydowani wyborcy oraz „przyszli byli republikanie”. Skończył Harvard i Oksford, służył w Afganistanie, zna – w różnym stopniu – kilka języków (to spory kontrast z urzędującym prezydentem, który sam siebie nazywa geniuszem, ale zdaniem lingwistów posługuje się angielszczyzną na poziomie piątklasisty).

Od Sandersa znacznie różni go nie tylko usposobienie, ale też wiek – ma zaledwie 38 lat – i doświadczenie polityczne. Kilka tygodni temu skończyła się druga kadencja Buttigiega jako burmistrza 100-tysięcznego miasta South Bend w Indianie. W przeciwieństwie do konkurentów – senatorów, biznesmenów, byłego wiceprezenta – nie sprawował on funkcji publicznych poza swoim stanem. A jednak trudno odmówić charyzmy osobie, która mimo ubożego politycznego CV w ciągu niespełna roku zdobyła tak szeroką rozpoznawalność i tysiące oddanych sympatyków. Buttigieg byłby pierwszym otwarcie homoseksualnym prezydentem Stanów Zjednoczonych – w razie zwycięstwa w Białym Domu zamieszkałby jego mąż.

Wynik w Iowa można traktować jako zapowiedź dalszych zwycięstw, ale niewykluczone, że to tylko bonus za pochodzenie z nieodległej Indiany. W innych częściach USA pojawiają się przed nim nowe wyzwania. Na razie ma właściwie zerowe poparcie wśród Afroamerykanów, a ono będzie kluczowe dla sukcesów w bardziej zróżnicowanych etnicznie stanach. Nie pomaga mu niezręczna sytuacja z samego początku kariery. W pierwszych miesiącach urzędowania zwolnił czarnoskórego komisarza policji, który nagrywał rasistowskie rozmowy telefoniczne swoich kolegów. Choć jako burmistrz właściwie nie miał wówczas innego wyjścia – nagrania były bezsprzecznie nielegalne – tej niewy-

godnej PR-owo historii Afroamerykanie raczej mu nie wybaczą.

Mniejszości etniczne, stanowiące istotną grupę demokratycznych wyborców, mogą zresztą czuć się zawiedzione dotychczasowym przebiegiem kampanii. Z wyścigu o nominację wycofali się już jedyni Afroamerykanie, Cory Booker i Kamala Harris, a wkrótce pewnie taką samą decyzję podejmie Andrew Yang – kandydat, któremu Ameryka zawdzięczać będzie wprowadzenie do debaty publicznej tematu gwarantowanego dochodu podstawowego.

Prezydentka USA?

To oczywistość, że w prawyborach szczególnie istotne są relacje z liberalnymi mediami. W bezprecedensowym posunięciu „New York Times” udzielił poparcia nie jednej, ale dwóm kandydatkom: Amy Klobuchar dla umiarkowanych, a dla postępców

cie stan Massachusetts i jest znana z zgorzałej krytyki Wall Street. Zależy jej na surowszych regulacjach sektora bankowego i opodatkowaniu największych fortun (choć i tak na zaskakująco niskim poziomie).

We wczesnych etapach prawyborów rywalizuje o ten sam segment wyborców co Bernie Sanders. Co prawda, on określa się jako socjalista, a Warren jako postępową kapitalistka, ale ich pomysły na Amerykę są dość podobne. Z początku panowała między nimi zgoda, jednak w ostatniej debacie Warren niespodziewanie zmieniła kurs i wysunęła wobec kolegi niewybaczalny zarzut seksizmu. W prywatnej rozmowie Sanders miał zdradzić, że nie wierzy w wygraną kobiety przeciwko Donaldowi Trumpowi. Polityk oczywiście zaprzeczył, a zaraz po debacie odnaleziono archiwalne nagranie, w którym Sanders wyznaje, że ma nadzieję, że doczeka pierwszej prezydentki

Elizabeth Warren zależy na surowszych regulacjach sektora bankowego i opodatkowaniu największych fortun.

Elizabeth Warren. Największy dziennik w Iowa, „Des Moines Register”, nie bawił się w kompromisy i jednoznacznie opowiedział się po stronie Warren – poparło ją ostatecznie znacznie więcej głosujących, niż sugerowały sondaże. Klobuchar, choć w całym stanie dopiero piąta, wygrała za to w niektórych hrabstwach (nie udało się to Warren). Na razie nie ogłosiła szczegółowego programu, prezentuje się jako kandydatka centrowa, kompromisowa, znająca problemy zwykłych ludzi.

Z kolei Elizabeth Warren to prawdopodobnie najbardziej pracowita i ambitna polityczka. Do historii przejdą kolejki jej zwolenników, którzy chcą zrobić sobie z nią zdjęcie – Warren nie odmawia nikomu. Pod koniec grudnia chwaliła się, że ma już ponad 100 tys. selfie z wyborcami. Ale jej pracowitość i wytrwałość nie objawia się oczywiście tylko w pozowaniu do zdjęć i aktywnej kampanii – ta kandydatka wydaje się znać rozwiązanie każdego problemu. „Warren ma plan” to hasło, które weszło już do słownika amerykańskiej polityki. Była profesorka prawa upadłościowego na Harvardzie obecnie reprezentuje w Sena-

USA. Mimo to Warren choć na pewien czas udało się zasiać ziarno niepewności – czy aby na pewno Sanders jest tak równościowy, jak deklaruje? Na tym polega trudność prawyborów – kandydaci, których najwięcej łączy, muszą najmocniej się zwalczać.

W nowej dekadzie podziały w Partii Demokratycznej są wyraźniejsze i być może trudniejsze do przezwyciężenia niż do tej pory. Zwolennicy „socjalizmu milenijskiego” przeciwko „zdrowemu rozsądkowi” centrystów. Nowoczesna polityka tożsamości przeciwko samozadowoleniu białego, męskiego establishmentu. Prawyborcy to ryzykowna gra, w której można łatwo zrazić do siebie ludzi, o których poparcie trzeba będzie zabiegać. Ale wszyscy zdają sobie sprawę z tego, że cel jest jeden – pozbyć się z Białego Domu Donalda Trumpa. Nieobliczalnego człowieka, który uznał, że konstytucja daje mu nieograniczone uprawnienia. Republikanie w Senacie i prawicowe media w tym przekonaniu go utwierdzają. Ale ostatecznie liczy się przede wszystkim to, by w listopadzie większość wyborców udowodniła mu, jak bardzo się myli.

Krzysztof Juruś

3 miliony mieszkańców – to jest możliwe! **W nowym numerze tygodnika „NIE”:** mieszkaniowe diagnoza i terapia.



Porzucone dzieci ONZ

Co najmniej 265 haitańskich dzieci zostało porzuconych przez członków misji pokojowych ONZ, którzy za grosze współżyli z ich matkami

Lech Miodek

Marie miała 14 lat i była uczennicą szkoły katolickiej. Poznała brazylijskiego żołnierza z misji pokojowej ONZ na Haiti. Szybko doszło do seksu. Kiedy powiedziała mu, że jest w ciąży, obiecał jej pomoc i natychmiast wrócił do Brazylii. Kontakt z nim nie udało się już nawiązać. Tymczasem Marie została wyrzucona z domu. Zamieszkała u siostry. Dziś jej syn ma cztery lata. Za godzinę swojej pracy otrzymuje 25 gourde'ów (0,24 euro), co wystarcza jej tylko na jedzenie dla obojga. Brakuje na opłatę za mieszkanie i naukę dziecka.

Nie jest to przypadek odosobniony. Przeprowadzone przez dziennikarzy śledztwa wykazały, że wiele 11-letnich dziewcząt zostało zgwałconych przez żołnierzy niebieskich hełmów i zostawionych na pastwę losu, bo gdy dowiadawali się oni o ciąży, byli odwoływani do kraju.

Misja Stabilizacyjna Organizacji Narodów Zjednoczonych na Haiti (MINUSTAH), prowadzona w latach 2004-2017, pierwotnie miała na celu współpracę z instytucjami lokalnymi, by ustabilizować sytuację w kraju zdominowanym przez przestępczość zorganizowaną. Z powodu klęsk żywiołowych: trzęsienia ziemi w 2010 r. i huraganu Matthew w 2016 r., jej mandat został

800 tys. mieszkańców, z czego ok. 10 tys. zmarło. Media informowały, że członkowie personelu ONZ proponowali dziewczynkom żywność i drobne kwoty w zamian za seks. Udało się ustalić, że 134 żołnierzy ze Sri Lanki w latach 2004-2007 wykorzystywało seksualnie dziewięć dziewczynek dostarczonych im przez grupę przestępczą. W wyniku publikacji Associated



Miejszem zabawy może być dach samochodu, Port-au-Prince.

Press 114 żołnierzy odesłano z powrotem na Sri Lankę, ale żaden z nich nie został oskarżony ani osądzony.

O dzieciach urodzonych przez kobiety ze związku z cudzoziemcem z misji Haitańczycy mówią pogardliwie „mały MINUSTAH”. Według czasopisma „International Peacekeeping” ojcami są żołnierze i/lub personel

do pomocy materialnej. Porzucone przez żołnierzy kobiety wychowują dzieci z tych związków w ekstremalnej biedzie. Tylko niektóre mogą liczyć na pomoc rodziny. Prywatna oświata jest dla ich dzieci nieosiągalna, a publiczna prawie niedostępna.

W styczniu 2018 r. haitańskie Bureau des Avocats Internationaux (BAI) w imieniu dziesięciorga dzieci złożyło pozwy do sądów kilku krajów, obciążając ojcostwem żołnierzy i personel ONZ oraz żądając pomocy materialnej. Ponieważ nie było odzewu, rok później BAI wysłało list otwarty do Jane Connors, kierującej oenietowskim Biurem ds. Obrony Praw Ofiar. Ta na prośbę o współpracę odpowiedziała odmownie. Postawa Biura Narodów Zjednoczonych ds. Obrony Praw Ofiar wskazuje, że zajmuje się ono raczej ukrywaniem sprawców przestępstw i ludzkich tragedii niż pomocą ofiarom. ■

134 żołnierzy ze Sri Lanki wykorzystywało seksualnie dziewięć dziewczynek dostarczonych im przez grupę przestępczą.

przedłużony. Po 13 latach MINUSTAH ustąpiła miejsca MINUJUSTH, Misji na rzecz Wsparcia Wymiaru Sprawiedliwości na Haiti. Personel wojskowy i cywilny był wielokrotnie oskarżany o nadużycia seksualne, gwałty i przyczynianie się do samobójstw. Sama ONZ przyznała, że niebieskie hełmy sprowadziły przypadkowo do Haiti cholere. Zachorowało na nią ponad

z Urugwaju, Brazylii, Chile, Argentyny, Nepalu, Sri Lanki, Kanady, Jordanii i Boliwii. Najwięcej przypadków dotyczy Urugwaju (28,3%) i Brazylii (21,9%).

Kluczowym powodem wykorzystywania seksualnego miejscowych kobiet i dziewcząt jest ubóstwo. Żołnierze ONZ mają dostęp do pieniędzy i produktów, o których lokalna lud-

Beata Dżon-Ozimek
Korespondencja z Zurychu

Ten rok będzie pełen wydarzeń przypominających drogę Szwajcerek do 7 lutego 1971 r., czyli dnia, od którego mogą głosować i być wybierane do parlamentu. Z inicjatywą odliczania wystąpiła m.in. prawniczka Zita Küng, działaczka na rzecz praw kobiet i mniejszości. – Mając lewicowe poglądy, nie mogłam znaleźć pracy jako nauczycielka. Byłam wściekła na nasze prawo, chciałam poznać jego funkcjonowanie, więc poszłam na studia prawnicze – mówi Zita, jedna z najbardziej znanych feministek w Szwajcarii, Niemczech i Austrii. Prowadziła liczne kampanie, w tym „Przemoc mężczyzn nie czyni z nich mężczyzn”, dzięki której po raz pierwszy w Szwajcarii podjęto temat molestowania seksualnego w pracy. Była jedną z dwóch pierwszych kierujących Urzędem ds. Równości Płci utworzonym w Zurychu w 1990 r. Uczy inne kobiety, czym jest prawo i jak je rozumieć, pomaga im aktywizować się zawodowo i społecznie. Prowadzi zajęcia na wydziale feministycznym Fem!

To roczne seminarium stworzone cztery lata temu przez kobiety dla kobiet. Zajęcia odbywają się m.in. w Zurychu, Bazylei, Winterthurze. Cykl obejmuje zajęcia o tematyce feministycznej – prawnej, ekonomicznej, dotyczącej kobiecego ciała i praw do niego itd. – Nie boimy się feminizmu, on przywraca kobiety społeczeństwu, uświadamia nam nasze prawa, uczy, jak się wzajemnie wspierać niezależnie od wieku czy statusu – mówi Ayse, dziennikarka radiowa. 35 lat temu przyjechała do Szwajcarii jako uchodźczyni polityczna z Turcji.

Do 1987 r. w prawie małżeńskim widniał zapis zobowiązujący kobiety do prowadzenia domu, zajmowania się dziećmi, uzyskania zgody męża na pracę.

Szwajcarki, Niemki i Polka spotkały się 25 stycznia w Zurychu w niezwykłym miejscu, dawnej elektrowni Kraftwerk, trzy przystanki tramwajowe od Helvetiaplatz, gdzie zbierają się znaczące demonstracje, skąd wyruszają marsze. Na Fem! zapisują się bardzo różne kobiety: od pań w wieku

Szwajcarki odliczają

7 lutego rozpoczęło się w Szwajcarii uroczyste odliczanie 366 dni do jubileuszu 50-lecia uzyskania praw wyborczych kobiet



„Z miłości do kobiet – męskie tak”. Takim hasłem w 1971 r. zachęcano do głosowania za przyznaniem kobietom praw wyborczych.

emerytalnym, pamiętających czasy bez prawa wyborczego, przez aktywne zawodowo urzędniczki, przedsiębiorczynie, rolniczki, po studentki i imigrantki. Każda płaci za zajęcia, z tym że te, których nie stać, płacą mniej, a inne, solidarnie, dokładają się większymi kwotami.

Kobiety mają głos

7 lutego 1971 r. szwajcarscy mężczyźni głosowali nad zmianami w konstytucji i zdecydowali o politycznych prawach kobiet – 65,7% było za, 34,2% przeciw. Zmiany następowały w ślimaczym tempie, co pokazały

podczas referendum dotyczącego obowiązku uczestnictwa wszystkich kobiet w obronie cywilnej, wybuchł skandal. Po raz pierwszy w historii wzięty w nim udział panie. Rada gminy Unterbach w kantonie Valais, zgodnie z prawem w tej gminie, na liście uprawnionych do głosowania umieściła również kobiety. Pierwszą Szwajcarką, która wrzuciła głos – do oddzielnej urny dla kobiet – była Katharina Zenhäusern, żona przewodniczącego rady gminy. Na 84 kobiety z listy wyborców zagłosowały 33. Ich głosy jednak anulowano. Ostatni i najmniejszy kanton, Appenzell Innerrhoden, dopiero po wyroku sądu federalnego z 27 listopada 1990 r. przyznał kobietom prawa wyborcze na poziomie kantonu. Zagłosowały 28 kwietnia 1991 r.

Codzienność Szwajcerek

Światowe statystyki mówią, że na 100 mężczyzn żyjących w ubóstwie przypadają 104 kobiety, ale w Szwajcarii to aż 138 kobiet. – Wielkim problemem jest bieda starszych kobiet, emerytura nie wystarcza na potrzeby życiowe. Wiele kobiet z powodu pracy w domu, niskich zarobków albo zatrudnienia na część etatu nie

ma prawa do emerytury albo ma ją bardzo niską. A mieszkania i ubezpieczenie zdrowotne są drogie – zwraca uwagę Theresa, matka dwójki dzieci z Zurychu. Gabriela, która uczy się jeszcze i pracuje, dodaje, że zarobki kobiet są o ok. 30% niższe niż mężczyzn. – A opieka nad dziećmi zmniejsza szanse na zrobienie kariery i zdobycie wyższego stanowiska. Kobiety generalnie mają zbyt małe wsparcie i są zbyt słabo reprezentowane w instytucjach politycznych – podsumowuje.

Irene i kilka innych pań wspominają długie i trudne, kosztowne rozwody, sądy o „męskim punkcie widzenia”. Do 1987 r. w prawie małżeńskim widniał zapis zobowiązujący kobiety do prowadzenia domu, zajmowania się dziećmi i uzyskania zgody męża na podjęcie pracy. Erika, współtwórczyni Fem!, pamięta to dobrze. Jeszcze w latach 80. XX w. gwałt na kobiecie uważany był tylko za naruszenie porządku publicznego. Do 1992 r. nie karano za gwałt w małżeństwie. By sąd uznał czyn za gwałt, ofiara musi się bronić w wyraźny, rozpoznawalny dla napastnika sposób. Prawo nie jest tutaj sprzymierzeńcem kobiet, tymczasem 22% kobiet mieszkających w Szwajcarii doświadczyło napaści seksualnych.

Liczenie kobiet

Popularne są statystyki wskazujące, ile kobiet zajmuje jakie stanowiska, w jakich branżach, w polityce. W szwajcarskim parlamencie stanowią 42%. Dyskutuje się też o procentowym udziale kobiet w sztuce, literaturze, obecności artystek w muzeach, galeriach. „Liczenie kobiet sta-

Sama przez kilka lat walczyła w sądzie o płacę równą zarobkom mężczyzn na tym samym stanowisku w służbie zdrowia. Wywalczyła częściowe wyrównanie, ale ten bój wiele ją kosztował psychicznie i społecznie, towarzysko.

Wracając zaś do sztuki, w Zurychu – mieście rządzone przez czerwonozielonych i panią prezydent, która interesuje się sztuką – z ośmiu wystaw

Wprowadzony w 2006 r. 14-tygodniowy urlop macierzyński jest za krótki i dla matki, i dla dziecka.

jedna jest poświęcona dziełom kobiety. Czy potrzeba parytetu w sztuce? „Na pewno trzeba więcej pieniędzy, żeby muzea swobodnie planowały, a sztuka musi być wolna, także od płci”, pisze Andreas Tobler, dziennikarz kulturalny w „Tagesanzeiger”. Bo rządzący rynkiem sztuki, czyli właściciele galerii i domów aukcyjnych, krytycy, kolekcjonerzy, to głównie mężczyźni. Oni decydują, co zostanie uznane za dobrą sztukę.

Okiem matki

W Szwajcarii trudno o bezpłatną opiekę nad dzieckiem czy elastyczne godziny pracy. – Żłobki, przedszkola są zbyt drogie, jest ich za mało – stwierdza Gabriela. Ojcowie nie mają prawa do urlopu ojcowskiego. – Wprowadzony w 2006 r. 14-tygodniowy urlop macierzyński jest za krótki i dla matki, i dla dziecka – uważa mama trójki chłopaków, dziennikarka i pisarka, Sibylle Stillhart. – Kobiety są wyczerpane, przemęczone i trzeba o tym głośno mówić. To wynika z historii. W wielu krajach kobiety

Federalny Urząd Statystyczny podaje, że kobiety są zajęte opieką nad dzieckiem (poniżej sześciu lat) i pracami domowymi – nieopłacanymi – przez 58 godzin tygodniowo. Plus godziny pracy zawodowej. Mężczyźni poświęcają na niepłatne prace średnio 34 godziny tygodniowo. – Trzy razy w tygodniu pracuję jako niania i widzę, jak oczywiście jest, że pracująca kobieta i tak musi się zajmować domem i dziećmi. To

potrójne obciążenie jest problemem – mówi Lucia z Zurychu, słuchaczka Fem! Sibylle Stillhart, autorka książki „Schluss mit gratis. Frauen zwischen Lohn und Arbeit” („Koniec z darmością. Kobiety między płacą a darmością”), opowiada się za pensją dla matek.

Szwajcarskie feministki świętują, wzmocnione prawami wyborczymi i ruchami kobiecymi, ale wciąż mają wiele do zrobienia. Mogą sobie powtarzać za niemiecką prawniczką i feministką, dr Barbarą Degen: „Tylko odwagi, kobiety”. ■

22% kobiet mieszkających w Szwajcarii doświadczyło napaści seksualnych.

to się nowym sportem społecznym”, pisze zuryski dziennik „Tagesanzeiger”. Różny jest stosunek do kwot, parytetów, ale wiele kobiet, tak jak emerytowana urzędniczka Barbara Hopf, popiera te rozwiązania. – Jestem wielką orędowniczką regulacji kwotowych dla kobiet, i to 50% na 50% – deklaruje. – Chodzi o to, by dzięki nim kompetentne kobiety stały się widoczne i mogły iść wyżej! To szansa, by nadgonić różnice!

już w 1918 r. uzyskały prawa wyborcze, a Szwajcarki zaczęły brać udział w życiu politycznym dopiero w roku 1971. Podobnie było z równym dostępem do edukacji, jeszcze w latach 80. zeszłego wieku dziewczynki uczyły się prac ręcznych i domowych, a chłopcy matematyki i rysunku technicznego i to oni szli do gimnazjów – przypomina.

Kiedy rodzi się dziecko, liczba godzin pracy w domu się podwaja.



Naukowa bezbronność

Środowiska eksperckie na całym świecie przegrywają walkę z populistami

Mateusz Mazzini

Lamar Smith był przez ostatnie lata jednym z najwyrazistszych popleczników Donalda Trumpa w amerykańskim Kongresie. Zasiadający w nim od 1987 r. republikanin z Teksasu nie tylko bronił prezydenta przed oskarżeniami o łamanie konstytucji czy nadużycia finansowe, ale przede wszystkim wspierał go w negowaniu skutków jego katastrofalnej polityki klimatycznej. Zwłaszcza to ostatnie wcielenie Smitha było niepokojące, biorąc pod uwagę jego funkcję w Izbie Reprezentantów. Do stycznia tego roku był bowiem przewodniczącym komisji ds. nauki – jednego z najważniejszych ciał administracji państwowej zajmujących się polityką klimatyczną, energetyczną i rozwojową. Sam nie do końca wierzył w fundament działania tej komisji, czyli właśnie w naukę.

Kiedy w maju zeszłego roku wchodził na scenę podczas dorocznej konferencji o zmianach klimatycznych w Heartland Institute w stanie Illinois, wielu ekspertów w USA spodziewało się wystąpienia chroniącego koncerny wydobywcze i krytykującego porozumienie paryskie o globalnym ograniczeniu emisji. Niewielu jednak było przygotowanych na frontalny atak na całe światowe środowisko naukowe. Lamar Smith krzychał z mównicy, że eksperci, którzy przypisują człowiekowi sprawstwo w katastrofie klimatycznej, uprawiają „naukę poprawną politycznie”, a prawdziwe interpretacje tego zjawiska, oparte na założeniu, że katastrofy co jakiś czas się zdarzają, są wyciszane przez międzynarodowe lewicowe i liberalne lobby. Tym samym wyłożył (a) naukowy dogmat wszystkich populistów. Ich zdaniem w dzisiejszym świecie nie ma już miejsca na prawdę w jej ostatecznej, niekwestionowanej formie, podobnie jak na racjonalność, logikę i twierdzenia linearnie tłumaczące rzeczywistość. Zamiast tego każdy ma prawo do swojej własnej prawdy, nawet jeśli

ta funkcjonuje w kompletnej izolacji od faktów, a nawet im zaprzecza.

Nie ma różnicy, czy na miejscu Lamara Smitha postawimy Donalda Trumpa, mówiącego, że zmiany klimatyczne są żartem, czy prezydenta Brazylii Jaira Bolsonaro, zdaniem którego pożary Amazonii raz są elementem tamtejszej tradycji, a raz skutkiem działania złośliwych ekologów razem z Leonardem DiCaprio podkładających ogień w dżungli. Awersja populistów do nauki nie kończy się zresztą na zagadnieniach klimatycznych. Prezydent USA konsultuje swoją strategię polityczną z Paulą White, karną dziewczyną hochsztaplerką twierdzącą, że „pobiera zawartość niebios do swojej głowy” i dzięki temu jest w stanie doradzać Trumpowi. Z kolei premier Indii Narendra Modi jest gorącym zwolennikiem suplementów diety wywołujących biegunkę, ponieważ ta „polepsza jakość ludzkiego DNA”. Do tej listy można dopisać oczywiście wielu innych, od amerykańskiego kongresmena

Populiści wygrywają nie tylko dlatego, że głośniejsze krzyczą. Oni lepiej opowiadają swoje historie.

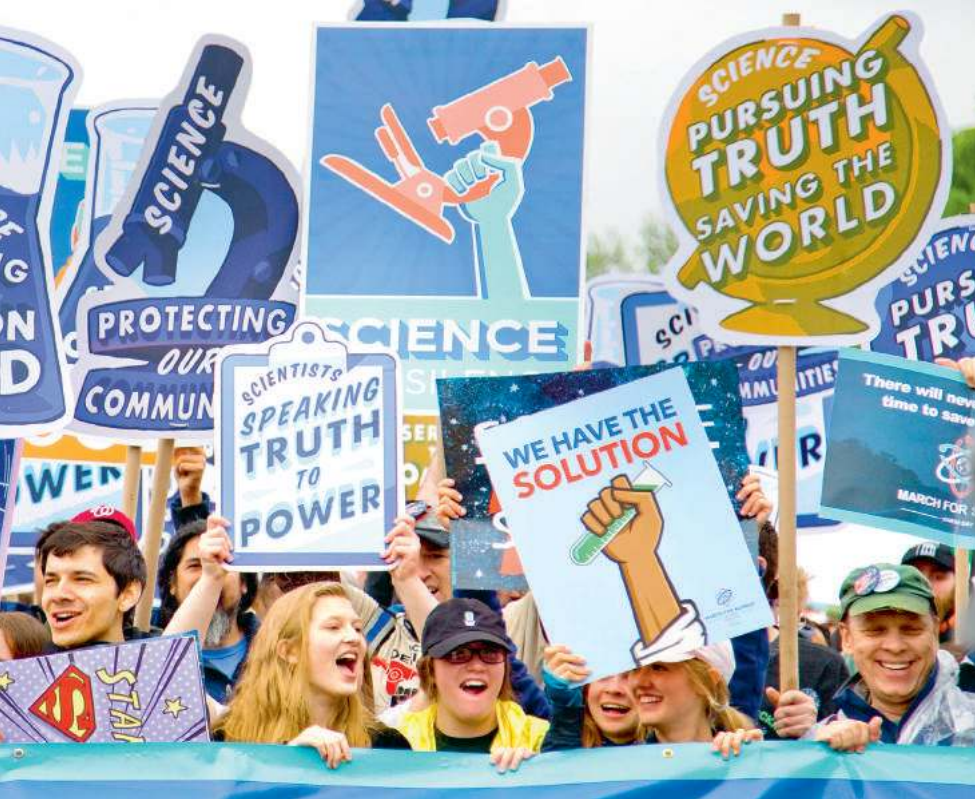
Todda Akina, który uważa, że gwałt nie może prowadzić do ciąży, aż do propagującego wybieranie polityków w losowaniu Włocha Beppe Grilla czy Jarosława Kaczyńskiego, według którego uchodźcy z Afryki są chodzącą bombą biologiczną.

Fala populistycznych triumfów zalewa naukę, co do tego nie ma najmniejszej wątpliwości. Należy jednak postawić pytanie, dlaczego środowiska naukowe i eksperckie tak łatwo oddały pole, a ich rzadkie działania odwetowe pozostają nieskuteczne. Populiści, wbrew temu, w co wierzą albo chcieliby wierzyć ich przeciwnicy, wcale nie wygrywają dlatego, że ich wyborcy są otępiłą masą ludzką, niezdolną do przyswojenia najprostszej wiedzy naukowej. Wina leży też po stronie samych naukowców, nie tylko miewających problemy z przy-



stępnym przekazywaniem wiedzy masowej publiczności, ale także trwających w przekonaniu, że to wiedza sama w sobie jest tu kluczowa. Tymczasem mylnie jest założenie, że ludzie postępują wbrew faktom, bo ich nie znają, a więc uzupełnienie tych braków rozwiąże problem i zatrzyma populistów. Ci bowiem wygrywają nie tylko dlatego, że głośniejsze krzyczą, oni lepiej opowiadają swoje historie.

Tim Requarth, dziennikarz zajmujący się publicystyką naukową i wydawca medjoznawstwa na Uniwersytecie Nowojorskim, podkreśla, że dotychczas eksperci i przedstawiciele świata nauki komunikowali się z nie-naukową publicznością na podstawie tzw. modelu deficytu. Zakłada on, że ludzie skłonni są uwierzyć w szarlatanckie teorie sprzeczne z faktami, jeśli tych faktów nie znają – innymi słowy, kiedy występuje u nich deficyt wiedzy. Poszerzenie zasobu znanych i rozumianych faktów powinno zatem osłabić skuteczność populistycznego dyskursu. Na tym modelu, jak pisze Requarth w magazynie internetowym Slate, opiera się praktycznie cała dzisiejsza komunikacja naukowa. Eksperci, reagując na bzdury głoszone przez Trumpa i Bolognara, zasypują czytelników faktami. A te, nawet



Waszyngtoński marsz na rzecz wykorzystywania badań i analiz naukowych w polityce.

grozi nam susza, robią to częściej na przykładach modeli hydrologicznych czy wód gruntowych, a nie wody w kranie każdego z nas. Małe grupy miejskich aktywistów walczą o drzewa na blokowiskach, ale przeciętny obywatel nie zawsze wie, co drzewom w mieście zawdzięcza i dlaczego powinien je chronić. Krótko mówiąc, eksperci muszą podkreślać emocjonalny czy duchowy sens ich działań. Więcej faktów absolutnie nie zwiększy skuteczności ich komunikacji.

Innym błędem, który regularnie popełniają naukowcy walczący z populistycznymi kłamstwami, jest uporczywa chęć rozkładania ich na czynniki pierwsze. Teresa Myers z George Mason University udowodniła, że często daje to efekt wręcz przeciwny. Powoduje bowiem powtarzanie każdego z tych mitów coraz więcej razy, nawet jeśli przyświeca temu szlachetny cel ich obalenia. Przekaz nie znika, jest jedynie wzmacniany. Zamiast więc siłować się z pojedynczymi kłamstwami, sugeruje Myers, eksperci powinni proponować własne opinie, alternatywne wobec populizmu. To argument pojawiający się bardzo często w odniesieniu do nieskuteczności nie tylko nauki, ale i całej opozycji wobec tendencji antyliberalnych. Potrzeba oryginalnych historii zamiast czystej reakcji na negacjonizm wciąż jednak pozostaje niezaadresowana. Tym bardziej że spory co do przyczyn katastrofy klimatycznej i tak nie zmieniają naszej pozycji wobec jej skutków. Z niedożywienia, braku wody czy chorób umiera się bowiem tak samo bez względu na poglądy i zasób wiedzy. ■

wyjaśnione w prosty sposób, mają obronić się same.

Już jednak nauka o nauce pokazuje, że proces ten wcale nie zachodzi według powyższego schematu. Dan Kahan, psycholog z Uniwersytetu Yale, przeprowadził w 2010 r. badanie udowadniające nieefektywność tej metody. Przebadził 1,5 tys. osób, które na podstawie kwestionariuszy najpierw uszeregował pod względem ich poglądów politycznych, a potem za pomocą dość prostych pytań z zakresu nauk ścisłych określił stopień ich wiedzy z tej dziedziny. Na końcu zapytał o stosunek do zmian klimatycznych: czy uważają je za naturalne, czy spowodowane przez człowieka. Zgodnie z modelem deficytu wyniki powinny być dość oczywiste. Im więcej pozytywnych odpowiedzi w kwestionariuszu, tym większe prawdopodobieństwo zaakceptowania antropogenicznych źródeł katastrofy klimatycznej.

Tymczasem z badania Kahana wyszło coś zupełnie innego. Klimat nie jednoczył, ale polaryzował badanych, bez względu na zasób wiedzy. Respondenci o poglądach konserwatywnych, nawet przy dużej liczbie pozytywnych odpowiedzi na pytania naukowe, byli grupą najbardziej skłoną zanegować zagrożenie związane ze zmianami klimatycznymi. Z kolei lewicowcy, nawet o wyraźnie niższym stopniu zrozumienia procesów naukowych, w klimatyczną apokalipsę wierzyli od razu. Kahan badał te zależności dalej, odkrywając

kolejną prawidłowość. W drugim kwestionariuszu zapytał, co zdaniem respondentów naukowcy myślą o zmianach klimatycznych. Tu jeszcze im większa była wiedza, tym częściej ankietowani przyznawali, że istnieje konsensus wśród ekspertów. Jednak w żaden sposób nie przekładało się to na ich własny stosunek do klimatu. Innymi słowy, nawet jeśli ludzie sami mają odpowiedni zasób wiedzy i akceptują zgodność naukowców, wcale nie muszą im wierzyć.

Jak zatem sprawić, żeby wiedza naukowa przebijiała się do masowej debaty i wygrywała z populistycznymi absurdami? Eksperci od komunikacji medialnej, ale też badacze populizmu, np. holenderski politolog Cas Mudde, zwracają uwagę na brak jakichkolwiek emocji w naukowych narracjach. Nawet jeśli klimatolodzy tłumaczą, że

DELIRIUM WŁADZY
KTO RZĄDZI TEN BŁĄDZI

47 zł

ORBÁN w głowie

35 zł

www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

KSIĄŻKI PRZEGLĄDU!

Ona oddała mi serce, ja dla niej nerkę

W Polsce
na przeszczep nerki
czekają 1184 osoby,
a chętnych
na przeszczepu
krzyżowe brak

Ewa Smolińska-Borecka

Właśnie obchodzą piątą rocznicę. Równie ważną jak rocznica ślubu czy urodziny córki, a może nawet ważniejszą. Dokładnie pięć lat temu, 10 lutego 2015 r., Jacek Fiuk oddał swoją nerkę obcej kobiecie, by jego żona Justyna mogła dostać nerkę od obcego mężczyzny. Był to pierwszy w Polsce przeszczep krzyżowy. Jacek od razu, kiedy się dowiedział, że potrzebny jest przeszczep, powiedział żonie, że może na niego liczyć. – Justyna oddała mi kiedyś serce i całe życie jesteśmy razem, więc to oczywiste, że chociaż w taki sposób chciałem jej się odwdziżyć – mówi.

Nie oszczędza się, ciężko pracuje, bo w jego branży akurat jest koniunktura. Trzeba ten czas wykorzystać, bo za dwa-trzy lata wszystko może się zmienić. A poza tym skończy czterdziestkę, więc trzeba będzie trochę zwolnić. Ale nie teraz. Trudno mu znaleźć czas na spotkanie. Późnym



Pięć lat temu Jacek Fiuk oddał swoją nerkę obcej kobiecie, by jego żona mogła dostać nerkę od obcego mężczyzny.

transplantacji, które w 1991 r. zaakceptował Komitet Wykonawczy Światowej Organizacji Zdrowia. Jedna z nich mówi, że pożądane jest, by organy pochodziły od osób zmarłych. Żywe osoby dorosłe mogą być dawcami organów, ale dawca powinien być osobą genetycznie spokrewnioną z biorcą.

W Polsce kwestie transplantacji reguluje Ustawa z dnia 1 lipca 2005 r. o pobieraniu, przechowywaniu i przeszczepianiu komórek,

zabieg musi być poprzedzony dokładnymi badaniami, by stwierdzić, że stan zdrowia dawcy nie ulegnie pogorszeniu. W Polsce jedynie 35% kandydatów na dawcę nerki spełnia wymogi medyczne. Z kolei przeszczepy od dawców spokrewnionych stanowią u nas zaledwie 3-4% wszystkich transplantacji, natomiast w krajach skandynawskich – 40-50%.

Według danych Poltransplantu 31 stycznia br. w Polsce na przeszczep czekało 1996 osób. Najwięcej, bo 1184, na przeszczep nerki, 471 – na przeszczep serca, 148 – na przeszczep płuc. W pierwszym miesiącu tego roku wykonano jedynie dwa zabiegi przeszczepienia nerek oraz jeden przeszczep fragmentu wątroby od żywych dawców. W pozostałych 111 przeszczepach pobierano narządy od zmarłych. Największą grupę stanowiły przeszczepy nerek – 69. W sumie nowe nerki otrzymało 71 osób.

Tylko jedna?

– Jeśli ktoś nie robił USG brzucha, to nie wie, czy ma dwie nerki, czy może tylko jedną – stwierdza Jacek. – A kto robi USG bez powodu? Nikt.

Do 10 lutego 2015 r. przeszczep krzyżowy w Polsce był tylko teorią, podobnie jak przeszczep łańcuchowy.

wieczorem można się do niego dozwonić, kiedy w biegu zamawia hot doga na stacji benzynowej albo zjada pizzę w sieciówce, bo nie może dotrzeć do domu na kolację. Że żyje nierozważnie, że nie dba o siebie? Zaprzecza. Żyje po prostu jak zwyczajny człowiek, taki z dwiema nerkami.

71 nowych nerek

O pobieraniu narządów do przeszczepów mówią zasady dotyczące

tkanek i narządów. Dopuszcza ona, że dawcą może być osoba niespokrewniona, która jest emocjonalnie związana z biorcą, czyli mąż, żona, osoba przysposobiona, przyjaciel. Jednak w takim przypadku opinię musi wyrazić Komisja Etyczna Krajowej Rady Transplantacyjnej, a potem zgodę wydać sąd rejonowy. Od żywego dawcy można pobierać nerkę lub fragment wątroby. Oczywiście także szpik, ale jest on tkanką regenerującą się. W przypadku pobrania nerki lub fragmentu wątroby

Skoro nic złego się nie dzieje, to znaczy, że wszystko jest w porządku. Kiedy pobieraliśmy się, Justyna była nie tylko piękną i atrakcyjną dziewczyną, ale także zdrową. Tak myśleliśmy aż do drugiego trymestru ciąży.

Pojechali na badania USG. Lekarka stwierdziła, że trzeba je powtórzyć. Justyna powtórzyła. Znowu okazało się, że trzeba je powtórzyć. Wysłano ją do specjalistycznej kliniki na warszawską Wolę. Razem z wynikami wręczono skierowanie do szpitala ginekologiczno-położniczego przy ul. Madalińskiego. Lekarze stwierdzili, że ma jedną nerkę i na dodatek chorą. – Resztę ciąży spędzi pani w szpitalu – powiedzieli. Tak się stało. Córka urodziła się w 28. tygodniu ciąży. Ale dostała 10 punktów w skali Apgar. – Była zupełnie zdrowa, a przecież wcześniej bardzo się martwiliśmy, bo zarówno ciąża, jak i życie żony były zagrożone – wspomina Jacek. – Teraz córka ma osiem lat i choć jest zdrowa, bardzo dbamy o nią i staramy się, by niczego nie przeoczyć. Oczywiście zbadaliśmy, czy ma dwie nerki. Ma.

Justyna cały czas była pod opieką nefrologa. Nie musiała jeździć na dializy, miała terapię farmakologiczną. – Brała codziennie garść leków, po dwóch-trzech tygodniach jechała na kontrolę, żeby sprawdzić, czy leki działają, czy poziom kreatyniny w surowicy krwi, który świadczy o sprawności pracy nerek, a także poziom mocznika we krwi, są właściwe – wyjaśnia Jacek. – Justyna przyjmowała leki trzy lata. Sytuacja się zmieniła, kiedy Julka poszła do przedszkola. Wtedy okazało się, że żona musi rozpocząć dializy. Dopóki Justyna była leczona farmakologicznie, nie zastanawialiśmy się, co będzie dalej, nie myśleliśmy o przeszczepie. Ale kiedy się okazało, że konieczne są dializy, postanowiłem oddać żonie nerkę. Powiedziałem jej o tym. Pamiętam, jak pierwszy raz pojechaliśmy do stacji dializ w Piasecznie. Była bardzo nowoczesna, zapewniała pacjentom jak najlepsze warunki, ale ja od razu powiedziałem pani kierownik: „Moja żona nie zagości tu długo”. Wierzyłem, że szybko uda się zrobić przeszczep.

Nie wie, skąd brał pewność, że jego nerka będzie odpowiednia dla Justyny. Okazało się jednak, że nie może być dawcą dla żony, nie było zgodności immunologicznej. Z kolei

mama Justyny, która też zaoferowała nerkę, nie mogła zostać dawcą ze względów zdrowotnych. Bo może nim być jedynie osoba, która jest stuprocentowo zdrowa.

– Żadna osoba, która powinna mieć przeszczepioną nerkę, nie poprosi nikogo z rodziny o to, by jej oddał swoją – uważa Jacek. – Ta propozycja musi wyjść od dawcy. Czasami bywa tak, że pod wpływem nacisków rodziców, którzy nie mogą być dawcami, brat czy siostra decydują się oddać nerkę chorej siostrze. Ale kiedy po badaniach okazuje się, że żadne z rodzeństwa nie może być dawcą, przyjmują tę informację z ulgą: „No przecież chciałem, ale nie wyszło”. A gdyby naprawdę



ktoś chciał pomóc, mógłby wziąć udział w przeszczepie krzyżowym albo łańcuchowym. Obawiam się jednak, że wiele osób nie wie o takiej możliwości.

Ile osób nie doczekało?

Do 10 lutego 2015 r. przeszczep krzyżowy w Polsce był tylko teorią, podobnie jak przeszczep łańcuchowy. Justyna mogła liczyć jedynie na nerkę od zmarłego dawcy. Wykonała wymagane badania i została wpisana na krajową listę oczekujących. – Spytałem panią doktor nefrolog, która od trzech lat opiekowała się żoną, czy będziemy czekać w tej kolejce tak długo, aż ktoś przypadkowo odejdzie z te-

go świata i będzie immunologicznie zgodny z Justyną – wspomina Jacek. – Spytałem też, ile osób co roku nie dożywa przeszczepu. A co z takimi potencjalnymi dawcami jak ja, którzy nie mogą oddać nerki bliskiej osobie? Dostają kopa w tyłek i do widzenia? Wtedy pani doktor pokazała mi plakat dotyczący programu realizowanego przez Szpital Kliniczny Dzieciątka Jezus w Warszawie, w którym leczyła się Justyna. Program był przewidziany dla 12 par, które wzajemnie oddadzą i otrzymają nerki. Ja przyjąłem to z entuzjazmem, chociaż uważałem, że szansa jest znikoma. Justyna była nastawiona bardzo sceptycznie. Mówiła: „A gdzie ty znajdziesz osobę,

która mi odda nerkę?”. Ja jej na to, że przecież do tego szpitala przyjeżdżają do nefrologów ludzie z całej Polski. Na pewno uda się znaleźć odpowiednią parę.

Wkrótce koordynatorka transplantacyjna Aleksandra Tomaszek ze Szpitala Klinicznego Dzieciątka Jezus zadzwoniła do Jacka. Powiedziała, że ma parę, która być może okaże się odpowiednia do przeszczepu krzyżowego. W każdym razie wstępne badania wskazują, że nie jest to wykluczone. To były dwie siostry, powyżej trzydziestki, mniej więcej w wieku Jacka i Justyny. Konieczne było zrobienie próby krzyżowej. Okazało się, że Jacek mógłby oddać nerkę jednej siostrze, ale Justyna nie mogłaby przyjąć nerki od drugiej, ▶

► bo jej organizm by ją odrzucił. – Mnie to w ogóle nie załamało, bo wiedziałem, że jednak jest jakaś szansa – twierdzi Jacek. – Wiedziałem też, że skoro jest realizowany program, to są pieniądze na próby krzyżowe, które są bardzo kosztowne. A moim zdaniem NFZ nie jest skory, by wydawać pieniądze na przeszczepy.

Wkrótce po raz drugi zadzwoniła koordynatorka transplantacyjna. Powiedziała, że jest druga para. Wtedy Jacek i Justyna poznali Alinę i Przemka. – Byli bardzo sympatyczni,

– mówi Jacek. – I robi wszystko, żeby z tej nerki jak najdłużej i jak najlepiej korzystać. Że będzie regularnie brała leki immunosupresyjne, żeby organizm nie odrzucił przeszczepu. A wiadomo, że po takich lekach jednemu wypadają włosy, drugi puchnie albo bardzo tyje. Kiedyś Przemek w żartach powiedział do mnie: „Ale wiesz, że jak Alinie nie przyjmie się nerka, to będziesz musiał oddać drugą?”. Do dziś mamy bliskie kontakty z Aliną i Przemkiem. Jak się ktoś poznał w takiej

z tą, którą jego żonie oddał Przemek. Jacek twierdzi, że nie myśli o tym. – Oczywiście to jest wkalkulowane, że twój organ może nie popracować u biorcy zbyt długo, ale też może pracować całe jego życie.

Jacek się dziwi, że od ich krzyżowego przeszczepu nerki mija właśnie pięć lat, a w tym czasie wykonano w kraju jedynie cztery kolejne krzyżowe przeszczepy i jeden łańcuchowy, w czerwcu 2015 r., też w Szpitalu Klinicznym Dzieciątka Jezus w Warszawie. Sam z grupą podobnych zapaleńców jeździ po stacjach dializ, by namawiać chorych na przeszczepy krzyżowe. Ale twierdzi, że NFZ wcale nie zachęca do przeszczepów narządów, bo są kosztowne. Także polityka lekowa Ministerstwa Zdrowia nie ułatwia życia potencjalnym biorcom.

– Osoby po przeszczepach narządów muszą przyjmować leki immunosupresyjne, żeby organ nie został odrzucony – wyjaśnia. – Lek, który przyjmowało kilkanaście tysięcy osób, nagle zostaje usunięty z listy refundacyjnej, bo zdaniem ministerstwa jest za drogi. W rezultacie trzeba za niego zapłacić kilkakrotnie więcej. Za to wprowadza się na listę jakiś zamiennik. Ja rozumiem, że kiedy nie stać mnie na naprawę samochodu oryginalnymi częściami, kupuję zamienniki. Ale organizm ludzki to nie samochód.

W ciągu pięciu lat wykonano w Polsce jedynie cztery kolejne przeszczepy krzyżowe i jeden łańcuchowy.

dobrze mi się z nimi rozmawiało i choć nie mieliśmy jeszcze próby krzyżowej, byłem przekonany, że możemy zrobić ten przeszczep razem – mówi Jacek. – Kiedy czasem jeżdżę teraz po stacjach dializ, żeby rozmawiać z pacjentami i namawiać ich na przeszczep krzyżowy, oni mnie pytają, czy warto poznawać blisko taką parę, z którą mamy mieć przeszczep. Uważam, że warto, żeby mieć pewność, że ten drugi dawca się nie wycofa, bo przecież może to zrobić w każdej chwili, nawet na stole operacyjnym. I co wtedy?

Okazało się, że Justyna może przyjąć nerkę od Przemka, a Alina od Jacka. Przygotowania do operacji trwały trzy-cztery miesiące. Ponieważ nerki pochodziły od żywych dawców niespokrewnionych z biorcami, Komisja Etyczna Krajowej Rady Transplantacyjnej musiała wydać pozytywną opinię, a sądy rejonowe, odpowiednie ze względu na miejsce zamieszkania dawców, musiały wyrazić zgodę.

Jacek pamięta, że przed operacją po kryjomu wyskoczyli jeszcze z Przemkiem na papierosa. A kiedy obudził się po zabiegu, stwierdził, że na podbrzuszu ma cięcie. To tędy wyjęto mu nerkę. Alinie wszczepiono ją standardowo, czyli na talerz miednicy. Chorych nerek się nie usuwa. Z Aliną i Przemkiem rozstali się w przekonaniu, że obie nerki nie zostaną odrzucone.

Statystycznie będę żył dłużej

– Wiedziałem, że kiedy Alinie oddam moją nerkę, to ona ją pokocha

sytuacji, zostaje przyjacielem od serca na całe życie, niemal rodziną. Ale spotykamy się tylko czasami, oni mieszkają w Działdowie, my w Warszawie. Poza tym Przemek dużo przebywa za granicą. Raz wspólnie spędziliśmy sylwestra.

– Czy kiedy miałem dwie nerki, zastanawiałem się, co będzie, jak obie mi wysiądą? – pyta retorycznie Jacek. – Statystycznie, według danych skandynawskich, mogę przeżyć dłużej z jedną nerką niż z dwiema, bo jestem pod stałą kontrolą lekarza, mam dożywotnią opiekę Szpitala Klinicznego Dzieciątka Jezus, wykonuję cykliczne badania. Jeślibym nie oddał nerki, to zapewne z badań

W krajach skandynawskich 40-50% przeszczepów stanowią przeszczepy od dawców spokrewnionych, w naszym kraju zaledwie 3-4%.

korzystałbym wtedy, gdybym miał wypadek albo podejrzenie choroby. A dzięki cyklicznym badaniom, jeśli u mnie wykryją chorobę, to na wstępnym etapie, więc prawdopodobieństwo wyleczenia jest dużo większe. Podobnie ludzie, którzy chcą zostać dawcami nerki, nieoczekiwanie dowiadują się, że są chorzy, o czym wcześniej nie wiedzieli. Słyszałem o takich przypadkach. Na przykład u jednego z potencjalnych dawców wykryto chorobę nowotworową na wstępnym etapie i szybko ją wyleczono.

Czy myślał o tym, że odda swoją nerkę, a ona wprawdzie zacznie pracować, ale po półtora roku może zostać odrzucona? Podobnie może być

Jacek uważa, że jeśli lekarz stwierdził, że osoba po przeszczepie ma brać określony lek, to taki lek powinien być dostępny. – Bo zamiennik, choć pozornie niewiele się różni, może powodować poważne skutki uboczne – mówi. – Moja żona wprawdzie już dwukrotnie zmieniała leki i w jej przypadku nie było problemów, ale znam również takie osoby, które mimo poważnych skutków ubocznych biorą zamienniki, bo ich nie stać na lek spoza listy. Dlatego też, jak sądzę, wiele osób nie decyduje się na przeszczep nerki. Boją się, że zdecydują się na przeszczep nerki, a potem nie będzie ich stać, by ją utrzymać.

Ewa Smolińska-Borecka

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Kurz populizmu

Wielka Brytania wychodzi z Unii – powiało z Zachodu smutkiem i historyczną głupotą. Czytam wywiad z Normanem Daviesem. Mówi, że kłóci się z żoną Polką, kto jest głupszy. Ona twierdzi, że Polacy, on się upiera, że Brytyjczycy. Jedno pewne – mamy więcej do stracenia, bo my biedniejsi i nie jesteśmy wyspą. Politycy PiS odnoszą się do brexitu z głębokim zrozumieniem, grożą Brukseli: jak dalej będziecie tak się wtrącać w interes narodowy, to śladem Wielkiej Brytanii pójdą inne kraje, w domyśle na czele z Polską, która będzie maszerować ze sztandarem „Bóg, Honor, Ojczyzna”.

Jola, córka mojej kuzynki Ani, ma męża Anglika, mieszkają w Polsce, oboje są gorącymi zwolennikami brexitu (chyba dlatego nie wystąpił im życzeń świątecznych). Z kolei Basia, moja kuzynka z Londynu, żona znanego londyńskiego rzeźbiarza, w żałobie. Posyła mi świetny tekst z „Guardiana” znanego pisarza Iana McEwana. Jego teza: „Brexit to najbardziej bezsensowny, masochistyczny akt, jaki miał miejsce w naszej historii. Oślepił nas kurz populizmu”. Można dodać, że to akt wymierzony w całą naszą europejską cywilizację, w przyszłość naszych dzieci.

Wyjście Wielkiej Brytanii z Unii było oparte na wielkim kłamstwie. Jola z mężem powtarzają te kłamstwa na temat Brukseli, jak zniewala ona Wielką Brytanię. Podobne brednie powtarza w Polsce PiS, te same słowa, emocje. Mamy świętą tradycję innego wielkiego kłamstwa. PiS przecież zbudowało się na kłamstwie smoleńskim. A ja ciągle szaleję z niepokojem: co z zamachem na prezydencki samolot, gdzie dowody, a komisja Macierewicza? Najwyraźniej zesłała do podziemia i pracuje w konspiracji. Na szczęście według badań 89% Polaków nie chce, by Polska wychodziła z Unii, ale to poparcie nie wydaje się głębokie, opiera się na finansowej korzyści, a nie na idei wspólnoty wartości. To poczucie wspólnoty jest przywilejem dużej części polskiej inteligencji, nie lekceważyłbym tego. Nie przypadkiem ta grupa jest największym wrogiem PiS i PiS nienawidzi elit. Lęk przed wielką cywilizacyjną zmianą jest pewnie jedną z głównych przyczyn powrotu, nie tylko w Polsce, ksenofobii. Rośnie poparcie dla Konfederacji. Ale lawina zmian ruszyła i zamykanie drzwi jej nie powstrzyma.

Ksiądz u nas po kolędzie, Franio będzie miał komunię. Jestem przeciwny, ale nie bawię się w Rejtana, bo żona, bo dzieci chcą, bo tradycja i magia. Biały obrus na stole,

Biblia, świeczki, kropidło, modlitwa, dzieci przejęte. Świecenie domu i oddawanie go w opiekę dobrych duchów – jednak jakoś przyjemnie, czule i ciepło, nawet ja, bezbożnik, to odczuwam, więc rozumiem, że na ludzi to działa. Już nie jesteśmy sami w pustce kosmosu, w dżungli życia. Ksiądz siada i pyta, co słychać. Cytuję Wyspiańskiego: „Chińczyki trzymają się mocno”. Pogadaliśmy o epidemii, ksiądz krótko zapytał dzieci o szkołę, potem zapadło kłopotliwe milczenie. I poszedł. Nie powiedziałem więc, co myślę o Kościele, PiS i pedofilii księży. Nie dał mi na to szansy. I dobrze.

Co mnie uderzyło w tym duchownym, to jego świeckość. Popełniam w myśleniu powszechny błąd, że duchowny powinien być uduchowiony. Powinien, ale rzadko jest, równie rzadko co piekarz czy kolejarz, no, może trochę częściej, w końcu kapłani trenują duchowość, ale to bardzo wymagający sport.

Na Facebooku krąży długi tekst Romana Giertycha, dobrze napisany, poruszający. Co się stało z Giertychem, że zrobił się nasz, co się stało z nami, że przyjęliśmy go do rodziny ludzi o liberalnych poglądach? To mały fragment

Według badań 89% Polaków nie chce, by Polska wychodziła z Unii, ale to poparcie nie wydaje się głębokie.

jego płomiennego tekstu: „Niech się nikt nie łudzi. Niech się nie łudzi przedsiębiorca, rolnik, nauczyciel, sklepikarz, pracownik korporacji, student itd., że ta dyktatura go nie dotyczy. Dotyczy każdego. Jeżeli pozwolimy na obalenie sądów. Jeżeli pozwolimy na kolejną kadencję Dudy, jeżeli nie ukróćmy tego bezprawia w tym roku, to przyjdą po nasze domy, mieszkania, firmy, oszczędności. Przyjdą po naszą wolność wyrażania poglądów, po wolność poruszania się po świecie. Przyjdą po nasze paszporty. Przyjdą po nasze dzieci, aby je indoktrynować w kulcie Lecha i Jarosława (...)”.

Okropne rzeczy pisałem kiedyś o Giertychu, gdy stał na czele Ligi Polskich Rodzin. Już sama nazwa tej partii pachniała zbutwiałymi butami i kojarzyła się jak najgorzej. Pamiętam Macierewicza, jak się wodził pod rękę z Giertychem, prezentował go z dumą, zachwalał, że tak cudny nabytek dla prawicy, a na dodatek ma takie dobre warunki fizyczne. I co się porobiło...

Aleksandra Szarfat

Miłość

– Wytwórnia łódzka to był wtedy prawdziwy Hollywood, „Hollyłódź”, jak żartowaliśmy – opowiada Joanna Kasperska. – Kręciło się mnóstwo reżyserów, mogłam zrobić znacznie większą karierę. Co stało na przeszkodzie? Moja niedojrzałość. Byłam podszyta obawami. Tata straszył mnie zepsutym światem filmowców, więc się przed nim zamykałam. A do tego narodziło się uczucie – do reżysera. Był moim pierwszym mężczyzną. Na to też nie byłam gotowa. Tym bardziej że między nami była spora różnica wieku – osiem lat. Powinam jeszcze chodzić z kolegą za rękę do kina.

Koleżanki ze szkoły teatralnej obserwują romans, widzą, jak Andrzej podjeżdża po Joannę po zajęciach. Przyjaciółka Kasperskiej, Małgosia Żałuska, świetnie zna rodzinę Żuławskich. Żałuje ręce: „Joasiu? W co ty wpadłeś? To strasznie trudni mężczyzn, ci Żuławscy”.

Andrzej jest czarujący, a Joanna nie ma pojęcia, że w domu czeka na niego piękna żona.

– Dowiedziałam się, gdy już byłam zakochana – mówi. – Ale Andrzej wszędzie mnie zabierał: na przyjęcie

Spodobała mu się rola Pigmaliona

Andrzej Żuławski i kobiety

kwestii. Bardzo zakochany. Myślał pewnie, że będziemy parą z hollywoodzkiego obrazka.

Ona też chce hollywoodzkiego obrazka, tyle że ich obrazki są różne.

Jeśli dziś kogoś obwinia, to siebie. Uważa, że sama siebie niszczyła – karała za coś, wałkowała jakiś temat. On nie był na to przygotowany.

– Chciał być Pigmalionem, stwarzać kobiety według swojej wyobraźni. Być reżyserem nie tylko w kinie. Ze mną to się nie udało – mówi.

Andrzej odwiedza Joannę w domu jej rodziców. Starszy, pewny siebie, elokwentny. Matka, znając delikatną psychikę córki, jest pełna obaw. On uważa dom dziewczyny za mieszczański.

Kasperska: – Tymczasem ani nasze mieszkanie nie było mieszczańskie, ani moja matka nie była mieszczką, co Andrzej wyśmiewa w „Litym borze”. Mieszkaliśmy

nie niedługo potem się usamodzielniliśmy. (...)

Skarpetkowa narieczona

„Przyleciałem do Nicei późnym popołudniem. Była już po dniu zdjęciowym. Pamiętam, jak schodziła po schodach: nastolatka z dużym cymem, bo nieco już wyrosła. Przez chwilę ogarnęła mnie wątpliwość, czy będzie dobra dla „Idioty”, ale pomyślałem, że skoro słowo się rzekło, kobyłka u płotu... Jak zaczęliśmy gadać, to skończyliśmy nad ranem. Okazało się, że Zośka to świetna, kompletnie niewykształcona, ale z gigantycznym potencjałem i apetytem na poznawanie świata, dorosła nastolatka”.

Nastolatka na początek musi się zmierzyć z jego krytyką. We włoskiej restauracji, tuż obok teatru Andrzej mówi, że grała źle, a wkrótce potem wręcza jej scenariusz „Narwanej miłości”. Ku ogólnemu zdziwieniu Sophie zgadza się zagrać kobietę lekkich obyczajów.

„Skandal był oczywiście wielki – opowiada Żuławski. – Bo jak to? Sophie Marceau zdjęta swoje białe skarpeteczki, już nie udaje mieszczyki, tylko gra 18-letniego kurwiszona z Dostojewskiego, z polskim reżyserem? Na litość boską! Jak ona mogła? Ale Zośka zachowywała się bardzo dzielnie. Ta mała Zośka wiedziała, że albo wpadnie w kanał taki jak wiele aktorek, że będzie brała takie mieszczańskie filmy, albo że może się przebić do innego świata. I ona w to weszła”.

Sophie rwie swój stary kontrakt mimo konieczności zapłaty producentowi wysokiego odszkodowania (milion franków). Kontrakt, zresztą dla niej niekorzystny, podpisali w jej imieniu „bezrozumni”, jak pisze Andrzej, rodzice. Później, podczas pobytu w Japonii z Andrzejem, aktorka przekona się o tym na własne oczy: jest tam idolką, jej zdjęcia zdobią

Różnica wieku nie stanowi problemu. On ma 44 lata, dwóch synów z różnych związków, kilka filmów, napisane książki. Ona, 18-latką, startuje w dorosłe życie.

do Wajdy, na obiady do restauracji, woził samochodem, pokazywał się ze mną oficjalnie. Zresztą, to nie było takie hop-siup i jestem z nim. O nie! On bardzo parł do związku, traktował mnie dorośle, niżby wskazywał na to mój wiek. A ja potrzebowałam nie kochanka, tylko kogoś, kto by mnie w pełni zaakceptował, pomógł... Andrzej niechętny ranił. Byłam szczupłą, delikatną i bardziej skomplikowaną, niż myślał. Kiedy przytyłam, zaczął mi dokuczać, nie wiedząc, przez co wcześniej przeszłam. Chciał mnie uformować, stworzyć mi jakiś zewnętrzny wizerunek, a we mnie, w środku, były różne niezgody. Też miał niefart: pokochał dziewczynę niestabilną emocjonalnie. Bo to, że był we mnie zakochany, nie ulega

w Alejach Ujazdowskich, mieliśmy meble w stylu dyrektoriatu. Rodzina była tradycyjna. Tata, przedwojenny ziemianin, jeździł konno. Przodkami też mogłabym się chwalić. Rodzice znaleźli się w Warszawie tylko dlatego, że wskutek reformy rolnej stracili majątki. On chciał, żebym z nim zamieszkała. Rozvodu jeszcze nie miał, o ślubie też nie było mowy, a ja mam się wyprowadzić z domu?! Słowo małżeństwo może nie padło od razu, ale chciał, żebyśmy byli razem, mieli dziecko. Szczęśliwie nic takiego się nie zdarzyło. Do macierzyństwa trzeba dojrzeć, poukładać się z samą sobą, a ja byłam na to za młoda. Wynajął dla nas mieszkanie, ale nie czułam się na siłach zamieszkać z mężczyzną. Uciekałam. Paradoksal-



Sophie Marceau i Andrzej Żuławski na festiwalu filmowym w Nicej, 1985 r.

wszystkie przybory szkolne, od tornistrów po ołówki, ale ona sama nie ma z tego żadnych korzyści – czerpią je byli producenci. Mała narzeczona Francji musi zadowolić się sympatią widzów.

Szczęśliwie koszt odszkodowania za kontrakt bierze na siebie producent „Narwanej miłości”. Prasa podnosi wrzawę; nie w smak jej taka zamiana ról, i to jeszcze z reżyserem skandalistą! Ale Sophie, od dziecka przyzwyczajona do decydowania o sobie, tym się nie przejmuje.

„Poszliśmy sobie, ręka w rękę, opowiedzieliśmy sobie nasze życia

że film trwa półtorej godziny czasu ściśniętego, skoncentrowanego, w który masz wtłoczyć jak najwięcej z życia. Film jest chwilą uprzywilejowaną, bo widz może zobaczyć zsyntetyzowaną rzeczywistość snu”, tłumaczy reżyser. (...)

Nic porozumienia zawiązana między Andrzejem a Sophie podczas pracy nad filmem „Narwana miłość” się pogłębia. Różnica wieku nie stanowi problemu. On ma 44 lata, dwóch synów z dwóch różnych związków, kilka zrealizowanych filmów, napisane książki. Ona, 18-latką, startuje w dorosłe życie.

jem został jej przecież syn, którego nie chce zranić.

Edukacja sentymalna

Na początek wybierają się razem w podróż sentymalną. Dokąd? Tam, gdzie żadne jeszcze nie było – do Toskanii. Jest styczeń, wbrew zdrowemu rozsądkowi jadą samochodem przez Alpy, pokonując śnieżyce i oblodzone autostrady. Czeka ich za to nagroda – Toskania wita słońcem, otwartymi drzwiami muzeów, do których nie ma kolejek, cudowną atmosferą.

Chodzą po ulicach w samych koszulkach, a Andrzej, który już przywykł do tego, że na widok Zosi słyszy radosny pisk nastolatki biegnących po autografy, ku swojemu zdziwieniu spostrzega, że to nie do Sophie, ale do niego przybiegają dziewczyny. To skutek porozlepianych wokół plakatów reklamujących film „Tristesse et Beauté” Joy Fleury z Charlotte Rampling i Andrzejem w rolach głównych. On gra pisarza, który szukając tematu do kolejnej powieści, wkręca się w skomplikowany układ z dwiema kobietami. Scenariusz powstał na kanwie powieści laureata Nobla Yasunari Kawabaty „Piękno i smutek”. Andrzej specjalnie dumny z tego filmu nie jest, choć też nie ma się czego wstydzić. Po latach sytuacja, ▶

W relacjach z partnerkami Andrzej powielał patriarchalny schemat panujący w jego rodzinnym domu ze zdrajcą matkę ojcem.

i wypiliśmy wiele wina. Śmiałam się, było mi tak dobrze. Nie pytałam siebie, czy jestem zakochana, miałam wrażenie, że to co innego niż miłość. Było to lepsze, większe. Było nie do nazwania”.

Fabula filmu jest luźną adaptacją „Idioty” utrzymaną w konwencji kina gangsterskiego. Akcja jest dynamiczna, postacie w ciągłym ruchu, „podeksytowane, krzyczą, jakby musiały wciąż doładowywać się energią”, zauważa Sergio Naitza w rozmowie z reżyserem. „Całe moje kino opiera się na stwierdzeniu,

„I tak zwolna to się sklejało. Długo to trwało, z półtora roku. Nie wiem, co jej się we mnie podobało. (...) Chciałem jej dać wszystko, co miałem. Ja lubię dzieci i lubię patrzeć, jak się rozwijają. A gdy spotkałem Zośkę, była analfabatką, i tak naprawdę nie wiedziała, co to jest książka”. (...)

Piszę do Sophie mejla z prośbą o spotkanie. Odpowiada mi agentka aktorki: Sophie nie chce mówić o Andrzej. Później Xawery tłumaczy, że przeszłość jest dla niej wciąż żywa i bolesna, że związku z Andrze-

▶ gdy może stanąć po drugiej stronie kamery w doborowym towarzystwie, go bawi, tym bardziej że przy okazji dobrze na tym zarabia.

Podróżują z Sophie po Toskanii. W Pizie radosny nastrój mąci sprzeczka. Powód jest błahy, niewart wspomnienia, ale obraz idealnej miłości, jaki każde z nich uroiło w swojej głowie, zawisa na włosku. Wobec różnicy zdań rozchodzą się w przeciwne strony, a potem okazuje się, że strona jest

wał, że zainteresowanie świata skupi się wyłącznie na nim, tylko spodobała mu się rola Pigmaliona – zauważyła Zuzanna Łapicka.

Marceau długo nie będzie miała Andrzejowi za złe pedagogicznych zapędów. Przeciwnie, jest wdzięczna. Bo wiele się nauczyła, a przy okazji zrozumiała siłę swojej kobiecości. Pod jego wpływem zaczęła malować i pisać. I wyrwała się z kręgu kina popularnego. Wielokrotnie powtarza,

Dzwonię do Manueli z prośbą o spotkanie. Rozmawiamy długo, pisarka udziela mi ciekawych wskazówek, czyni wiele uwag, ale spotkać się nie chce. „Powiedziałam już o nim wszystko, co miałam do powiedzenia. Proszę przeczytać moje wywiady i książki”, radzi.

Z rozmowy dowiaduję się jednak: że w relacjach z partnerkami Andrzej powielał patriarchalny schemat panujący w jego rodzinnym domu ze zdrajcą matkę ojcem; że (...) był nie tylko wielkim reżyserem, lecz także wielkim mizoginem. Jednocześnie potrafił wyzwolić w sobie ogromną siłę woli – dla Sophie w ciągu miesiąca zrzucił kilkanaście kilogramów. Posiadał też niesłychaną umiejętność oceniania napotkanych osób – bezbłędnie określał predyspozycje kobiety do bycia ofiarą: karmił cukrem, uzależniał od siebie, wyszukiwał słabe punkty, a gdy je znalazł, walił w nie z całej mocy i czerpał z tego siłę. Tak było z Małgorzatą Braunek. Bo co jej przywiózł w prezencie z Afryki? Bransoletę, którą zakładano kobietom na targu niewolnic... Nie szukał partnerek, ale ofiary. To były jego fanki, *groupies*. Był niewart miłości, nie wiedział, czym ona jest. Ale kiedy kobieta odchodziła, czuł się auten-

tycznie nieszczęśliwy, skrzywdzony. Na starość wszystkie systemy obronne zawodzą, więc i on stał się bez-

radny. Kiedy oczyścił się z ziemskiego gówna, pokazał, kim jest w środku – dobrym człowiekiem.

Po latach od rozstania z reżyserem, jakby w odpowiedzi na „Nocnik” Żuławskiego, pisarka wyda powieść „Trans”, w której wszyscy rozpoznają jej związek z Andrzejem. Autorka zapewnia, że to fikcja. Ale już w wydanej w 2019 r. rozmowie rzece „Trudno z miłości się podnieść” o związku z reżyserem opowiada wprost. „Wykorzystałam metodę Żuła. W tym, co pisałam, nie ukrywałam realiów, ale wszystko zniekształcałam, zohydzałam ludzi. Masa krowałam, udając, że głoszcze”. (...)

Fragmenty książki
Aleksandry Szarlat
Żuławski. *Szaman*,
Wydawnictwo Agora,
Warszawa 2019



Posiadał niesłychaną umiejętność oceniania ludzi – bezbłędnie określał predyspozycje kobiety do bycia ofiarą.

jedna, bo nagle spotykają się w tym samym miejscu. Ona tymczasem po-przysięgła sobie, że „jeśli wejdzie do pierwszej z brzegu katedry, a ja tam jakimś cudem będę, to tak zostanie, a jeśli nie będę, to też będzie znak, tylko że odwrotny”, wspomina Andrzej.

I tak zostało. Na długich 17 lat. „To było stworzenie wielkiej skromności, nie miała much w nosie ani fochów”, powie o niej po latach. Sophie chłonie wszystko, wpatrzona w Andrzeja jak w obraz. On podsuwa jej lektury, pokazuje malarstwo wysokich lotów, uczy dobrych manier, zabiera do teatru. Wdraża w życie przekonanie, które powoli w nim dojrzewało, iż „nie ma stosunku miłosnego bez stosunku pedagogicznego (...) i w każdym stosunku miłosnym musi osoba być albo wychowawcą, albo wychowywanym”.

– Trochę jak w poprawczaku – komentuję, gdy któregoś dnia rozmawiamy w jego domu w Wesołej. A on tłumaczy, że przejął to od Platona i Arystotelesa i taki układ ma dobroczynny wpływ na obydwie strony, gdyż uczeń daje „profesorowi” siłę do życia.

Edukację zaczyna od podrzucenia Sophie powieści Salingera „Buszujący w zbożu”. Potem są opowiadania Czechowa, Tołstoja i francuskich autorów. Po lekturze Borgesa dziewczyna wpada w zachwyt. Odtąd będzie czytać wszystko, łącznie z Joyce’em. Jednocześnie nadrabia zaległości filmowe – światowej kinematografii nie zna, bo niby skąd miałyby ją znać. Andrzej też wynosi tu korzyść – jej reakcje pokazują mu, co dla widza jest ważne.

– Dopiero przy Marceau przeistoczył się w opiekuna. Już nie oczeki-

wał, że gdyby nie on, długo jeszcze grałaby naiwne nastolatki. A on rzucił ją na głęboką wodę. I nie utonęła. (...)

Metafizyka, gnoza, kabala, tarot

Manuela Gretkowska, jak pisze, pojawia się w życiu Żuławskiego bodaj w 1992 r. Oto Andrzej odbiera we Fromont list od zafascynowanej jego filmami młodej emigrantki. Gretkowska: „Napisałam, że podziwiam jego twórczość. Że jest w niej ocean symboliki”. List nosi paryski stempel. Spotykają się w kawiarni, ona dla rozpoznania trzyma na stoliku czasopismo „Znak”.

Kiedy kobieta odchodziła, czuł się autentycznie nieszczęśliwy, skrzywdzony.

Gretkowska jest absolwentką filozofii na Uniwersytecie Jagiellońskim, jej mąż Cezary Michalski to polonista, były redaktor w piśmie „brulion” i działacz opozycyjnego ruchu Wolność i Pokój. Wyjechali z Polski w 1988 r. (...). Ażyl otrzymali z powodów politycznych. Na miejsce osiedlenia wybierają Paryż. Byli tu już wcześniej – w 1987 r. wraz z redakcją „brulionu” odwiedzili Jerzego Giedroycia w Maisons-Laffitte.

„Emigracja to taki egzystencjalny szwedzki stół. Wszystko jest dostępne, wszystkiego można skosztować. Dała mi drugie życie”, mówi później w wywiadach Manuela.

Na początku ten szwedzki stół oznacza dla niej ubóstwo i ciężką pracę. Gretkowska zapisuje się na studia z zakresu antropologii. Żeby się utrzymać, pracuje w fabryce butów, sprząta hotele, zatrudnia się w domach starców. (...)

Tak, ale

Agnieszka
Wolny-Hamkała

Śniadanie z mediatorem

Amerikanie wykorzystują do badań nad lękiem krótkometrażowy film w reżyserii Davida Lyncha. Dostępny na YouTube obraz „Rabbits” bawi się konwencją sitcomu. Klasyczny *sitcom* wywodzi się z amerykańskiego wodewilu i z programów radiowych. Rozgrywa się zwykle w jednym pomieszczeniu (jak „Świat według Bundych” czy „Trzynasty posterunek”) i opowiada o losach grupy bohaterów. U Lyncha to tytułowe króliki, dubbingowane przez Naomi Watts, Scotta Coffeya i Laure Harring (aktorzy spotkali się wcześniej na planie „Mulholland Drive” tego samego reżysera).

W surowym, nieco zaniedbanym pokoju, który przypomina archaiczną scenografię teatralną, stoją stara skórzana kanapa i dwie lampki. W półmroku kobieta w masce królika prasuje, odwrócona do ściany. Druga siedzi bezczynnie twarzą do publiczności. Ten dość przygnębiający obrazek ilustruje mroczna muzyka Angela Badalamentiego, od czasu do czasu słysząc też tęskny, głuchy gwizd przejeżdżającego pociągu. Kiedy do pokoju wchodzi mężczyzna (też w masce królika), pojawia się pierwszy śmiech z puszki – *laugh truck*, „ścieżka śmiechu”, dość demoniczna, bo jeśli pochodzi ze starej bazy, wiadomo, że część śmiejących się osób już nie żyje. Nie wiadomo jednak, dlaczego to wejście mężczyzny ma wzbudzać aplauz i śmiech publiczności. Dialog niczego nie wyjaśnia. Pierwsze zdanie, które pada w „Rabbits”, brzmi: *I’m going to find out one day* („Pewnego dnia się dowiem”). I mówi je kobieta siedząca na kanapie. Mężczyzna odpowiada pytaniem: *Were there any calls?* („Były jakieś telefony?”). Dalej dialogi są równie absurdalne i przypominają raczej wyjęte z różnych kontekstów kwestie. Jakby każdy z bohaterów zanurzony był w swoim własnym świecie.

Mimo obecności w jednym pokoju bohaterowie są przerażająco samotni. W rzeczywistości nie następuje żadna komunikacja. Kwestie wyrzucane są abstrakcyjnie w powietrze: „Nie zapominaj, że dzisiaj jest piątek”, „Gdzie to było?”, „Ciągłe pada”, „To był mężczyzna w zielonym garniturze”. Oprócz zwykłych teatralnych trików – takich jak rampowe oświetlenie aktorów od dołu – właśnie ta niemożliwość porozumienia się jest źródłem największej grozy. Najpierw dezorientuje i wzbudza śmiech, potem wywołuje niepokój, na końcu wydaje się opresyjnym koszmarem.

Podobny efekt, choć nie tak wyabstrahowany, budował w opowiadaniach Paul Bowles, Amerykanin, który połowę życia spędził w Maroku, w słynnej kolonii artystów. Kłopo-

ty komunikacyjne, wyobcowanie, poczucie zagrożenia są stale eksploatowane w jego prozie. W opowiadaniu „Epizod” amerykański profesor odwiedza egzotyczną wioskę Ajn, położoną w skalistych górach. Kierowca samochodu mówi do niego po francusku, a kiedy profesor siada w kawiarni, narrator zaznacza, że odzywa się do szefa „w dialekcie marokańskim, którego nauka zajęła mu cztery lata”. Ale tamten odpowiada złą francuszczyzną: „On jest zmarły”. Zaczyna się źle skleciona rozmowa, która zapowiada kolejne dezorientujące epizody. Zepsuta komunikacja odkształca rzeczywistość w stronę surrealizmu, po niej następuje seria niezrozumiałych zdarzeń, których amerykański profesor, przebywający na gruncie obcej kultury, nie jest w stanie zinterpretować.

Pamiętają Państwo, jak zaczyna się „Frantic” – francusko-amerykański film Romana Polańskiego z 1988 r.? Tu też amerykański profesor pozostaje w stanie komunikacyjnego kolapsu, choć akcja dzieje się „tylko” w nieodległym Paryżu. Scena w hotelu i na policji, sugestie ze strony Francuzów sprawiają, że Harrison Ford marszczy czoło o wiele częściej niż zwykle.

Wydawałoby się, że w czasach, kiedy mamy Messengera, WhatsAppa, Skype’a, lęk przed utratą komunikacji nie jest możliwy. Ale jest zupełnie odwrotnie.

Wydawałoby się, że w czasach, kiedy rozmawiamy jednocześnie przez wiele różnych komunikatorów – Messengera, WhatsAppa, Skype’a, esemesy, mejle, FaceTime’a czy po prostu przez telefon – lęk przed utratą komunikacji nie jest w ogóle możliwy. Ale jest zupełnie odwrotnie. FOMO – lęk przed odłączeniem – obejmuje także odłączenie komunikacyjne i tę nerwowość, do której się przyzwyczailiśmy, którą kojarzymy z witalnością, bez której osuwamy się w ciszę/próżnię. W jednym z opowiadań inny specjalista od ponowoczesnej komunikacji, Don DeLillo, opisuje frustrację więźniów: „Straciliśmy swoje dodatki, przedłużenia, systemy danych, które nas karmiły i oczyszczały (...). Nasze oczy i ręce potrzebowały więcej, niż byliśmy w stanie im zapewnić”. To dodatkowa kara. Neurolingwiści, lacaniści, socjolodzy, politolodzy, marketingowcy – oni wszyscy zajmują się komunikacją. Niedługo mediatorzy będą siadać z nami do posiłków. Być może będziemy wtedy wypowiadać takie kwestie jak króliki z filmu Lyncha: „Nie zapominaj, że dzisiaj jest piątek”, „Gdzie to było?”, „Ciągłe pada”.



ONI, czyli MY

Najpierw grano „Onych” jako farsę, potem jako tragedię o ładunku politycznym, a Piotr Ratajczak pokazuje ten dramat jako tragicomedię o futurystycznym zacięciu. Pisany w roku 1920 utwór był jednym z pierwszych tak silnych protestów Witkiewicza przeciw nadciągającej epoce automatyzacji, zaniku indywidualności i kresu sztuki. Autor utożsamiał koniec kultury ze zwycięstwem wypranego z ludzkich uczuć totalitaryzmu. Nie wiele trzeba było zabiegów adaptacyjnych, aby katastroficzną wizję Witkacego, w której władza bierze obywateli za mordę, przybliżyć naszym czasom.

Gra toczy się jak na szachownicy. Kolekcja dzieł dawnych mistrzów, którą cieszy się Kalikst Bałandaszek, to zbiór czarnych prostokątów bez znaczenia, którego ten wyrafinowany miłośnik sztuki pozbywa się z zadziwiającą łatwością. To pierwszy krok w stronę pełnej „automatyzacji” – tradycja sztuki zostanie wyrwana z korzeniami. Ten spektakl to przede wszystkim przestroga przed smutną przyszłością, w której jednostka nie ma już nic do gadania. Zblazowany Bałandaszek w kreacji Tomasza Drabka to zadowolony z siebie konsument, pełen improduktywnej energii, na koniec zaskoczony własną bezyśmnością. Spika Hanny Skargi, prawdziwa aktorka, nie cofa się przed żadnym teatralnym wyzwaniem, świadoma, że przegrała walkę o prawdziwą miłość. Ale teatr ją zabije. Tefuan Adama Cywki, demonstrujący odruchami wymiotnymi swoje obrzydzenie sztuką, cyniczny mściciel, odrąbany mąż Spiki, na koniec staje się ofiarą własnej konspiracji. Przegrywa też Rosika Kai Kozłowskiej, która jako czarna kobieta usiłowała zaważnąć Bałandaszkem. Urzędowy optymizm krzesze jedynie Abłoputo Antoniego Ostroucha, ale i on granie tej komedii traktuje fatalistycznie. Tu nie ma wygranych. Oni, czyli My, wszyscy dostają w kość.

Tomasz Miłkowski

Stanisław Ignacy Witkiewicz, „Oni”, reżyseria Piotr Ratajczak, Teatr Polski im. Arnolda Szyfmana, premiera 29 stycznia 2020

FIZYCY I ICH BOMBA

Kto się wybierze na tragicomedię „Fizycy” do Teatru Collegium Nobilium w Akademii Teatralnej, będzie miał okazję do śmiechu. Choć trup ściele się gęsto, wszystko tu jest przecież ironiczne, groteskowe i nawet policja traktuje te wydarzenia z przymrużeniem oka. Bo też twórcy spektaklu chcieli dać okazję do aktorskich popisów, by ze sceny padało wiele żartobliwych dialogów, by był ruch i zaskakujące momenty. Natomiast szwajcarski autor „Fizyków” postawił sobie za cel pokazanie, że taki wynalazek jak bomba atomowa może się dostać w niepowołane ręce. Dlatego umieścił bohaterów w domu wariatów, ale dał do zrozumienia, że wynalazkami naukowców zajmują się „ludzie normalni”. Takie rozumowanie to prawdziwa bomba.

Bronisław Tumitowicz

Friedrich Dürrenmatt, „Fizycy”, przekład Irena Krzywicka i Jan Garewicz, reżyseria Marcin Hycnar, spektakl dyplomowy studentów IV roku, Teatr Collegium Nobilium, premiera 27 stycznia 2020



BYLIŚMY

SKRZYPEK Z WIZERUNKIEM HENDRIXA

W środku karnawału Opera Krakowska zaprosiła na koncert, którego gościem specjalnym był Nigel Kennedy. Wystąpił z przytupem. Ten związany z Krakowem skrzypek już w pierwszym występie, w „Zimie” z „Czterech pór roku”, pokazał, dlaczego jego płyta z utworem Vivaldiego sprzedała się w 2 mln egzemplarzy. Kennedy był prawdziwą ozdobą koncertu, showmanem z wizerunkiem Jimiego Hendrixa na koszuli, wplatającym do klasycznych kompozycji frazy z hitu Deep Purple „Smoke on the Water”.



Jak w poprzednich latach soliści – najlepiej wypadły Katarzyna Oleś-Blacha i Monika Korybalska – zaprezentowali popularne hity, tym razem kojarzone z Broadwayem i Ameryką Południową. Trudno było nie odnieść wrażenia, że prowadzonej przez Tomasza Tokarczyka orkiestrze przydałoby się wzmocnienie sekcji dętej.

Paweł Dybicz

Koncert karnawałowy, Opera Krakowska, 1 lutego 2020

NA EKRANACH

DŻENTELMENI

reż. Guy Ritchie, prod. USA, w kinach od 14 lutego

Co najbardziej lubią mali chłopcy? Samochodziki i pistolety. A duzi? Samochody i pistolety. No i pieniądze i władzę. Wszystko to ma Mickey Pearson (Matthew McConaughey), który zarazem ma już serdecznie dość użerania się z branżą gangsterską (i brexitu). Gdy ogłasza przejście na emeryturę, jego pozycja staje się celem londyńskich plotek. O ich zawziętej walce opowiada nam dziennikarz Fletcher (arcyśmieszny Hugh Grant), który – jak to pismak – tu coś przekreśli, tam coś zmieni, tu coś doda od siebie. W efekcie jego historia, rozpisana na scenariusz filmu, cierpi na braki logiczne i niekonsekwencję dramaturgiczną, ale przy tym jest lekka, pełna błyskotliwego, niewymuszonego dowcipu i pomysłowych rozwiązań fabularnych. Wszak Fletcher wie, jak opowiadać nawet o nudnej codzienności w atrakcyjny sposób. Wie to i reżyser Guy Ritchie, którego film wygląda, jakby nakręcono go w piaskownicy – gołym okiem widać, że nie kryje się za nim nic więcej niż chęć



dobrej zabawy. Ale zaangażowani duzi chłopcy, z Charliem Hunnamem i Colinem Farrellem na czele, wkładają w nią tyle serca, że trudno, by ich radość nam się nie udzieliła.

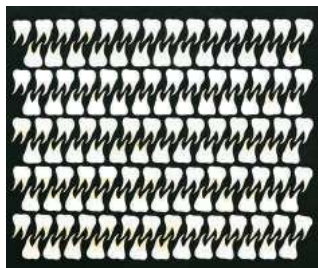
Artur Zaborski

ZAJRZYJ TU

ROK NIEUSTAJĄCEGO LATA

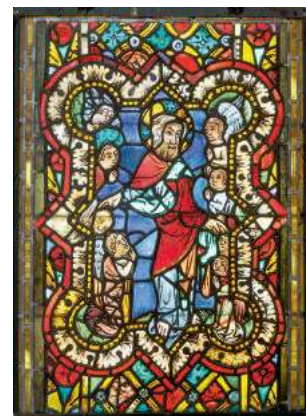
Pokazem współczesnych dzieł sztuki Państwowe Muzeum Etnograficzne rozszerza swoją ofertę, badając spojrzenie twórców na związek człowieka z naturą. „W obszarze naszych zainteresowań są bowiem związki natury z kulturą i to, co człowiek tworzy, doświadczając natury i myśląc o niej” – czytamy w zapowiedzi wystawy. Prezentowane prace malarek Anny Panek i Irminy Staś oraz fotografki Izy Maciusowicz, które na Wydziale Sztuki Mediów Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie uczestniczyły w projekcie „Człowiek wobec natury; biologiczność w sztuce”, bezpośrednio odnoszą się do trwającej od setek lat degradacji planety, prowadzącej do nieuchronnej katastrofy ekologicznej. Artystki zadają pytanie, czy powrót człowieka do korzeni, do pierwotnych związków z naturą jest w ogóle możliwy?

WARSZAWA, PAŃSTWOWE MUZEUM ETNOGRAFICZNE, DO 3 MARCA

CUD ŚWIATŁA
Witraże średniowieczne w Polsce

Witraże w kościołach stanowiły w średniowieczu wyzwanie artystyczne i techniczne, natomiast w czasach nowożytnych zaczęto je usuwać. Jakie umiejętności mieli średniowieczni witrażyści? Jak należy odczytywać witraże? Jakie było ich miejsce w epoce? Te pytania zadają twórcy wystawy, prezentującej średniowieczne witraże z obecnych terenów Polski na tle innych dziedzin sztuki. Ponadto z jednej strony pokazany jest proces zapominania o witrażach, pozbywania się ich z wnętrza sakralnych i ze świadomości ludzi w epoce nowożytnej, a z drugiej – zaprezentowano różne aspekty odkrywania na nowo witraży w XIX w.

MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE, 14 LUTEGO-26 LIPCA



MIĘDZY OKŁADKAMI



Michał Tabaczyński
Pokolenie wyżu depresyjnego. Biografia
Korporacja Ha!art, Kraków 2019

16 godzin z życia jednego człowieka. Człowieka, jakich wielu. Ojca, pracownika, przedstawiciela miejskiej klasy średniej. Cierpiącego na chorobę naszych czasów – czasów banalnej nudy, internetowej sławy i drapieżnego kapitalizmu, samotności i niezrozumienia. Biograficzny esej Tabaczyńskiego nie jest

kolejną książką o depresji, to książka pisana depresją. Depresyjne samochody i depresyjne korki, w których te samochody bezradnie tkwią. Depresyjna literatura i muzyka depresji w tle. Depresyjne kolacje i przedśenne miłosne uniesienia naznaczone piętnem depresyjnej pornografii. A jednak pomiędzy tymi obrazami malowanymi szarościami i cieniami można również dostrzec pochwałę życia, pragnienie jasnych świtów i pogodnych wieczorów.

Rafał Piłkuła

Kolumny przygotowała
Agata Gogolkiewicz

Tomasz Skowronek

„Zarządzanie kwaterami Airbnb w obozie dla uchodźców nie jest łatwe”, mówi Ahmad reporterom „Ha-Arec”, którzy odwiedzili go w Duhaj-szy, obozie dla uchodźców w pobliżu Betlejem. Ahmad tam mieszka, ale także wynajmuje kwatery, umożliwiając żadnym przygód turystom odwiedzającym Ziemię Świętą przeżyć czegoś wyjątkowego.

Jak mówi Ahmad, jego celem jest „pokazanie obcokrajowcom, jak się żyje w palestyńskich obozach dla uchodźców, aby mogli poznać rzeczywistość konfliktu z innej perspektywy”. Ten młody Palestyńczyk studiował *public relations* i marketing w Petersburgu. Obecnie mieszka z rodzicami i dwiema siostrami. Gościom wynajmuje pokój z łazienką: „Najpierw wynajmiałem oddzielne mieszkanie, ale teraz gościmy ludzi w pokoju w naszym rodzinnym domu. Przyjezdni doceniają pobyt u nas i uwielbiają kuchnię mojej mamy”.

Z turystami zawsze umawia się w jakimś charakterystycznym miejscu, w Duhaj-szy bowiem ulice są praktycznie bezimiennymi. „Mieszkańcy kojarzą je po nazwiskach rodzin, przyjezdni mieliby problem z trafieniem pod mój dom”, tłumaczy.

Coraz więcej Palestyńczyków mieszkających w obozach dla uchodźców na Zachodnim Brzegu udostępnia pokoje na portalu Airbnb. Duhaj-sza została założona w 1949 r. i przeznaczona dla arabskich uchodźców uciekających z 45 wiosek na zachód od Jerozolimy i Hebronu. Dziś to betonowe miasto z utwardzonymi drogami i blokami, w którym mieszka ok. 11 tys. Palestyńczyków. Plakaty upamiętniające palestyńskich męczenników i graffiti na cześć Palestyny przypominają, że nie jest to miejsce typowo turystyczne.

Obozy dla uchodźców – Duhaj-sza, a także sąsiednie Al-Arrub i Ajda – są uznawane za bastion palestyńskiej walki przeciw Izraelowi na Zachodnim Brzegu, a tutejsi mieszkańcy chwalą się, że pierwsza intifada w latach 80. rozpoczęła się właśnie w Duhaj-szy. „Mimo wciąż częstych nocnych nalotów armii izraelskiej na obozy w ostatnich latach można zauważyć spadek przemocy na Za-



Wojenna turystyka na Zachodnim Brzegu

Nawet branża turystyczna może być polem rywalizacji na linii Izrael-Palestyna

chodnim Brzegu, dzięki temu coraz więcej turystów jest gotowych przekroczyć zieloną linię – nawet Izraelczycy”, mówi Ahmad.

Na razie kilku gospodarzy oferuje pokoje w obozach dla uchodźców w różnych częściach Zachodniego Brzegu. Jedna z kwater znajduje się przy wejściu do Balaty (niedaleko Nablusu), największego obozu dla uchodźców, który ma 30 tys. mieszkańców. Sam obóz Duhaj-sza oferuje aż pięć lokalizacji.

Kwatery są częścią rozwijającego się sektora turystycznego w obozach dla uchodźców na Zachodnim Brzegu. Oferty noclegowe w popularnej aplikacji w takich miejscach jak Duhaj-sza są dość nowym zjawiskiem, ale od prawie dekady rozwija się

tw. sektor świadomej turystyki politycznej. Rosnąca liczba podróżników jest zainteresowana zobaczeniem czegoś więcej niż zwykłych atrakcji turystycznych. Chcą usłyszeć o mieszkających tu ludziach, zarówno o Żydach, jak i Palestyńczykach, i dowiedzieć się czegoś o konflikcie palestyńsko-izraelskim.

Agencje turystyczne próbują zarabiać na organizowaniu świadomej turystyki. Palestyński kolektyw Hantourism współpracuje z lokalną ludnością, dzięki czemu wspiera także palestyńską społeczność. Sztandartowa oferta to „Betlejemską rzeczywistość”, która obejmuje odwiedzinę w izraelskiej osadzie, obozie dla uchodźców Ajda i oglądanie muru granicznego. W trakcie wycieczki



W 2017 r. Banksy otworzył Walled Off Hotel, do którego chętnie zaglądają zagraniczni turyści.

Jedna z rodzin, które wynajmuje mieszkanie turystom w obozie dla uchodźców Duhajsza.



można spotkać się z Palestyńczykami żyjącymi pod okupacją. Planowane są również wizyty w obozie Kalandija z możliwością porozmawiania ze starszymi uchodźcami o ich doświadczeniach z exodusu z 1948 r., a także oglądanie Walled Off Hotel, otwartego w Betlejem przez słynne-

go brytyjskiego artystę Banksy'ego. Budynek znajduje się tuż przy betonowym murze oddzielającym terytorium palestyńskie od Izraela. Okna niektórych pokoi wychodzą na wieże strażnicze.

Biuro Green Olive Tours oferuje uczestnictwo w zbiorach oliwek wspólnie z Palestyńczykami, oglądanie starego miasta w Nablusie i prac artystów ulicznych w Ramallah. W ramach wycieczki można też zwiedzić zniszczoną wioskę palestyńską i spotkać się ze społecznością beduińską. Na stronach TripAdvisor znajdują się poruszające recenzje i opisy doświadczeń, które zmieniły perspektywę wielu podróżników.

„Bardzo podobała mi się ta trasa! Czytałem o tym w wiadomościach, a teraz zobaczyłem tę sytuację na własne oczy. Był to przedsmak tego, co to znaczy żyć pod okupacją Izraela. Widziałem wszystkie punkty kontrolne, słuchałem opinii przewodników (którzy byli Palestyńczykami)... Było to doświadczenie otwierające oczy. Jeśli chcesz jechać na zwykłą wycieczkę, nie jest to oferta dla ciebie. Ale jeśli chcesz czegoś napędzanego emocjami i pasją, ta trasa będzie strzałem w dziesiątkę”, zachwala mieszkaniak Los Angeles.

„Nasz palestyński przewodnik Mustafa dał nam pełen ogląd życia

na Zachodnim Brzegu i konfliktu politycznego. Szliśmy wzdłuż muru, odwiedziliśmy Walled Off Hotel i muzeum, zwiedziliśmy obóz dla uchodźców Ajida, spotykaliśmy się i rozmawialiśmy z wieloma Palestyńczykami”, wspomina z kolei kanadyjski turysta.

„Ludzie pragną bardziej odpowiedzialnej i zaangażowanej turystyki, tego typu inicjatywy są częścią międzynarodowego trendu. Turyści chcą zobaczyć coś więcej. Chcą też dowiedzieć się czegoś o prawdziwym życiu w odwiedzanych miejscach”, tłumaczy Aziz Abu Sarah, Palestyńczyk ze Wschodniej Jerozolimy, założyciel agencji turystycznej Mejdi Tours, która organizuje wycieczki nie tylko po Jerozolimie czy Palestynie, ale i po innych „gorących strefach”, takich jak wschodnia Ukraina czy iracki Kurdystan. „Nie da się zrozumieć ludzi żyjących tu bez rozmowy z nimi. Nasze grupy zawsze mają przewodnika palestyńskiego i przewodnika izraelskiego. Ludzie na początku śmiali się z nas i mówili, że nikt nie przyjdzie. Ale potem zaczęliśmy współpracować z różnymi grupami, od edukacyjnych po turystów szukających wyjątkowych wycieczek.

Od prawie dekady rozwija się sektor świadomej turystyki politycznej.

Łączyło ich pragnienie zrozumienia, co naprawdę dzieje się w Izraelu i Palestynie”, opowiada Aziz Abu Sarah.

Najsłynniejszą organizacją, która promuje tego typu wycieczki, i to za darmo, jest Breaking the Silence utworzona przez byłych żołnierzy izraelskich. Opowiada się przeciwko praktykom izraelskiej okupacji i jej siłom. Przewodnicy pokazują, w jaki sposób Izrael okupuje i prześladowa sąsiadów (niegdyś także ich rękami). Byli izraelscy żołnierze oprowadzają turystów głównie po Hebronie, w którym służyli.

Hebron to największe miasto Zachodniego Brzegu, w którym na stałe mieszkają izraelscy osadnicy – stąd punkty kontrolne, setki żołnierzy i podział na dwie strefy, H1 i H2. Pierwszą zarządza Autonomia Palestyńska, drugą kontroluje armia izraelska. Hebron jest często opisywany przez media jako miasto niewiści. Wciąż żywa jest tu pamięć o Baruchu Goldsteinie. W 1994 r. ten izraelski osadnik wtargnął do meczetu Ibrahimi w muftańskiej części kompleksu zwanego Grobem Patriarchów i otworzył ogień do modlących się, zabijając 29 osób i raniąc setki. Goldstein był amerykańskim Żydem wychowanym w Brooklynie, człon-

► kiem Żydowskiej Ligi Obrony i zwoleńnikiem fundamentalistycznej partii Kach, zdelegalizowanej w Izraelu krótko po masakrze.

W przeszłości dochodziło do sporów starć między Palestyńczykami a wojskiem izraelskim. Byli izraelscy żołnierze z BTS przedstawiają osobiste opisy okupacji i sytuacji politycznej w regionie Hebronu. „Strzelałem, kierując granatnik bezpośrednio w stronę palestyńskich dzielnic, odpowiadając na palestyński ogień w kierunku [żydowskich] osad w mieście”, mówił w jednym

z wywiadów Yehuda Shaull, były żołnierz armii izraelskiej i członek BTS. „To jasne, że wielu cywilów zostało rannych w wyniku tej akcji. Po prostu strzelaliśmy w stronę Palestyny. Od lat nasze społeczeństwo podejmuje decyzje na podstawie

Zarządzanie kwaterami w obozie dla uchodźców nie jest łatwe.

nieprawdziwych informacji, nie rozumiejąc znaczenia tego, co się dzieje na tym terenie. Te lukę wypełnia Breaking the Silence”.

Świadomą politycznie turystykę promują od lat nie tylko Palestyńczycy, ale i druga strona barykady – Izraelczycy.

W przeszłości agencje turystyczne z Izraela organizowały wycieczki na Wzgórza Golan przy granicy z Syrią.

Ze wzgórz można było przyglądać się walkom oddziałów syryjskich z rebeliantami. Wciąż organizowany jest letni obóz Calibre 3. Turyści mogą doświadczyć symulowanych zamachów samobójczych na targowisku w Jerozolimie czy poudawać odbijających zakładników komandosów armii izraelskiej w akademii szkolenia antyterrorystycznego, a także atakujących nożowników. Uczą się umiejętności bojowych i taktyk walki z terroryzmem (słynna krav maga) od byłych oficerów izraelskich, w większości absolwentów elitarnych jednostek. Oczywiście po takim letnim kursie można kupić pamiątki, np. koszulki.

Zdaniem mediów celem takiego przedsięwzięcia ma być pokazanie światu, że wszystkie okropne rzeczy, jakie się słyszy o wojsku izraelskim za granicą, nie mają podstaw i że jest to najwspanialsza armia, jaka istnieje. Organizatorzy chcą pokazać turystom, z jakim niebezpieczeństwem ze strony Palestyńczyków zmagają się od wielu lat ich kraj. „Osadnicy, którzy prowadzą tę firmę, wzbudzają strach (przed Palestyńczykami) wśród turystów, a ci po powrocie kolportują go w swoich krajach”, narzeka Mohammed Burjeh, 38-letni nauczyciel z pobliskiej wioski Efrat. „Celem szkolenia nie jest nauczenie cię, jak strzelać, ale zrozumienie, co robimy tutaj w Izraelu, aby zwalczać terroryzm”, mówi natomiast Eitan Cohen, były snajper i członek elitarnych izraelskich jednostek policji. „Musimy chronić cywilów, zachowując nasze wartości moralne”.

Akademia przyciąga ok. 25 tys. turystów rocznie, głównie z Ameryki, ale także z Kanady, Brazylii i Wenezueli. Jak widać, nawet branża turystyczna może być polem rywalizacji na linii Izrael-Palestyna.

Tomasz Skowronek

NA PODSTAWIE POWIEŚCI NAGRODZONEJ PULITZEREM



NA DVD!

Dostępne w sklepach: **MediaMarkt**

PARTNERZY MEDIALNI

WP, P, FILMWEB, BOOKCLIPS.PL, Lejdis, Multikino



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Męskość w technikolorze

Ojciec też miał dziurkę w brodzie – i ja mam, i mój pierworodny. Mówił, że to jest nasz „znak firmowy”, z którego powinienem być dumny, zapomnieć o kompleksach, a jeśli mi przyjdą do głowy – spojrzeć na zdjęcia najstynniejszej dziurki w brodzie światowego kina, oblicze najbardziej męskiego z mężczyzn w Hollywood. Kiedy mój młody ojciec zachwycał się klasycznymi westernami z jego udziałem, Kirk Douglas już był podstarzały; kiedy tata w kwiecie wieku opowiadał mi jako dziecku filmy z jego udziałem, Douglas już był stary; kiedy mój sędziwy ojciec leżał na marach, Douglas występował na gali Złotych Globów. Ale ileż można żyć. Wieczne odpoczywanie; nieswojo się robi, kiedy nawet nieśmiertelni umierają. XX w. znowu się oddalił.

Ścieżki chwały aktorskiej Douglasa wiodły przez prerię i okop – był nade wszystko gwiazdą kina o facetach, kręconego dla facetów: westernów i filmów wojennych (choć najwybitniejszy z nich, „Ścieżki chwały” Kubricka, jest zarazem arcydziełem kina pacyfistycznego). Mój ojciec był rozmiłowany w westernach. Uwielbiał parodiować kowbojskie piosenki i jankeski akcent podczas kąpeli w wannie. Pamiętam też jego dziecięcy zachwyt filmami w technikolorze, zwężanymi na ekranie radzieckiego telewizora w panoramiczny pasek. Dziś Zachód zdawał się tworzyć jego młodzieńcze imaginariusz Ameryki; nie miał chyba większego wyboru, bo w PRL to westerny były główną alternatywą dla (pro)radzieckich dramatów wojennych lub produkcyjniaków. Rewolwerowiec rozwiązujący pięścią pomniejsze konflikty, całujący wybrane kobiety bez pytania o pozwolenie, zawsze skutecznie zmiękczał ich pozorny opór – mój stary miał słabość do klasycznych twardzieli, choć i pośród nich odróżniał topornych idoli rednecków (Wayne go drażnił niewymownie) od bardziej subtelnych i nieoczywistych typów.

Kirk Douglas był zdecydowanie w tym drugim gronie, w przeciwieństwie do Wayne’a nie zawsze grał „dobraków”. Jako „As w potrzasku” u Wildera był dziennikarską hieną nieliczącą się z życiem ludzkim i skłoną do manipulowania faktami na lata przed narodzeniem dzisiejszych trolli i funkcjonariuszy rządowej propagandy. W „Układzie” Kazana dekonstruował *American dream* rolę milionera na życiowym zakręcie. Ale ojciec kochał go za westerny. Zanim sam mogłem obejrzeć „Ostatni pociąg z Gun Hill” czy „Pojedynek w Corralu O.K.”, miałem je już opowiedziane – zamiast bajek przed snem, z pełną choreografią żonglowania coltem i akustycznymi efektami strzelaniny. Dziś oglądanie klasycznych westernów

jest obyczajem niemal antykwarycznym, ale w takiej rekwizytorni ja się czuję najlepiej, ja do „pięknego pana raz zobaczonego w technikolorze” tęsknię jak do wody z saturaatora lub farelki.

Fetyszyzowanie dzieciństwa to jeden z objawów starzenia, już o tym pisałem, nie tak szkodliwy jak przedkładanie dobrego snu nad dobry seks, ale też dość niebezpieczny. Moi rodzice tak się lekliwie przez lata brali do remontu domu rodzinnego, że w końcu popadł on w ruinę – zaiste udało się w nim zatrzymać czas, choć nie sposób było powstrzymać rozkład (rury starzeją się parszywiej niż meble). Cóż pocznę, żenuje mnie skrajne uprzedmiotowienie kobiet w starych westernach (dziwka z saloonu, zaradna wdówka lub panna na gumnie i w obejściu – życie wszystkich sprowadza się do skowyczącego pragnienia chłopa u boku), ale te filmy nie przestają mnie czarować. Uznaję to za *guilty pleasure*, zaprzysiężonym feministkom na wszelki wypadek tym się nie chwaleb, choć ich sprzyjanie tworzeniu czarnych list seksistowskich i blyskawicznym linczom medialnym zraza mnie do nich i wywołuje natychmiastowe, niemal

Ścieżki chwały aktorskiej Kirka Douglasa wiodły przez prerię i okop – był gwiazdą kina o facetach i dla facetów.

neurotyczne łaknienie koszarowego humoru. W galopadzie po samcze skalpy amazonki nowej fali feminizmu gotowe są uznać za karygodne molestowanie nawet tzw. manewr Wieniawy-Długoszowskiego. Przypomnę, że pułkownik wystąpił kiedyś damie bukiet z adnotacją: „Zeszłej nocy śniła mi się Pani w taki sposób, że poczułem się zobowiązany”.

Właściwie fakt, że ciepło wspominam śp. Kirka Douglasa, jest już dziadersko-obleśnym kompromatem. W latach 60. będący u szczytu sławy Douglas sprawił wielką frajdę studentom łódzkiej Filmówki, wizytując ich *Alma Mater*, co uwiecznił w etiudzie Marek Piwowski. Dzisiaj Douglasa by do szkoły nie wpuszczono, wszak ciążyły na nim oskarżenia o gwałt na młodej aktorce. Mój znajomy właśnie wyleciał z pracy za to, że aktorze filmu erotycznego zadawał pytania dotyczące erotyki w sposób wzorcowo mansplainingowy. To nie jest czas dla starych samców – nie zdążono mu rzec w porę, a on sam nie zauważył, że MeToo wyznaczyło cezurę dla bez trosko seksistowskich zachowań niczym – nie przymierzając – niegdyś AIDS dla wyznawców radosnego seksu bez zabezpieczeń.

Bronisław Tumitowicz

Był królem życia, zdobył sławę i niemałe pieniądze, odniósł sukces zwieńczony czterokrotnym Oscarem za osiągnięcia w dziedzinie techniki filmowej. Postać Stefana Kudelskiego, wielkiego wynalazcy, poznajemy dzięki książce „Nagrastory” jego dalszej kuzynki i zarazem drugiej żony, Marii Anny Macury.

Król życia był dzieckiem szczęścia. Urodził się w bogatej i ustosunkowanej rodzinie, którą tworzyli i potentaci biznesu naftowego, i ważni architekci, i doradcy w przedwojennym rządzie. Jego ojcem chrzestnym był ostatni przedwojenny prezydent Warszawy Stefan Starzyński. Mama przyjeżdżała po synka do prywatnej szkoły luksusowym bugatti.

Gdy wybuchła wojna, Stefan miał 10 lat, a jego rodzina straciła niemal wszystko. Opowiadanie o wynalazcy trzeba zacząć właśnie w tym momencie.

Ostatnie wakacje pokoju światowego mały Stefan spędzał w domu dziadków w Stanisławowie (dziś ukraińskim Iwano-Frankiwsku). Pewnie nawet nie wiedział, że jego ojciec ewakuował się z Warszawy z polskim rządem i przejechał przez polsko-rumuńską granicę w Zaleszczykach. Jednak wrócił po żonę i syna. W dniu inwazji Armii Czerwonej na Kresy przedarł się przez front pod ostrzałem artyleryjskim i dotarł na Węgry. Chłopiec znalazł się z matką w Budapeszcie, ojciec zaś udał się do tworzonych na Zachodzie polskich oddziałów. Wspomnienia Stefana z tego okresu są zaskakujące. Polscy uciekinierzy nie mieli środków do życia, ale chłopiec odczuwał ten czas jako swobodę bez ograniczeń, zakazów i nakazów. Nie chodził do szkoły, włóczył się po wielkim mieście. Matce pewnie pomagała trochę daleka węgierska rodzina.

Nie na długo tego starczyło. Przemieszczanie się po wojennej Europie było utrudnione, ale Stefan z mamą po kilku miesiącach znalazł się we Francji. Jakiś czas pobylili w części okupowanej przez Niemcy, a potem w kolaboranckiej, ze stolicą w Vichy. Liczyli na spokój w Hiszpanii, w końcu udało im się półlegalnie zacząć w neutralnej Szwajcarii. Tu Stefan znów poszedł do szkoły. Życie ucie-

Zrób to sam

Stefan Kudelski, polski wynalazca za granicą, czyli jak się zdobywa Oscary



1978 r. Stefan Kudelski odbiera Oscara w towarzystwie aktorek Maggie Smith (z lewej) i Maureen Stapleton.

kinierów z Polski skłaniało jednak do szukania źródeł zarobku. Obrót na mama uruchomiła przemysłowy proceder. Zakupiła od producenta części do zegarków, które należało zmontować. Tę robotę wykonywał z pomocą lupy zegarmistrzowskiej kilkunastoletni wyrostek – a potem całą produkcję przenosił w plecaku przez zieloną granicę do Francji. Tam czekał odbiorca, który kupował „szwajcarskie zegarki”.

Montaż gotowych elementów trudno uznać za początki pracy późniejszego odkrywcy, ale tak ujawniło się zamiłowanie do zajęć technicznych. Pierwszym w jego życiu patentem, zarejestrowanym na nazwisko matki, gdy Stefan miał zaledwie 15 czy 16 lat, było urządzenie do standaryzowania czasomierzy. Wcześniej, jeszcze w Polsce, postanowił założyć w piwnicy domu dziadka oświetlenie na prąd z dynama.

Politechnika bez dyplomu

Na drogę wielkich wynalazków Stefan wkroczył na pierwszym ro-

ku studiów w Lozannie, zresztą już w szkole średniej École Florimont w Genewie poważnie interesował się techniką i elektroniką. Zbudował laboratorium, w którym zajmował się urządzeniami do ekstrakcji pyłów z powietrza przy użyciu generatora wysokiej częstotliwości lub do mierzenia dokładności zegarów przy użyciu generatorów kwarcowych. Kilka z tych projektów Kudelski opatentował, ale pod dokumentami podpisywała się mama, bo nieletniemu uczniowi nie można było przyznać prawa do ochrony wynalazku.

W 1948 r. Stefan podjął studia z zakresu fizyki i inżynierii fizycznej na Politechnice Federalnej w Lozannie. W dzień uczestniczył w zajęciach, a po powrocie z uczelni obmyślał, jak skonstruować przenośny magnetofon. Bodźcem był moment, w którym zobaczył samochód ciężarowy szwajcarskiego radia z zamontowanym ciężkim urządzeniem do nagrywania, ryjącym rowki w tradycyjnych płytach dźwiękowych. Stefan żałował trochę, że nie może pobierać nauk w USA, np. w Massachusetts

Institute of Technology, gdzie zainteresowanie awangardowymi rozwiązaniami było o wiele większe, ale na to rodziny nie było stać. Pozostawała uczelnia w Lozannie o tradycyjnym, nieco skostniałym programie, która z lekceważeniem patrzyła na pomysły studenta nie-Szwajcara. Tylko jeden profesor popierał szalone projekty, ale to nie wystarczyło.

Oblany egzamin na czwartym roku zaważył na decyzji o przerwaniu studiów. „Musiałem wybierać: albo sprostanie wymaganiom programu politechniki, albo rozwój własnej produkcji, która mogła przynieść namacalny sukces”, wyznawał po latach Kudelski, kiedy jego macierzysta uczelnia przyznała mu „w uznaniu zasług dla rozwoju techniki” stopień doktora *honoris causa*. „To mój jedyny dyplom naukowy”, chwalił się. Ale to nastąpiło kilkadziesiąt lat później. Na razie w domu wynalazcy działało laboratorium naukowo-badawczo-produkcyjne.

Technika i pierwsza miłość

Ze wspomnień wynalazcy spisanych przez jego żonę dowiadujemy się, że w tworzeniu magnetofonu uczestniczyła piękna Hinduska Josetou, pierwsza fascynacja miłosna.

„To były lata 50., studiowałem na politechnice, a po nocach pracowałem nad prototypem Nagry. W ten projekt zaangażowana była cała rodzina, także Josetou. Wykonane w ciągu dnia obliczenia wdrażane były w życie nocą. Ustawiałem parametry tokarek do toczenia części Nagry, a Josetou kręciła je ręcznie, potem mnie budziła, znowu ustawiałem nowe parametry i wtedy wierny przyjaciel rodziny, Michał Hawriłow, przejmował pałeczkę. Po kilku godzinach znów schodziłem na zaplecze domu, gdzie mieściła się pracownia, i kończyłem aparat. Regulację przesuwu prędkości taśmy magnetycznej wykonywałem na ucho, bez żadnej standaryzacji technicznej. Wykorzystywałem do tej czynności taśmy z nagrańmi sonat Beethovena, które znałem na pamięć. Gdy nad ranem rozlegały się dźwięki sonaty Beethovena, cała rodzina wiedziała, że kolejny aparat ujrzał światło dzienne. Bywało ciężko, lecz praco-

waliśmy wszyscy razem, wspierając się wzajemnie. Josetou nigdy nie dostała wynagrodzenia za swój trud. Dlatego teraz, gdy już stałem się niebiednym człowiekiem, jestem jej winien przynajmniej małą rekompensatę”, deklarował.

Epizod z hinduską piękną mocno się odbił na życiu Stefana. Na przeszkodzie uczuciu stanęła jednak władcza mama. Jej argumenty były tyleż egoistyczne, co racjonalne. Uważała, że syn powinien

Nową wersję Nagry zamówił Biały Dom dla prezydenta Johna Kennedy'ego.

zrobić karierę w spokojnej Szwajcarii, której obywatele niechętnym okiem spoglądali w tym czasie na przybyszów, zwłaszcza o innym kolorze skóry. Mama obmyśliła sobie, że najkorzystniej byłoby ożenić potomka z bogatą Szwajcarką, i postanowiła wybić Stefanowi z głowy związek z Josetou. Udało się. Hinduska opuściła dom Kudelskich, a załamany Stefan całą energię poświęcał na doskonalenie wynalazku. Jego życie ustabilizowało się emocjonalnie, gdy spotkał Ewę Ulbrich, najbliższą kuzynkę, która przyjechała

kłady produkcyjne wołały mieć spokój, niż ryzykować stratę pieniędzy i surowców na próby z prototypami. Jedynie upór i konsekwencja mogły doprowadzić wynalazcę do sukcesu, także materialnego.

Stefan Kudelski nie zabiegał o pomoc szwajcarskiego państwa. Sam wdrożył wynalazek do produkcji we własnej wytwórni. Startował z nim w konkursach i zdobywał nagrody. Sam projektował i produkował udoskonalane wersje i starał się nimi zainteresować koncerty elektroniczne oraz medialne. Szwajcarskie radio, początkowo niechętnie małemu magnetofonowi, zwróciło się do wynalazcy, gdy w 1952 r. organizowano wyprawę na Mount Everest. Szczytu nie zdobyto, dokonał tego dopiero rok później Edmund Hillary, ale magnetofon na baterie spisał się nieźle w ekstremalnych warunkach wysokogórskich.

O pomysły Kudelskiego zrobiło się głośno. Spełniło się jego marzenie, by nową wersję Nagry zamówił Biały Dom, dla prezydenta Johna Kennedy'ego. Przed wynalazcą świat stanął otworem. Nie tylko zresztą świat. Nagra poleciała w kosmos. Miał ją przy sobie astronauta Neil Armstrong, który postawił pierwszy krok na Księżycu.

Nagra poleciała w kosmos. Miał ją przy sobie Neil Armstrong, który zrobił pierwszy krok na Księżycu.

z socjalistycznej Polski tylko po to, by spotkać się z ojcem. A tymczasem wyszła za mąż za Stefana i pozostała w Szwajcarii na zawsze. Docekali się pięciorga dzieci.

Wynalazek i wdrożenie

Polska gospodarka po wojnie próbowała nadrobić dystans techniczny i technologiczny w stosunku do Zachodu. Byliśmy opóźnieni o jakieś 15 lat. Trochę przyspieszyliśmy, kupując gotowe licencje zagranicznych marek, Fiata czy Telefunkena. Podstawowym problemem rozwoju była jednak mała innowacyjność produkcji. Wciąż wołano o patenty i wnioski racjonalizatorskie, ale wynalazcy nie mieli tu wystarczającej motywacji. Skarżyli się, że droga „od pomysłu do przemysłu” jest długa i trudna. Za-

Stefan Kudelski, nazywany geniuszem wynalazczości, przyznawał, że do technika sprzedaży talentu nie miał. Kierował niewielką firmą produkującą sprzęt do profesjonalnego nagrywania dźwięku, ale nie mógł wyjść z „pułapki średniego rozwoju”. Aby zdobywać rynki po drugiej stronie oceanu, w 1962 r. pojechał do Chicago na konwencję radiowych stacji nadawczych. I poznał człowieka, który pokazał mu, na czym polega marketing.

„Tam podjąłem decyzję o budowie sieci dystrybucji moich produktów w Ameryce. Nie bałem się ruszyć na podbój świata. Dowiedziałem się, że u handlarza samolotów w Valparaiso można nabyć za niewygórowaną cenę ok. 40 tys. dol. niewielki używany samolot. Jak postanowiłem, tak zrobiłem. Zakupiłem Cessnę 310 ▶

Dzięki jakości wykonania i niezawodności Nagra podbiła rynek i wkrótce magnetofonu używali reporterzy radiowi i telewizyjni oraz studia filmowe na całym świecie.

► i zaangażowałem znakomitego pilota Matanyę Ophee, rdzennego Izraelczyka urodzonego w Jeruzalem, a więc »Sabrę«. Ophee był strzałem w dziesiątkę, okazał się niezwykle pomocny w zorganizowaniu sieci sprzedawców w Stanach Zjednoczonych. Wprowadził nowatorskie techniki sprzedaży i nauczył moją ekipę skutecznego marketingu. Oprócz Ameryki wyzwaniem była dla mnie także Azja. Jest to rynek zdominowany przez Sony, firmę o światowej renomie, co nie ułatwiało zadania. Moje przedsiębiorstwo było przecież zbyt małe i słabe, żeby zaistnieć na tak wielkim rynku samodzielnie. W trakcie pobytu w Chicago udało mi się nawiązać kontakt z przedstawicielem Sony i już wkrótce moje aparaty weszły na rynek azjatycki pod ich logo. Na to rozwiązanie wpływ miał również fakt, że nazwa Nagra brzmiała z lekka japońsko. Z punktu widzenia marketingu takie posunięcie było błędne, jednak nie miałem wyjścia, musiałem sprzedawać moje produkty i zarabiać pieniądze, a firma Sony robiła to bardzo



nologiczną rewelacją. Urządzenie było wówczas bardzo drogie, model Nagra SNN2 kosztował ponad 4 tys. franków szwajcarskich. Dzięki jakości wykonania i niezawodności Nagra podbiła rynek i wkrótce magnetofonu używali reporterzy radiowi, telewizyjni i studia filmowe na całym świecie. Kudelski otrzymał za niego cztery nagrody amerykańskiej Akademii Filmowej. Twórca wyspecjalizował się

Dzięki Kudelskiemu świat produkcji telewizyjnej i radiowej na dobre wkroczył w erę miniaturyzacji.

dobrze. Współpraca ta trwała wiele lat i układała się na tyle dobrze, że miałem okazję zaprzyjaźnić się z założycielem Sony, panem Ibuka”.

Kolejnym wielkim koncernem, który przyjął Nagrę do seryjnej produkcji, był niemiecki AEG, później Telefunken. Oni też wypuszczali magnetofony Kudelskiego pod własną marką.

Wynalazca stale udoskonalał produkt, a tranzystorowa wersja Nagra III z 1957 r. stała się w latach 60. tech-

w konstrukcji urządzeń nagrywających głównie dźwięk do filmów. Jego magnetofony zapewniały studyjną jakość nagrań w plenerze. Ponadto dzięki niemu świat produkcji telewizyjnej i radiowej na dobre wkroczył w erę miniaturyzacji.

Szwajcarska fabryka, początkowo z mocną pozycją na rynku, pozwoli poddawała się konkurencji, w pewnym momencie rodzinnemu biznesowi groziło bankructwo. Na szczęście ojciec oddał kierownictwo

w ręce najstarszego syna, który wprowadził firmę w erę cyfryzacji, dzięki czemu Kudelski Group istnieje do dziś, ma siedziby w USA i Szwajcarii. Dyrektor André Kudelski z miliardem euro na koncie w 2002 r. trafił na listę najbogatszych magazynu „Forbes”.

Polak, ale na emigracji

W czym przejawiał się talent Kudelskiego? Może w tym, że wszystkie projekty miał w głowie. Twierdził, że nie robi żadnych notatek i do każdej odkrywczej myśli dochodzi drogą logicznego rozumowania. Potrafił od razu sporządzić rysunek konstrukcyjny danego rozwiązania. Jak wspomina Maria Macura, w jego gabinecie panował straszny bałagan. Kudelski często opowiadał anegdotę, że gdy do jego biura w fabryce w Cheseaux wkraść się złodziej, wkrótce zresztą ujęty przez policję, włamywacz tłumaczył się, że niczego nie ukradł, bo panował tam nieopisany bałagan, najwidoczniej ktoś musiał włamać się wcześniej.

Stefan Kudelski zmarł 26 stycznia 2013 r. w Szwajcarii. W Polsce czasami wspomina się o nim jako o niezwykle zdolnym innowatorze, który dokonał przełomu w technice nagrania. Jest też znany filmowcom i technikom dźwięku. Od początku lat 60. aż po 90. nie było filmu, który nie zostałby nagrany przy użyciu jego wynalazku! Zminiaturyzowany magnetofon nie tylko dotarł prawie na szczyt Everestu – osiem lat później osiągnął dno Rowu Mariańskiego na pokładzie batyskafu Jacques’a Piccarda. Włoska telewizja RAI używała go z powodzeniem podczas olimpiady w Rzymie. Szpiegzy CIA i Stasi też chowali do kieszeni Nagrę.

Nagra to jednak nie wszystko. Może ktoś kiedyś będzie kontynuował niezrealizowane wynalazki Kudelskiego, choćby aparat do usuwania kurzu z powietrza czy samochód elektryczny nowej generacji.

Bronisław Tumitowicz

Dorota Bartosewicz

Dwa lata temu klient popularnej sieci hipermarketów znalazł w dorszach nicianie, pasożyty, których długość może dochodzić do 3-4 cm. Problem w tym, że znacznie częstsze niż pasożyty są przypadki oszustw popełnionych przez producentów. Dotyczą one zarówno ryb mrożonych, jak i konserw oraz przetworów. W niedawnym badaniu UOKiK zakwestionował aż 56% próbek.

W przypadku ryb mrożonych zastrzeżenia wzbudziło 39% próbek. W czterech niższa niż deklarowana była masa netto (sandacz oferowany przez MyFood i firmę Abramczyk, mintaj firmy Abramczyk i okoń nilowy z Seamor). Wątpliwości wzbudził wygląd mięsa. Ryby (np. mintaj Nord Capital i CDS Europe) już po rozmrożeniu miały intensywny zapach. Były maziste, a ich struktura gąbczasta. Z kolei po przygotowaniu – tak, laboranci sprawdzili i to – smak i zapach były lekko mdłe. „Swoisty dla ryby z dodatkiem stabilizatorów”, napisali w raporcie, zauważając, że wcześniejsze badania próbek ryb mrożonych wykazały nieprawidłowości.

Najczęstszym oszustwem nadal pozostaje glazurowanie ryb mrożonych w większym stopniu, niż wynika to z deklaracji producenta. Na 21 przebadanych próbek negatywny wynik miało osiem. Zamiast 20% glazury było jej aż 36% (panga sum Nord Capital), a nawet 41%! (tilapia nilowa Nord Capital, zamiast deklarowanych 30%). Do ochrony ryby przed zepsuciem wystarczy 5% otoczki z lodu.

Jeśli chodzi o konserwy i marynaty rybne, było gorzej. Zastrzeżenia wzbudziło 68% próbek. Jedna miała zaniżoną masę netto (klopsy rybne opiekane firmy Krybex), trzy z kolei niewłaściwe wygląd, smak i zapach. W puszcze tuńczyka w kawałkach (Graal) widoczne były jego strzępy – tworzyły konsystencję pasty – albo bardzo drobne cząstki ze zmieloną skórą i ośćmi. Mięso miało niejednorodną barwę – od beżowej do brunatnej. Do tego mało charakterystyczny, bo zbożowy, smak oraz taki sam zapach. Nie lepiej było w przypadku sardynek w oleju sojowym (Thai Union Poland) – zbyt miękkich i mazistych. Większość badanych konserw i marynat miała też inną wartość odżywczą niż zadeklarowana na



Woda i ości

Producenci przetworów rybnych dodają do nich nawet zmielone skóry

opakowaniu. Tak było w przypadku tłuszczy – UOKiK miał zastrzeżenia do 21 próbek, w tym koreczków śledziowych Seko, leszcza ze śliwką czy karasia w zalewie Firmy Handlowo-Usługowej Gościniec, szprota w sosie pomidorowym Petropat czy sardynek w oleju Przetwórstwa Rybnego Łosoś. Podobnie było w przypadku zawartości białka w 11 próbkach. To m.in. korki ze śledzia kaszubskiego z rodzynkami sułtańskimi Super Fish, płat śledziowy marynowany firmy Robert Kołodziejczyk „Pstrąg” czy marynowane filety ze śledzia atlantyckiego bez skóry Mirko.

A sól? Tu zastrzeżenia wzbudziło 14 próbek. Szprot w sosie pomidorowym Graal, tosoś bez skóry w pomidorach Kooperol, kapitańskie koreczki śledziowe od Kapitan Navi E. Stramek i W. Karpiński – to tylko kilka produktów na cenzurowanym.

Dodatkowo w jednej próbce (śledzie firmy Robert Kołodziejczyk „Pstrąg”) wyższa niż dopuszczalna – reguluje to rozporządzenie Parlamentu Europejskiego i Rady Europejskiej w sprawie dodatków do żywności – była zawartość substancji słodzącej, sacharyny i jej soli.

Jak się bronić przed oszustwami? Agnieszka Orlińska z UOKiK: – W przypadku ryb mrożonych sprzedawanych luzem w miejscu

sprzedaży powinna być podana procentowa zawartość glazury lub ryby w produkcie. W niektórych przypadkach, np. jeśli ryby mrożone glazurowane zawierają fosforany – również wykaz składników. (Te ostatnie w badaniach pojawiły się aż w trzech próbkach: panga sum i limanda żółtopłetwa Triton Poland, a także mintaj Nord Capital).

W przypadku ryb glazurowanych sprzedawanych w opakowaniach na etykiecie musi być informacja o masie netto ryby (bez lodu). Poza tym także dane o handlowym oznaczeniu gatunku (nazwa polska i łacińska), metodzie produkcji (złowione w morzu, wodach śródlądowych lub wyhodowane) i obszarze połowu.

– Zwracamy też uwagę na to, co możemy stwierdzić gołym okiem – czy ryby nie mają nieprzyjemnego, nietypowego zapachu. Świeże powinny się odznaczać przezroczystym śluzem, mieć wypukłe błyszczące oczy, skrzela w jaskrawym kolorze i jędrne mięso – dodaje Agnieszka Orlińska.

A co z przetworami rybnymi? – Przed zakupem sprawdźmy datę ważności oraz to, czy na etykiecie jest nazwa producenta/importera, wykaz składników, alergenów i masa netto – radzi też Agnieszka Orlińska. – Zwróćmy uwagę, czy etykieta nie jest naruszona, a opakowanie nieuszkodzone. W przypadku opakowań przezroczystych (wiaderek lub słoików) sprawdźmy, czy na pierwszy rzut oka kolor i struktura ryby są właściwe.

Jeśli coś wzbudzi wątpliwości w sklepie czy po rozpakowaniu produktu, możemy skontaktować się z inspekcją handlową. ■



Kręgosłup z tabletek

W USA napędza kryzys opioidowy, w Europie obniża wydajność całych gospodarek – ból pleców to już choroba cywilizacyjna

Mateusz Mazzini

Może się ujawnić w różnych sytuacjach. Upadniemy podczas jazdy na nartach, źle wykonamy ćwiczenie na siłowni. Schylimy się w niewłaściwy sposób po zbyt ciężką siatkę z zakupami. Albo zamiast nagłej przyczyny będzie coś, co robimy regularnie, cyklicznie. Zemści się na nas zbyt długie siedzenie w męczącej pozycji, spanie na złym materacu lub – co często dużo gorsze dla kręgosłupa – na niewłaściwej poduszce. Ból może się pojawić raptownie albo ewoluować z uporczywego, ale jeszcze znośnego. Może nas momentalnie zablokować w nawet najbardziej prozaicznych czynnościach albo po prostu denerwować ciągłą obecnością. Ma wiele postaci i źródeł, różnie się go leczy, mimo to łączy całe pokolenia i społeczeństwa. Żadna dolegliwość nie występuje w ostatnich dekadach tak powszechnie jak chroniczny ból pleców.

Według badań opublikowanych w marcu 2018 r. w czasopiśmie medycznym „The Lancet” na bóle róż-

nych odcinków kręgosłupa co najmniej raz w życiu cierpiało ponad 90% populacji planety. Szacunki te są oczywiście przybliżone, ale nawet laikom nie będą się wydawały przesadzone. Nietrudno bowiem sobie przypomnieć ostatni raz, kiedy zabołały nas plecy, a nawet jeśli należymy do tych szczęśliwych 10% wolnych od dyskomfortu, na pewno znamy kogoś, kto zmagą się z bólem na co dzień. Zwłaszcza że, jak dowodzą inne badania, prowadzone przez międzyuczelniany zespół naukowy z udziałem prof. Katarzyny Schier z Uniwersytetu Warszawskiego, aż 9,7% ludzi cierpi z tego powodu permanentnie.

Redakcja „The Lancet” problem powszechności bólu pleców potraktowała zresztą na tyle poważnie, że zamiast zwyczajowo opublikować na jego temat jeden tekst, poświęciła mu całą serię, powołując do jej napisania grupę ekspertów z całego świata. Pod kilkunastoma tekstami podpisało się ponad 50 lekarzy różnych specjalności. Co ciekawe, w konkluzjach byli niemal jednogłośni – plecy bolą coraz większą

grupę osób aktywnych zawodowo, bez względu na wiek i miejsce zamieszkania. Globalnie, jak pisze szefująca grupie prof. Rachelle Buchbinder, kierowniczka zakładu epidemiologii na uniwersytecie Monash w australijskim Melbourne, liczba pacjentów zgłaszających się do lekarzy z dolegliwościami bólowymi w plecach wzrosła o 50% od 1990 r. Dodaje też, że plecy bolą zarówno obywatele krajów rozwiniętych, jak i państw uboższych. Jedyna różnica polega na tym, że w tych pierwszych, jak wskazuje w oficjalnym raporcie Światowa Organizacja Zdrowia, boli dłużej. Wśród mieszkańców bogatszych społeczeństw aż 60-70% pacjentów z chronicznym bólem pleców odczuwa go w jakiejś formie do końca życia. Czyli, mówiąc brutalnie, nigdy się z niego nie wyleczy. Ból jest wszędzie taki sam, inne są tylko sposoby jego uśmierzania i konsekwencje. Zwłaszcza w skali makro, bo ból pleców obywateli zaczyna się przekładać na ból głowy ministrów finansów i zdrowia w niejednym rządzie.

Oprócz informacji dotyczących powszechności bólu pleców warto

bowiem przeanalizować te dane, które opisują jego skutki. Komisja Europejska, powołując się na badania duńskiego naukowca, prof. Jana Hartvigssena, obliczyła koszty epidemii bólu pleców na Starym Kontynencie. Kręgosłup dokucza aż jednej piątej pracujących Europejczyków, co daje oszałamiającą liczbę 46 mln aktywnych zawodowo osób. 15%, czyli ok. 7 mln, spędza z tego powodu na zwolnieniach lekarskich co najmniej miesiąc rocznie. Łącznie ponad połowa długotrwałych (czyli trwających ponad trzy dni) zwolnień z pracy na całym kontynencie spowodowana jest bólem pleców. Odpowiada on też za 60% przypadków permanentnej niezdolności do pracy orzeczonej przez władze poszczególnych krajów. To z kolei przekłada się na ogromne koszty. Po pierwsze, spada produktywność narodowych gospodarek, skoro osób z bolącymi plecami nie ma w pracy przez łącznie kilkanaście milionów dni (a mowa tu tylko o pacjentach z oficjalnymi zwolnieniami lekarskimi). Po drugie, tę już wielką i wciąż rosnącą grupę ludzi trzeba przecież leczyć. A koszty rosną w skokowym tempie. Jeszcze w 2005 r. niemiecka służba zdrowia przeznaczała na leczenie jednego pacjenta z chronicznym bólem pleców 7 tys. euro. W przeliczeniu na mieszkańca kraju było to nieco ponad 1,3 tys. euro – taki był społeczny koszt rodzącej się epidemii. Dziś jeden pacjent kosztuje niemieckie władze ponad 10 tys. euro, a kwota ta cały czas się zwiększa, urastając powoli do jednego z największych obciążeń budżetu przeznaczonego

wydawane na leczenie. W Stanach Zjednoczonych przewlekłe bóle kręgosłupa wciąż bowiem leczy się głównie tabletkami, i to nie byle jakimi, bo stworzonymi na bazie opioidów. W przypadku amerykańskich pacjentów epidemia bólu niemal organicznie przekształca się w zależność od silnie narkotycznych środków przeciwbólowych.

Nadine Foster z uniwersytetu w Keele w Wielkiej Brytanii prowadziła szczegółowe badania nad strategiami leczenia dolegliwości bólowych kręgosłupa wśród lekarzy

Istnieje silna zależność między bólem pleców a stanem naszego zdrowia psychicznego.

w USA. Jej wyniki potwierdziły to, co wielu przypuszczało już wcześniej. 60% pacjentów z problemami tego typu kończy na terapii opioidowej. W jej ramach często długo zażywa leki przeznaczone do użycia jednorazowego, a maksymalnie kilkukrotnego, w przypadkach gwałtownego bólu napadowego lub po bardzo inwazyjnych zabiegach chirurgicznych. Od tak silnych środków łatwo się uzależnić. A od tego stanu do śmiertelnego przedawkowania prosta droga. Według statystyk amerykańskiego Departamentu Zdrowia i Opieki Społecznej od opioidów co roku w Stanach uzależnia się 35 tys. osób. Liczba przedawkowań ze skutkiem śmiertelnym wzrosła od 2016 r. o ponad jedną trzecią, do 60 tys. przypadków rocznie. W amerykańskim społeczeństwie ból pleców może więc doprowadzić do śmierci.

Zespół Nadine Foster udowodnił, że istnieje silna zależność między bólem pleców a stanem naszego zdrowia psychicznego. Osoby chore na depresję bardzo często skarżą się na problemy z plecami i dolegliwości bólowe. W dodatku zależność ta działa w obie strony – depresja może wywołać ból kręgosłupa, a chroniczne cierpienie może prowadzić do depresji. Jak pisze dr David Robertson z kanadyjskiego Royal College of Chiropractic Sports Sciences, najbardziej narażone na taką korelację są nastolatki

i tzw. młodzi dorośli. Jego zdaniem ma to związek z ich trybem życia, niewłaściwą dla ciągle rozwijającego się ciała proporcją pracy i odpoczynku, a także stresem związanym z wchodzeniem w nowy etap życia. Robertson podkreśla też, że wielu z tych pacjentów nie ma świadomości, jak silna jest zależność między depresją a bólem pleców, więc nawet jeśli leczy jedno, zaniedbuje drugie. Nie pomaga również fakt, że u takich osób często występuje tzw. ból rzutowany, czyli odczuwany w innym miejscu niż to, z którego rzeczywiście pochodzi. Zjawisko to znacznie utrudnia diagnozę, zwłaszcza lekarzom z mniejszym doświadczeniem w innym niż tabletkowe leczeniu problemów z plecami.

Amerykańska Rada Lekarska rekomenduje, by pacjentom skarżącym się na chroniczny ból pleców przepisywać przede wszystkim ćwiczenia i zabiegi rozgrzewające, a dopiero później środki przeciwbólowe. Poleca też psychoterapię poznawczo-behawioralną, której jednak lekarze nie zapisują. Z badań Nadine Foster wynika, że skierowanych na nią zostało jedynie 8% osób leczonych zarówno na depresję, jak i na ból pleców. I to mimo bardzo dobrych wyników w leczeniu. Przykłady te pokazują wyraźnie, że problemowi bolącego kręgosłupa towarzyszy wiele stereotypów i niesprawdzonych opinii. Tych niestety nie da się wyeliminować nawet najmocniejszą tabletką. ■

Plecy bolą obywateli krajów zarówno rozwiniętych, jak i uboższych. Jedyna różnica polega na tym, że w tych pierwszych ból jest dłuższy.

na zdrowie publiczne u naszych zachodnich sąsiadów.

To jednak wciąż nic w porównaniu ze skalą, jaką problem osiągnął za oceanem. Helen Thomson z magazynu „New Scientist”, powołując się na wyniki grupy roboczej z „The Lancet”, określa całociowe koszty epidemii bólu pleców dla amerykańskiej gospodarki na trudne do wyobrażenia 635 mld dol. rocznie. Składają się na to nieobecności w pracy, koszty prywatnego leczenia i ubezpieczenia oraz pieniądze

Gdzie szukać źródeł bólowego kryzysu? Intuicja podpowiada, że w zmianach trybu życia. Więcej siedzimy, mniej się ruszamy, gorzej odżywiamy. Naturalne jest zatem, że rusztowanie, na którym opiera się nasze ciało, zaczyna być coraz słabsze, mniej mobilne. Dobrze by było jednak przebić się przez warstwę tych powierzchownych argumentów i zobaczyć, że przyczyny „strzelania” w kręgosłupie czy niezdolności do podniesienia się z kanapy są często bardziej złożone.

✉ Prof. Rzepliński i ustawa dezubekizacyjna

W niektórych środkach przekazu, również w PRZEGŁADZIE, spotykam się z bardzo pozytywnymi ocenami prof. Andrzeja Rzeplińskiego. Otóż w 2010 r. prof. Rzepliński był sędzią sprawozdawcą tzw. ustawy dezubekizacyjnej w Trybunale Konstytucyjnym i uznał, że jest ona zgodna z konstytucją. Na rozpatrujących ją 14 sędziów sześciu, w tym ówczesny prezes Trybunału – prof. Bohdan Zdziennicki – złożyło zdania odrębne. Panu Rzeplińskiemu nie dało to do myślenia.

Obudził się, gdy PiS, za pomocą kłamstw i półprawd, czyli metod podobnych do zastosowanych przy ustawie dezubekizacyjnej, zaczęło wprowadzać zmiany w przepisach dotyczących środowiska sędziowskiego. Jeżeli to nie jest hipokryzja, to nie wiem, co nią jest.

Czytelnik z Podkarpacia

✉ Lewico, nie zapominaj!

Szczególnie dziś, przy tak głęboko rozwarstwowanym społeczeństwie, w którym kilka milionów obywateli żyje na poziomie minimum socjalnego, powinniśmy upowszechniać fakt, że idee, postawy i działania lewicowe zawsze były, są i będą sprzeciwem, a czasem buntem wobec obojętności na ludzką niedolę i znieczulicy ogromnej liczby ludzi zamożnych. To właśnie ludzie lewicy, ludzie partii socjalistycznych, robotniczych i lewicowych organizacji, z ogromnym poświęceniem walczyli o godne warunki socjalne, o zniesienie niewolnictwa, o równouprawnienie ludzi niezależnie od koloru ich skóry, narodowości czy płci, o zakaz zatrudniania dzieci, ośmiogodzinny dzień

pracy, zniesienie dyskryminacji rasowej i apartheidu, organizowanie bezpłatnego leczenia, bezpłatną edukację, opiekę nad niepełnosprawnymi i niesienie pomocy ludziom jej potrzebującym. Szlachetne, humanitarne idee lewicy, o które walczyły pokolenia, nie mogą być zapomniane. Szanujmy to, co jest warte szacunku, i pamiętajmy, że i dziś lewica ma o co walczyć. Ludzkiej niedoli, biedy i bezdomności, wykluczenia i bezradności, cierpień z powodu niepełnosprawności i chorób jest wokół nas dużo. Likwidacja niedoli, dbałość o godne życie każdego człowieka to dziś niezwykle ważne zadania lewicy.

*Stanisława Stefańczyk-Krzymowska
i Tadeusz Krzymowski, Olsztyn*

✉ Szachy plenerowe we Wrocławiu

W tym roku po raz piąty złożyłem wniosek do Wrocławskiego Budżetu Obywatelskiego o ujęcie w nim wielkogabarytowych szachów plenerowych w centrum miasta. Szachy byłyby rozrywką dla wszystkich wrocławian i przyjezdnych. Kosztowałyby ok. 300 tys. zł. Obawiam się jednak, że znowu nie dojdzie do realizacji tego projektu, podpadłem bowiem władzom miasta tym, że przez 12 lat posadziłem we Wrocławiu 5 tys. drzewek. Dziś to byłyby już dorodne drzewa, ale pracownicy Zarządu Zieleni Miejskiej pracowicie je wyrwali, bo to nie oni je sadzili. Podobnie robią ze wszystkimi samosiejkami. I to ma się nazywać pielęgnacją zieleni? Jednak mimo mojego krytycyzmu wobec działań służb miejskich znowu zgłosiłem szachy plenerowe do WBO, żeby ludzie nie mówili, że nie próbowałem.

Ryszard Remer, Wrocław



LENNY KRAVITZ

HERE
TO
LOVE
TOUR 2020

**15 CZERWCA 2020
ARENA GLIWICE**



LIVE NATION

BILETY: LIVENATION.PL

MSZ, które się kurczy

Mamy niby to samo MSZ co, powiedzmy, sześć-siedem lat temu, ale inne. Jacek Czaputowicz niby jest ministrem, ale jego pozycja w państwie jest nieporównanie niższa niż np. swego czasu Radosława Sikorskiego.

Nie chodzi tylko o tzw. siłę przebicia i miejsce w rządzącym establishmentie, ale także o to, czym się rządzi. Bo MSZ Jacka Czaputowicza zostało rozebrane, jak – przyrównując na wyrzut – Polska w XVIII w. Po kolei traci obszary, nad którymi do tej pory czuwało.

Zacznijmy od sprawy najgłośniejszej, czyli od Polonii. Tradycją III RP było, że sprawami Polonii zajmował się marszałek Senatu, to była jego domena. W czasach rządów Donalda Tuska nastąpiła zmiana, sprawy Polonii (razem z pieniędzmi na to przeznaczonymi) przeszły w sferę kompetencji MSZ. Minister Sikorski pęczył z zadowolenia, choć liderzy organizacji polonijnych bardzo na to narzekali. W roku 2016 Polonia z powrotem przeszła w gestię Senatu. A teraz, ponieważ Senat nie jest we władzy PiS, przechodzi do Kancelarii Premiera. A razem z nią środki – 60 mln zł.

I tylko dla porządku warto przypomnieć, że będzie to już drugi blok przeniesiony z MSZ pod jurysdykcję premiera – pierwszym są oczywiście sprawy Unii Europejskiej, z wiceministrem Szymańskim.

Oprócz spraw Polonii i UE MSZ uszczuplone zostało też o cały blok związany z promocją gospodarki. Pisaliśmy już o tym, więc tylko parę zdań przypomnienia. Był czas, gdy promocja gospodarki miała być jednym z głównych zadań dyplomacji, to było hasło ekonomizacji polskiej polityki zagranicznej. Potem nastąpiło coś innego – biura radcy handlowego włączono w struktury placówek i utworzono

wydziały ekonomiczno-handlowe. Przemianowane później na wydziały promocji handlu i inwestycji. A za PiS zrobiono coś zupełnie innego – zlikwidowano 49 biur WPHI, a promocją gospodarczą Polski mają się zająć biura PAIH, czyli Polskiej Agencji Inwestycji i Handlu.

Na razie PAIH jest kompletną porażką i finansową studnią bez dna. Budynki WPHI, które mieliśmy w wielu krajach – niszczej. Kadra wróciła do Polski. Promocją zajmują się nowi ludzie, którym trzeba wynająć mieszkania i biura, najlepiej w drogim punktowcu. Oni przeważnie nawet nie znają dobrze kraju, w którym przychodzi im pracować. Nie są więc partnerami dla kogokolwiek. PAIH notuje milionowe straty, no i już zdążyła wymienić prezesa.

Ale sprawy promocji gospodarczej to niejedyny obszar, gdzie w miejsce ministerstwa wchodzi nowy podmiot, działający na zasadzie komercyjnej, dysponujący dużymi pieniędzmi, niestety – wyciągniętymi z zasobów państwa. To obszar promocji Polski, za który odpowiedzialność zaczyna brać Polska Fundacja Narodowa, która wynajmuje do tego celu miejscowe kancelarie i firmy. Próbuje też swoich sił.

Te wydatki były przedstawiane w mediach, dzięki czemu wiemy, że np. w roku 2018 wyniosły 111 mln zł i można rzec, że więcej przyniosły Polsce szkody niż pożytku. Zresztą posłowie opozycji złożyli w sprawie PFN zawiadomienie do prokuratury. A MSZ? „Idea jest słuszną, ale po tylu wpadkach potrzebna byłaby chyba zmiana nazwy i rozpoczęcie wszystkiego od nowa”, skomentował wiceminister Paweł Jabłoński.

Piękne zdanie, w sam raz pasujące także do MSZ Jacka Czaputowicza.

Attaché

Przewodnicząca Izby Reprezentantów, demokratka Nancy Pelosi, po tym jak Donald Trump nie podał jej ręki, ostentacyjnie podała swoją kopię przemówienia o stanie państwa, które prezydent wygłosił w Kongresie.





1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery T ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 20 utworzą końcowe hasło.

- żółty, gęsty likier
- „...Odessy”, sfilmowana powieść Forsytha
- stan między Missisipi a Georgią
- Seniuk, Guzik, Mucha
- on nadaje utworowi kształt i charakter
- na niej walki byków
- wielka flota wojenna
- roztwór barwnika do pisania lub drukowania

- zawód Wioletki z „Rancza”
- waluta w Serbii, Tunezji, Algierii, Kuwejcie
- niemiecki, arlekin lub z Majorki
- kawał ryby pociętej poprzecznie
- długi poemat epicki i ciąg doniosłych wydarzeń
- rażą go dysproporcja i dysproporcja

- gaz „przedalkoholowy”
- i ser, i uroczystość
- zdobienie ksiąg i rześiste oświetlenie
- Szymańska-Pavlović lub Śledzińska-Katarska
- ...Laskowice – stamtąd ciężarówka
- kromka chleba z dodatkami
- wieżyczka łodzi podwodnej
- biała, czyli lebioda, albo quinoa
- atak zaraz po odparciu ofensywy
- ...biletów – łapie gapowiczów
- rodak, ziomek
- gracze w hokeja na trawie
- pełna towarów na statku

- stryj z Bogdańca
- kusa spódniczka lub autko
- nabożeństwo, liturgia
- jej największym miastem Lagos
- jedno z pierwszych włókien syntetycznych
- „...do słowika” Johna Keatsa
- bengalskie, czyli sztuczne
- miejsce akcji „Dżumy”
- imię Schindlera
- pszenica ozima o kołącym kłosie
- tolerancja, wyrozumiałość
- Boris Johnson lub Giuseppe Conte
- ...prawny – opiniuje umowy w firmie
- kawalerzysta z rapierem i pistoletami
- można na nie kupić auto lub telewizor
- treść przyrzeczenia, przysięgi

- po złote wyprawa Jazona
- jadalny, o pomarańczowym kapeluszu w kręgi
- zboża, makulatury, złomu
- w kotle diabła
- wspiera finansowo w zamian za reklamę
- i hebel, i Tadeusz Gątecki
- naczelnik rodu, plemienia arabskiego
- podtrzymywacze spodni
- brzydactwo, paskuda
- sardynka norweska
- dochodzenie policyjne
- państwo z Parkiem Narodowym Serengeti
- najwyższy szczyt polskich Bieszczadów
- niewielki grzejnik do wody
- strój sędziego
- miasto jak rodak Orhana Pamuka
- kapitał, rezerwa, zapas
- Pucka, Botnicka, Świni

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-947”. Do rozlosowania książki „Prokurator Alicja Horn” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 16 lutego 2020 r.

Rozwiązanie „JOLKI-944” z 26 stycznia: Roztropnie jest sprawdzać. Nagrody otrzymują: Andrzej Grochowski z Warszawy, Wojciech Kleszcz z Łodzi, Wojciech Składan z Czeladzi.

PENETRACJE

URODA

**JÓZEF HEN,
PISARZ**

Dla mnie pisanie jest czymś, co być może trudno będzie zrozumieć piszącym współcześnie. Podczas najtrudniejszych momentów po wybuchu wojny, potem w batalionie pracy, bosi, obdarty, głodujący, wiedziałem: trzeba przeżyć, wrócić i opisać. Mój stosunek do życia właśnie w ten sposób został ukształtowany: nie zginąć, wrócić do domu, opisać.

Press

**TOMASZ SEKIELSKI,
DZIENNIKARZ ROKU
MIESIĘCZNIKA „PRESS”**

Wszyscy wiedzieli, że nie mam pracy, podpytywałem o nią, ale ofert nie było. Siłą rzeczy moja kariera potoczyła się tak, że musiałem się zastanowić nad przyszłością w tym zawodzie. Powiedziałem sobie i Markowi, że jeżeli ten film przejdzie niezauważony, to kończę z tym zawodem. To była ta ostatnia bitwa, w którą postanowiłem włożyć wszystko, czego się dotychczas nauczyłem, i całe moje serce. Po niej oddałem się pod osąd publiczny. Dlatego nigdy w życiu nie denerwowałem się tak mocno, jak przed premierą „Tylko nie mów nikomu”. To był stres, z którym nigdy się nie mierzyłem

PANI

**DOROTA WELLMAN,
DZIENNIKARKA TVN**

Kocham swoją pracę. We wszystkich odmianach – i tę w telewizji porannej, i pi-

sanie, i robienie reportażu telewizyjnego. Każdą formę dziennikarstwa. Najbardziej lubię telewizję. Nieprzewidywalną, nieobliczalną, gdzie nikt mi nie pisze scenariusza. Sprawia mi radość ta adrenalina, jak podczas skakania ze spadochronem. Bo nigdy nie wiesz do końca, co się zdarzy: goście mogą nie przyjść albo pojawi się ktoś „odęty” i trzeba go oswoić. Często zdarzają się rzeczy zaskakujące, które nikomu nie przysłyby do głowy. W telewizji na żywo nic się nie da zmontować czy usunąć komentarzy, które padły. To jest w takim programie najpiękniejsze i – szczerze mówiąc – wołałabym, żeby cała telewizja tak działała.

VIVA!

**PAULINA
SMASZCZ-KURZAJEWSKA,
DZIENNIKARKA, MENEDŻERKA**

W Polsce jest przyzwolenie społeczne na to, że dojrzała czy starsza kobieta można porzucić byle jak i z byle powodu. Nikt nie krytykuje faceta. Społeczeństwo mu wybaczy. Wchodzi w nowy związek i wszyscy się zachwycają, jaką ma młodą narzeczoną. Kobieta nie wolno mieć młodszego faceta, bo usłyszy: „Co on w niej widzi, przecież to stare pudło!”. Nie może mieć też starszego, bo wtedy „na pewno poleciała na jego kasę, zdradziła!”. A facet może wszystko. Kochamy drani, łobuzów, cwaniaków, a kobieta jest lubiana, kiedy jest cicha, pokorna, miła, ładnutka, nijaka.

Aby język giętki...

**PROF. EWA ŁĘTOWSKA
O USTAWIE KAGAŃCOWEJ**

Sytuacja sędziów staje się tragiczna. A zwykły obywatel został oszukany przez polityków.

**JOANNA SZCZEPKOWSKA
O SWOIM HAŚLE**

Nie bój się samotności, nas samotnych jest wielu.

**GRZEGORZ ZYGADŁO
O ŻONIE OLDZE TOKARCZUK**

Stałem się, jak to mówi Olga, menedżerem jej życia.

**PROF. BOHDAN ZDZIENNICKI
O ANDRZEJU DUDZIE**

Uderzenie prezydenta we władzę sądowniczą jest niedopuszczalne. Ma przecież być wzorcem postępowania i sługą konstytucji.

DOROTA WARAKOMSKA O KOBIETACH

Jesteśmy mistrzyniami świata w umniejszaniu swojego autorytetu, odbieraniu sobie fachowości i krytykowaniu się publicznie.

KAROLINA GRUSZKA O INSPIRACJI

Dla mnie inspiracją pozostaje budyzm, ale też prawosławie.

**TOMASZ MAJEWSKI
O SPORTOWCACH ZE WSI**

Statystyki pokazują, że właśnie na wsi, z daleka od metropolii, najczęściej udaje się wyłapać sportowe talenty.

**MIKOŁAJ GRABOWSKI
O ŻONIE IWONIE BIELSKIEJ**

Wydawała mi się nieosiągalna. Uważałem, że nie mam żadnych szans, że nie mogę być atrakcyjny dla superatrakcyjnej kobiety.

**GRAŻYNA WOLSZCZAK
O CEZARYM HARASIMOWICZU**

W ogarnianiu życia od strony organizacyjnej jest pierdoła. Za to potrafi opisać to życie w taki sposób, by inni mogli je zrozumieć.

KATARZYNA ZIELIŃSKA O SZCZĘŚCIU

Czasem budzę się z trzema facetami w łóżku, bo synowie lubią do nas przychodzić.

PAWEŁ WILCZAK O PRYWATNOŚCI

Nie chcę robić sobie selfie z nową patelnia. Nie mam żadnego komunikatora. Wysłałem osiem mejli w życiu.



Dziecięca radość ze zwycięstwa w Super Bowl zawodnika Kansas City Chiefs Demone'a Harrisa.

Warto przeklinać

Wulgaryzmy mogą przynosić korzyści w życiu zawodowym – przekonują naukowcy z Uniwersytetu Anglii Wschodniej i nie mają na myśli raperów. Yehuda Baruch i Stuart Jenkins przeprowadzili badania w magazynie wysyłkowym jednej z firm. Według nich rzucanie mięsem – o ile nie było obraźliwe dla innych – pozytywnie wpływało na relacje między pracownikami. Zdaniem badaczy osoby, które nie powstrzymują się od używania brzydkich słów w pracy, są uważane za zachowujące się naturalnie i dzięki temu pozytywnie odbierane. Oczywiście tego rodzaju „bycie sobą” nie jest zalecane np. w kontaktach z klientami czy z szefem.

Słodki protest

Piekarz z bawarskiej miejscowości Moosinning w nietypowy sposób zademonstrował sprzeciw wobec nowych regulacji, które nakazują drukowanie paragonów nawet za najmniejsze zakupy zarejestrowane przez elektroniczną kasę fiskalną. Ludovic Gerboin jest zdania, że to marnotrawstwo: po każdym dniu pracy koszt na śmieci w jego zakładzie jest pełen wydruków wyrzucanych przez klientów. W ramach protestu poszerzył ofertę o nadziewane pączki udekorowane... rachunkiem wykonanym z cukru. „Niestety, papierowy wydruk z kasy i tak musimy wydać”, poinformowała media pracownica piekarni.

Czytaj, a daleko zalecisz

W mieście Meksyk w dzielnicy Iztapalapa stanął bibliosamolot. W kolorowym boeingu 737-200 zgromadzono kolekcję książek dla dzieci i młodzieży, z których można korzystać na 29 miejscach do czytania. Z kolei na 26 stanowiskach komputerowych można rozkoszować się lekturą e-booków i słuchaniem audiobooków. Dodatkowo



w kabinie pilotów na chętnych czeka półprofesjonalny symulator lotu z dwoma siedzeniami. Dla czekających na swoją kolej w bibliosamolocie będą organizowane sesje czytania na głos. Nietypowa placówka działa od wtorku do niedzieli w godz. 9-19, ma windę dla osób z niepełnosprawnością ruchu, a korzystanie z niej jest bezpłatne. Niedługo flota kulturalna dzielnic ma się powiększyć o kolejną skrzydlatą bibliotekę.

Hejterka, czyli...

Skrajnie prawicowa brytyjska publicystka Katie Hopkins została w błyskotliwy sposób ośmieszona przez południowoafrykańskiego youtubera. Josh Pieters ze znajomymi postanowił ukarać ją za szerzenie nienawiści do uchodźców. W tym celu założyli organizację rzekomo działającą na rzecz wolności słowa, a następnie poinformowali Hopkins o przyznaniu jej Campaign to Unify the Nation Trophy, czyli Nagrody Kampanii na rzecz Zjednoczenia Narodu. Po jej odbiór wideobloger zaprosił publicystkę do Pragi, gdzie zorganizował bankiet z aktorami udającymi działaczy jego inicjatywy. Kiedy Brytyjka odbierała statuetkę, na ekranie za jej plecami pojawiło się wielkie słowo CUNT, czyli p...da, będące skrótem nazwy rzekomej nagrody. Film z gali został oczywiście udostępniony w sieci, ale Hopkins nie mogła tego skomentować na Twitterze, gdyż jej konto zostało zablokowane za używanie mowy nienawiści.

Tak się tępi nożownictwo

Policja w Uzbekistanie postanowiła energiczniej walczyć z plagą ataków z użyciem noża, z których wiele to tragiczne finały zwykłych kłótni. W mieście Andżan funkcjonariusze przeprowadzili operację wymierzoną w... noże używane przez handlarzy z głównych targowisk.





Może on widzi więcej od nas
bystrością owadziego wzroku?
Ja nie przeczułam, tyś nie odgadł,
że nasze serca świecą w mroku.

Wisława Szymborska

Policja upubliczniła zdjęcia, na których widać mężczyzn stojących w kolejce przed maszyną do tępienia ostrzy. Nie jest jasne, czy tępią również noże przeznaczone na sprzedaż. „Podjęto środki prewencyjne, by przeciwdziałać przestępstwom”, ogłoszono.

Przejście w stylu smart

Na warszawskim Ursynowie powstało pierwsze w Polsce i drugie w Europie przejście dla pieszych bezpieczne dla osób wpatrzonych w smartfony. Pomysł jest genialny w swojej prostocie: specjalne urządzenie wyświetla na chodniku czerwoną linię. „W ten sposób chcemy dać znać osobom, które akurat korzystają ze smartfona, że w tym momencie nie mogą wejść na przejście dla pieszych”, tłumaczy Zarząd Dróg Miejskich. Nowe urządzenie sygnalizacyjne, uzupełniające tradycyjną sygnalizację świetlną, pojawiło się przy al. KEN nieopodal parkingu P&R Stokłosy.

Pachnie jak... marketing

Coraz więcej osób deklaruje chęć rezygnacji z jedzenia mięsa lub przynajmniej znacznego ograniczenia jego konsumpcji. Z pomocą tym, którzy skarżą się na niedobory silnej woli, ruszył profesor psychologii eksperymentalnej na Uniwersytecie Oksfordzkim, Charles Spence. Stworzył on plastery podobne do antybiotyków, które wydzielają zapach smażonego boczku. Jak tłumaczy, pomaga to oszukać mózg – pozwala „najeść” się samą wonią mięsa. Na razie powstała limitowana seria plastrów, które rozdawane są z przemierzającego Wielką Brytanię food trucka wegańskiej firmy Strong Roots.



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeгляд@tygodnikprzeгляд.pl

www.tygodnikprzeгляд.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeгляд.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeгляд.pl
Zastępca redaktora naczelnego
– sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeгляд.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeгляд.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeгляд.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Boreja (Kraków),
Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),
Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń),
Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn),
Helena Leman (Malbork), Maja Markłowska-Dzierżak,
Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek,
Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikula,
Maciej Polkowski, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-
Piszc (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz,
Robert Walenciak, Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan,
Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska,
Artur Zaborski, Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek,
Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski,
Edward Mikołajczyk, Ludwik Stomma, Jan Widacki,
Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May,
Małgorzata Tabaka

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burzelka,
Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoredaktorzy: Magdalena Głuska,
Karina Krystosiak, Rafał Pyznar

Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeгляд.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeгляд.pl

Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych

Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeгляд.pl

Sekretariat fundacji i redakcji:

Katarzyna Chleicka

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeгляд.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeгляд.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeгляд.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszów, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

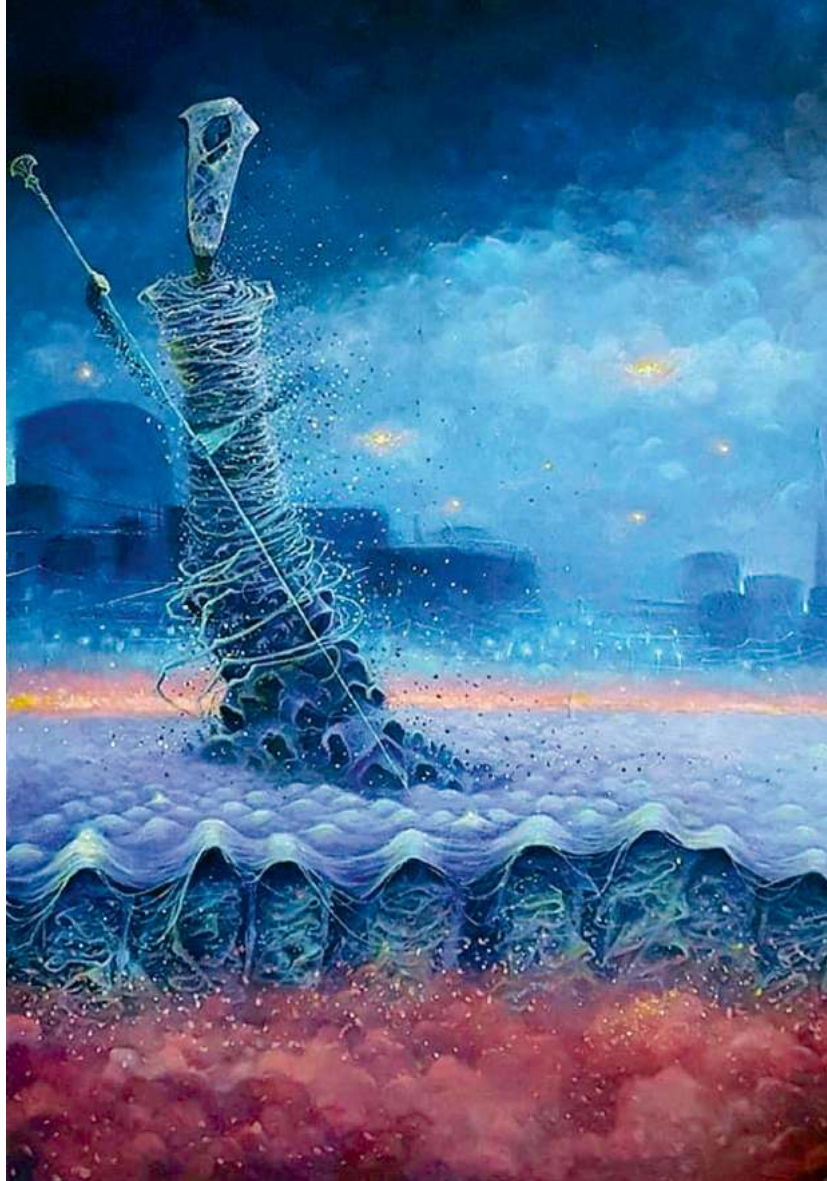
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





SEBASTIAN MOŃ

Sebastian Moń, rocznik 1986, tworzy surrealistyczne prace na płytach w technice farb akrylowych. Pochodzi z Pszczyny, obecnie mieszka i tworzy w Dąbrowie Górniczej. Na co dzień pracuje jako nauczyciel wychowania fizycznego oraz trener kilku dyscyplin sportowych, jest zawodnikiem drużyny sportowej z Katowic, Carbon OCR Racing Team. W sztuce – samouk ciągle szukający swojej drogi. Na początku zajmował się rysunkiem, by po jakimś czasie spróbować sił w malarstwie. Z akrylami został do dziś i nadal zgłębia tajniki tej techniki malarskiej. Jego prace zostały umieszczone w albumie „Malarstwo Polskie 2019” wydanym przez PromocjaART.

Klub Pod Kolumnami
Wrocław, pl. św. Macieja 21
do 1 marca

SYBILLE

VIRGINIE EFIRA
ADÈLE EXARCHOPOULOS
SANDRA HÜLLER
GASPARD ULLIEL

REŻYSERIA
JUSTINE TRIET

W KINACH OD 21 LUTEGO

Gdy fascynacja
staje się obsesją



KONKURS GŁÓWNY
CANNES



TRANSATLANTYK
FESTIVAL / ŁÓDŹ / 2019



MFF
W BUKARESZCIE
KONKURS
GŁÓWNY



EUROPEJSKI
FESTIWAL FILMOWY
W SEWILLI
KONKURS
GŁÓWNY

Projekt współfinansowany ze środków programu Unii Europejskiej „Kreatywna Europa”



AURORA

teatr powszechny

Teatr, który się wtrąca

Boska komedia

reżyseria: Krzysztof Garbaczewski

premiera: 8.02.2020

kolejne pokazy: 9, 11 i 12.02.2020

Medytacja teatralna inspirowana średniowiecznym poematem włoskiego pisarza i filozofa Dantego Alighieriego. Boska komedia to niewyczerpane źródło opowieści, przesłania i nauki. Bohaterowie utworu, należący do minionych epok, wciąż przemawiają do współczesnych, bo mierzą się z ponadczasowymi dylematami, pragnieniem wiedzy i lękiem, ale przede wszystkim – pożądaniem wyniesienia się ku boskiemu pięknu. Opisana wierszem wędrówka przez Piekło, Czyściec i Raj to poemat o naszym pochodzeniu, przeznaczeniu i wierze, opera człowieka poszukującego miłości i prawdziwego sensu życia.

Partner
mediów

wyborcza

wyborcza.pl
WARSZAWA

co jest grane 24

Pręgiel

www.powszechny.com